

384

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

objętości jednego tomu.

## Warunki prenumeraty:

W WARSZAWIE:

Rocznie (52 tomy) rb. 10

Półrocz. (26 tom.) „ 5

Kwartał. (13 tom.) „ 2 k. 50

Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Z PRZES. POCZT.:

Rocznie (52 tomy) rb. 12

Półrocz. (26 tom.) „ 6

Kwartał. (13 tom.) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## Dopłata za oprawę:

Rocznie . . . za 52 tomy, . . . 10. 0 kop. —

Półrocznie (za 26 tomów) . . . rb. 3 kop. —

Kwartalnie (za 13 tomów . . . rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincy dopłaca się 20 kop

REDAKTOR i WYDAWCA:

**JAN GADOMSKI.**

Redakcyja Administracyja Warszawa, Warecka 14. — Telefonu 99  
we Lwowie Plac Marjański 1. 4.

387  
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 382

Booker T. Washington.

AUTOBIOGRAFIA MURZYNA

PRZEKŁAD

M. G.

Cena 40 kop.

W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcja i Administracja

14. Warecka 14.

1905.



Booker T. Washington.



# AUTOBIOGRAFIA MURZYNA

PRZEKŁAD

M. G.



CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55  
tel. 0 22 69-78-773



Wa5149819

WARSZAWA.  
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.  
1905.

<http://rcin.org.pl>

*liwskie*



384

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 9 Мая 1905 г.



384

## ROZDZIAŁ I.

### NIEWOLNIK WŚRÓD NIEWOLNIKÓW.

Przyszedłem na świat w niewoli, na plantacyi w hrabstwie Franklin, w Wirginii. Nie wiem dokładnie daty, ani miejsca mego urodzenia, ale w każdym razie to nie ulegą wątpliwości, że gdzieś i kiedyś się urodziłem. O... ile mogłem się dowiedzieć, stało się to w pobliżu biura pocztowego na placu zwanym *Fort de Itale*, w roku 1858 — albo 1859. Nie wiem, w jakim miesiącu, ani którego dnia. Najdawniejsze moje wspomnienia odnoszą się do plantacyi i dzielnicy niewolników, mieszczącej się na plantacyi, gdzie niewolnicy mieli swoje domostwa. Życie moje rozpoczęło się w warunkach najędzniejszych, najsmutniejszych i najbardziej zniechęcających. Ale nie dlatego, żeby moi panowie mieli być szczególnie okrutni, bo nie odznaczali się okrucieństwem w porównaniu z wielu innymi. Urodziłem się w istnej budzie drewnianej, o powierzchni czternastu na szesnaście stóp kwadratowych. Żyłem w tej chacie razem z matką, bratem i siostrą do ukończenia wojny domowej, to jest do chwili, w której zostaliśmy obdarzeni wolnością.

Nie wiem nic o moich przodkach. W dzielnicy niewolników i później jeszcze słyszałem murzynów opowiadających półsłówkami o męczarniach, jakie znosili niewolnicy — zapewne i przodkowie mojej matki — na statkach, wiozących ich z Afryki do Ameryki. Nie mogłem zdobyć żadnych ścisłych wiadomości o mojej rodzinie, z wyjątkiem losów matki. Pamiętam, że miała ona przyrodniego brata i przyrodną siostrę. W czasach niewolnictwa nikt nie przywiązywał szczególnej wagi do genealogii i historii rodziny — to jest, chcę powiedzieć, rodziny murzyńskiej <sup>1)</sup>. Przypuszczam, że moja matka musiała zwrócić na siebie uwagę nabywcy, który następnie stał się jej właścicielem i moim. Przyłączenie jej do gromady niewolników nie miało większego znaczenia od kupna krowy lub konia. O ojcu moim wiem jeszcze mniej niż o matce. Nie wiem nawet jego nazwiska. Słyszałem tylko, że był to jeden z białych, mieszkających w sąsiedniej plantacji. Kimkolwiek był, nie słyszałem nigdy, ażeby okazał jakiegokolwiek zajęcie się moją osobą, lub żeby się w jakibądź sposób zatroszczył o moje wychowanie. Ale nie mam mu tego za złe. Był poprostu nieszczęśliwą ofiarą urządzeń, które lud amerykański wprowadził tak niefortunnie do swego życia społecznego.

Chata służyła nam nietylko za mieszkanie, ale i za kuchnię dla całej plantacji. Matka moja była w plantacji kucharką. W chacie nie było okien; były tylko w bocznych ścianach otwory, przez które wpadało światło, a w zimie i wiatr ostry i mroźny. Były także drzwi, a raczej coś, co nazywało się drzwiami; ale źle urządzone zawiasy i wielkie szpary we drzwiach zbyt małych składały się na to, ażeby izbę naszą uczynić mieszkaniem bardzo nie-

---

<sup>1)</sup> Jest to ironiczna aluzja do manii genealogicznej, która rozwinęła się w Stanach Zjednoczonych.



wygodnem. Oprócz tych drzwi i otworów była jeszcze w rogu, po prawej stronie „dziura dla kotów“, urządzana w owych czasach we wszystkich domach i chatach w Wirginii.

„Kocia dziura“ był to kwadratowy otwór wielkości siedmiu do ośmiu cali, zrobiony umyślnie dla kotów, ażeby mogły wchodzić i wychodzić podczas nocy. Nie mogłem nigdy zrozumieć, jaki cel ma to urządzenie, zważywszy, że w każdym domostwie było co najmniej pół tuzina otworów, które mogły służyć do tego samego. W chacie nie było podłogi: zastępowała ją warstwa ziemi. Na samym środku była duża i głęboka jama, w której podczas zimy składano pataty. Wspomnienie tej „jamy na pataty“ wyryło się głęboko w moim umyśle, bo pamiętam, że gdy je tam składano lub wyjmowano, udawało mi się niekiedy porwać jedną lub dwie sztuki, które potem piekłem w popiele i raczyłem się niemi. W plantacji nie było w kuchniach kominów i matka musiała gotować dla białych i dla niewolników nad ogniskiem w kociolkach i kadziach. Jeżeli w zimie cierpieliśmy zimno w naszej chacie źle zbudowanej, gorąco od ogniska bywało w lecie niemniej dokuczliwe. Pierwsze lata mego dzieciństwa, przeżyte w tej lepiance, nie różnią się od dziecinnych lat innych niewolników. Matka naturalnie nie mogła poświęcać dzieciom dużo czasu w ciągu dnia i odkradała tylko parę chwil, ażeby się zająć nami rankiem, przed rozpoczęciem pracy i wieczorem, kiedy już skończył się jej dzień roboczy.

Jedno z moich najdawniejszych wspomnień stanowi widok matki gotującej późną nocą kurczę i budzącej nas, dzieci, ażeby nas nakarmić. Jakim sposobem i z kąd wzięła to kurczę—nie wiem. Przypuszczam jednak, że pochodziło ono z podwórza naszego właściciela. Może kto nazwie to kradzieżą. Dziś sam potępiłbym podobny czyn jako kradzież. Ale, że zdarzyło się to w tak odmiennych czasach i w celu nakarmienia dzieci, nikt mnie nie

skłoni do przyznania, że matka moja dopuściła się występku. Była ona prosto ofiarą systemu niewolnictwa.

Nie przypominam sobie, ażeby spał kiedykolwiek w łóżku przed zniesieniem niewolnictwa, kiedy i moja rodzina została oswobodzona. Było nas troje: Jan, mój brat starszy; Amanda, moja siostra, i ja, i sypialiśmy wszyscy na gołej ziemi, na sienniku, a raczej, mówiąc dokładniej, na stosie brudnych lachmanów, rozłożonych na ziemi.

Zapytywano mnie niedawno, jak i czem się bawiłem za czasów dzieciństwa? Do chwili, gdy mi zadano to pytanie, nie przyszło mi nigdy na myśl, że w całym życiu ani jednej chwili nie spędziłem na zabawie. O ile mogę sięgnąć pamięcią, każdy dzień zajęty był pracą, a jednak zdaje mi się, że byłbym się stał pożyteczniejszym człowiekiem, gdybym był miał trochę czasu na zabawę. W tej epoce, gdy byłem jeszcze niewolnikiem, byłem za mały, żeby być używanym do pracy. Pomimo to zapędzano mnie na większą część dnia do zamiatania dziedzińców, do noszenia wody ludziom pracującym w polu, lub do wozenia raz na tydzień zboża do młyna. Do młyna było z plantacyi około trzech mil. Obawiałem się najgorzej tej pańszczyzny. Ciężki wór ze zbożem umieszczony był na grzbiecie konia w taki sposób, że po obu bokach zwieszała się jednakowa ilość zboża; ale prawie zawsze wór przekręcał się, tracił równowagę i spadał z konia, a najczęściej z nim razem spadałem i ja. Ponieważ nie miałem siły, ażeby go władować napowrót na konia, zmuszony byłem wyczekiwać—nieraz całemi godzinami—na jakiego przechodnia, któryby mnie wybawił z kłopotu. Chwile, przepędzone na czekaniu, oblewałem zwykle łzami.

Straciwszy w ten sposób dużo czasu, przybywałem do młyna spóźniony, a zanim zboże zostało zmielone i mogłem powrócić, noc była już późna.

Droga była pusta i prowadziła miejscami przez

gęsty las. Bałem się zawsze, bo ludzie mówili, że w lesie pełno jest żołnierzy dezertarów, a mówiono prócz tego, że jak tylko taki dezertar spotka murzyńskie dziecko, obcina mu uszy. Przytem wracając późno, mogłem być pewny połajania i chłosty.

Jako niewolnik, nie uczyłem się wcale, pomimo, że nieraz dochodziłem do samych drzwi szkoły, niosąc książki jednej z moich pań, córeczki mego właściciela. Widok kilkudziesięciu dziewczynek i chłopców, siedzących w klasie i zajętych nauką, robił na mnie głębokie wrażenie i zdawało mi się, że dostać się do takiej szkoły i uczyć się w niej, równałoby się prawie dostaniu się do rajy.

To, że jesteśmy niewolnikami i że wolność nasza jest przedmiotem rozpraw, zrozumiałem poraz pierwszy dopiero, pewnego rana o wczesnej godzinie, kiedy mnie obudziła matka, pochyłona nad nami i modląca się głośno o zwycięstwo dla Lincolna i jego wojsk, co jej i jej dzieciom dałoby wolność. Nie mogę nigdy zrozumieć, jakim sposobem niewolnicy na Południu, tak zupełnie nieoświeceni, jak byli prawie wszyscy nie umiejący czytać i nie posiadający dzienników, mogli wiedzieć równie dokładnie i prawdziwie wszystko, co dotyczyło ważnych spraw, rozstrzygających się w kraju.

Od chwili, gdy Garrison, Lorejoy <sup>1)</sup> i inni rozwinęli działalność, dążącą do zniesienia niewolnictwa, niewolnicy śledzili bacznie ich pracę. Byłem małym dzieckiem w epoce poprzedzającej wybuch wojny domowej i podczas samej wojny; ale przypominam sobie dokładnie rozprawy, prowadzone szeptem późno w nocy przez moją matkę i in-

---

<sup>1)</sup> Garrison i Lorejoy byli przywódcami abolicjonistów, t. j. tych, którzy dążyli do zniesienia niewolnictwa. William Lloyd Garrison (1805—1879) założył w 1831-ym roku w Bostonie dziennik, zwalczający niewolnictwo. Lorejoy (1802—1837) był pastorem i dziennikarzem. Został zamordowany przez wrogie tłumy w Altonie.

nych niewolników. Rozprawy te były dowodem, że rozumieli oni położenie i że wiedzieli o tem, co się działo, dowiadując się wszystkiego za pośrednictwem „pantoflowej poczty.“

Kiedy Lincoln wystąpił poraz pierwszy jako kandydat na prezydenta, niewolnicy na naszej plantacyi, odległej o wiele mil od kolei, od wielkiego miasta i dzienników, wiedzieli dokładnie o wszystkich sprawach, nad któremi się naradzano. Na początku wojny Południa z Północą nie było w naszej plantacyi ani jednego niewolnika, któryby tego nie rozumiał, że oprócz innych punktów spornych, najważniejszą ze wszystkich jest sprawa niewolnictwa. Nawet najmniej oświeceni ludzie mojej rasy, na najodleglejszych plantacyach—czuli doskonale, że wyzwolenie niewolników będzie najważniejszym wynikiem wojny, jeżeli armie z Północy zwyciężą. Każde ich powodzenie i każda porażka sił skonfederowanych były śledzone z najwyższem zajęciem. Niekiedy niewolnicy mieli wcześniej od białych wiadomość o stoczonej bitwie. Wiadomości te zbierali najczęściej murzyni, posyłani na pocztę po dzienniki. Poczta była o jakieś trzy mile od naszej plantacyi, a dzienniki przychodziły raz lub dwa razy tygodniowo. Człowiek, posłany na pocztę, kręcił się naokoło biura poty, póki nie schwytał treści rozmów ludzi białych, zbierających się tam dla robienia nowin, otrzymanych w listach. Posłaniec, powracając do domu naszego pana, rozpowiadał po drodze usłyszane szczegóły pomiędzy niewolnikami, którzy w ten sposób dowiadywali się o ważnych zdarzeniach wcześniej niż biali z „Wielkiego Domu“, jak nazywali murzyni mieszkanie pana.

Nie przypominam sobie z lat mego dzieciństwa lub młodzieńczych ani jednego wypadku, w którymby nasza rodzina zebrała się razem przy stole, odmówiła modlitwę i spożyła wspólny posiłek, jak czynią ludzie ucywilizowani. Na plantacyach w Wirginii dzieci zdobywały sobie żywność mniej więcej

jak zwierzęta. Tu kawałek chleba — tam kawałek mięsa, tu kubek mleka—tam parę kartofli. Niekiedy kilku członków rodziny jadło z kociołka, a reszta z blaszanego talerza, postawionego na kolanach i bez innych narzędzi, oprócz palców. Kiedy już trochę podrosłem, zostałem wezwany do „Wielkiego Domu“, gdzie podczas każdego posiłku odpędzałem muchy poruszaniem maszyneryi, złożonej z papierowych wachlarzy, wprawianych w ruch za pomocą bloka. Łatwo się domyśleć, że rozmowa białych obracała się przeważnie około spraw wyzwolenia i wojny, a ja nie traciłem z niej ani słowa. Widzę jeszcze jedną z moich młodych pań i kilka pań przybyłych w odwiedziny, jak zajadały na dziedzińcu pierniki. W owym czasie ze wszystkich ciastek najwięcej mnie nęciły pierniki: zdawało mi się wtedy, że jeżeli kiedykolwiek dojdę do wolności, najgorętszem mojem życzeniem będzie kupować pierniki i jeść je z równą przyjemnością, jak jadły je moje młode panie.

W miarę przedłużania się wojny, biali mieli trudność w zdobywaniu sobie żywności. Pewny jestem, że niewolnicy nie doznawali podobnych braków jak biali, bo zwykłem ich pożywieniem był chleb i wieprzowina, produkty, których dostarczała plantacya, gdy tymczasem kawa, herbata, cukier i inne rzeczy, używane przez białych, nie mogły być uprawiane, ani dowożone skutkiem wojny. Biali byli często w kłopotcie. Używali palonego zboża zamiast kawy, a rodzaj czarnej melasy zastępował im cukier. Czasami pili herbatę i kawę zupełnie bez cukru.

Pierwsze obuwie, jakie dostałem, było drewniane. Trzewiki te, obite grubą skórą, miały podeszwy i napiętki z drzewa półcałowej grubości. Kiedy szedłem, stukwały piekielnie, a prócz tego były bardzo niewygodne, bo nie mogły się ułożyć do nogi. W takim obuwii ruchy były niewypowiedzianie niezgrabne. Ale najcięższą próbą, jaką musiałem prze-

być za czasów niewolnictwa, było noszenie koszuli „plóciennej“. W tych stronach Wirginii, gdzie mieszkaliśmy, niewolnicy ubierani byli w plócienne odzienie. Płótno dla nas wyrabiano się z lnianych odpadków, było naturalnie najtańsze i najgrubsze. Nie wyobrażam sobie męczarni, któreby można porównać z tą, jaką sprawiała nowa, plócienna koszula: porównać to można chyba z wyrwaniem zęba. Uczucie to było podobne temu, jakie wywołuje klucie kolców kasztanowych, lub setki szpilek wciskanych w skórę. Dziś jeszcze odczuwam męczarnie, jakie cierpiałem za każdym razem, gdym kładł nowe ubranie. Na nieszczęście, miałem skórę zbyt delikatną i wrażliwą, Ale nie było rady. Trzeba było nosić plócienną koszulę lub chodzić nago; gdyby mi pozostawiono wybór, byłbym wolął chodzić bez żadnego odzienia.

Mój brat Jan spełnił przytem jeden z najwspaniałomyślniejszych czynów, jakie kiedykolwiek spełnił niewolnik dla drugiego niewolnika. Kilka razy, gdy byłem zmuszony wdziwać nową koszulę, ofiarowywał się nosić ją za mnie przez kilka dni, dopóki nie zmiękła. W dzieciennych latach koszula była jedynem mojem ubraniem.

Z tego, co opowiadam, możnaby wnosić, że murzyni musieli żywić uczucie nieprzyjaźni względem białych, których większość brała udział w wojnie, mającej sprowadzić ujarzmienie niewolników w razie, gdyby Południe odniosło zwycięstwo.

O ile się to dotyczy niewolników na naszej plantacyi, nie było tego bynajmniej, i toż samo działo się w całej masie ludności niewolniczej na Południu, wszędzie, gdzie z murzynem obchodzono się znośnie. Podczas wojny domowej jeden z moich młodych panów poległ, a dwaj jego bracia byli ciężko ranni. Pamiętam smutek, jaki zapanował między murzynami, kiedy się dowiedzieli o śmierci „pana Billy“. Nie była to boleść udana, ale zupełnie szczerą.

Niektórzy z pomiędzy niewolników niańczyli „pana Billy“, kiedy był małym; inni bawili się z nim. „Pan Billy“ nieraz uzyskiwał dla nich łaski i przebaczenie, kiedy rządca lub pan skazywali ich na chłostę. Boleść w dzielnicy niewolników nie mniejsza była od żalu w „Wielkim Domu“, kiedy przywieziono dwóch paniczów rannych. Niektórzy prosili o pozwolenie czuwania w nocy przy paniczach. Ta tkliwość i przywiązanie ze strony ludzi, żyjących w więzach niewolnictwa, wynikały z ich dobrej i szlachetnej natury. Kiedy biali wyruszyli na wojnę, niewolnicy oddaliby życie w obronie ich żon i dzieci na plantacjach. Niewolnik, wybrany do pilnowania w nocy „Wielkiego Domu“ podczas nieobecności panów, uważał to za zaszczytny obowiązek. Ten, kto by się ośmielił podnieść rękę na którą z pań lub panienek, musiałby przedtem przejść po trupie niewolnika. Nie wiem, czy wielu ludzi zwróciło na to uwagę, ale sądzę, że każdy przyzna słusność memu twierdzeniu, iż mało jest przykładów, ażeby murzyn—czy jako człowiek wolny, czy jako niewolnik—zdradził zaufanie, położone w nim w jakimś nadzwyczajnem zdarzeniu.

Można śmiało twierdzić, że wogóle — i przed wojną i podczas wojny — murzyni nie mieli niechęci względem rasy białej; zdarzały się nawet liczne wypadki, że murzyni opiekowali się swymi panami, którzy z jakichkolwiek powodów popadli w ubóstwo. Wiem o takich dawnych panach, co uniknęli nędzy tylko dzięki pieniądzom, przysyłanym im przez długie lata przez byłych niewolników. Wiadome mi też są fakta, że dawni niewolnicyłożyli na wykształcenie potomków swoich panów. Wiem o jednym białym młodzieńcu, synu byłego plantatora, który przez pijaństwo doszedł do takiej nędzy i zezwierzęczenia, że budził ogólną litość. Otóż pomimo ubóstwa murzynów na tej plantacji, od wielu już lat dostarczają oni temu młodemu człowiekowi środków do życia.

Jeden przysyła mu kawy, drugi cukru, inny mięsa i tak dalej. Wszystko, co mają, przeznaczają się dla syna „starego pana Toma“ i nie będzie mu zbywało na niczem, dopóki żyć będzie choć jeden z tych, którzy znali „starego pana Toma“.

Wspomniałem już, że rzadko się zdarza, ażeby człowiek mojej rasy zdradził położone w nim zaufanie. Spotkałem niedawno w małym miasteczku w stanie Ohio dawnego niewolnika, który zobowiązał się na dwa, czy trzy lata przed zniesieniem niewolnictwa, płacić corocznie swemu panu umówioną kwotę, jako okup, a przez ten czas miał prawo iść za zarobkiem, gdzie zechce i pracować, za jaką chce zapłatę. Uważając, że w stanie Ohio zarobki są większe, tam się udał. Kiedy prawo obdarzyło go już wolnością, dłużny był jeszcze swemu panu około trzystu dolarów. Sam fakt zniesienia niewolnictwa zwalniał go z wszelkich względem dawnego właściciela zobowiązań. Pomimo to, murzyn ten poszedł pieszo do samej Wirginii, gdzie mieszkał dawny jego pan, ażeby mu oddać do własnych rąk cały dług do ostatniego dolara, z należnemi procentami.

Opowiadając to, człowiek ten dodał, że wiedział dobrze, iż nie jest obowiązany do splacenia tego długu, ale raz dawszy słowo, chciał go dotrzymać, bo nigdy nie uchybił przyrzeczeniu. Zdawało mu się, że nie mógłby cieszyć się wolnością, dopóki nie wypełni swych zobowiązań.

Może kto z tego, co opowiadam, wyprowadzi wniosek, że niewolnicy nie pragnęli wolności; ale nie byłoby to zgodne z prawdą. Nie widziałem ani jednego, któryby nie pragnął być wolnym, lub życzył sobie powrócić do stanu niewolnictwa.

Żałuję z całego serca narodu, czy pewnej grupy osobników, o tyle nieszczęśliwych, że pozwoliły się schwytać w sidła niewoli. Oddawna już przestałem odczuwać gorycz względem białych z Południa. Nie można utrzymywać, że jedne okolice kraju są wię-



cej od drugich winne niewolnictwu, które było uznane i tolerowane przez Rząd Stanów Zjednoczonych przez całe lata. Urządzenie to raz wprowadzone w życie społeczne i ekonomiczne Stanów, niełatwe było do wyrugowania. Z drugiej strony jednakże, gdy — odrzuciwszy wszelkie uprzedzenia rasowe i stronność—weźmiemy pod uwagę same fakty, to musimy uznać, że pomimo okrucieństwa i niesprawiedliwości systemu niewolnictwa, dziesięć milionów murzynów, wychowanych w szkole amerykańskiej niewoli, pozostaje w nierównie lepszych warunkach pod względem materialnym i religijnym, niż ich czarni bracia w jakiegokolwiek stronie świata. Jest to tak dalece prawdą, że murzyni z Ameryki, którzy przebyli okres niewolnictwa, wracają ciągle do Afryki, jako misjonarze, dla kształcenia tych, którzy pozostali w ojczyźnie.

Nie mówię tego dla usprawiedliwienia niewolnictwa; nie!—bo zlorzęczę mu jako urzędzeniu, które zaprowadzone zostało w Ameryce—o czym wszyscy wiemy — dla celów samolubnych i pieniężnych zysków, a nie z powodów humanitarnych; chciałem tylko zwrócić uwagę na to, że często Opatrzność używa ludzi i ludzkich urzędzeń dla przeprowadzenia swoich zamiarów. Tym, którzy mnie zapytują nieraz, jakim sposobem w tak rozpaczliwych warunkach, w jakich żyjemy, mogę mieć niezachwianą ufność w przyszłość mojej rasy w tym kraju, przypominam te utrapienia, przez jakie kazała nam przechodzić Opatrzność i z których wyprowadziła nas szczęśliwie.

Odtąd doszedłem do wieku, w którym mogłem się zastanawiać nad temi rzeczami. Myślałem zawsze, że—pomimo okrutnych cierpień, jakich był ofiarą—murzyn skorzystał z niewolnictwa tyleż, co biały człowiek. Jednakże tylko murzyni odczuwali zgubne jego następstwa. Widoczne to było na naszej plantacji. Cały system niewolnictwa był urządzony w ten sposób, że praca <http://www.mich.org.pl> według ogólnego pojęcia—była

uważana za poniżenie i oznakę niższości. Skutkiem tego obie rasy, zgromadzone na plantacyi, usiłowały uchylić się od niej. W naszym kraju system niewolnictwa bezwzględnie pozbawił w znacznej mierze białych ludzi zaufania we własne siły i ducha przedsiębiorczości. Mój stary pan miał dużo córek i synów, ale żadne z jego dzieci—o ile wiem—nie obrało sobie żadnego zawodu, nie wzięło się do żadnego korzystnego zajęcia. Dziewczynki nie uczyły się ani szyc, ani gotować, ani zarządzać gospodarstwem. Niewolnicy spełniali te czynności; nie mieli oni żadnego osobistego interesu, któryby ich łączył z plantacyą; brak oświaty sprawiał, że nie wykonywali roboty porządnie i starannie. Skutkiem tego ogrodzenia były porujnowane, bramy wypadały z zawias, drzwi w domach skrzypiały, szyby w oknach były potłuczone, tynk z murów opadał, a nikt nie pomyślał o naprawieniu — dziedzińce zarastały trawą.

Zazwyczaj gotowano jedzenie dla białych osobne, a inne dla murzynów. Ale i temu, co przyrządzano dla panów, brakowało delikatności i wykwintu w szczegółach, które z domu czynią miejsce pobytu najwygodniejsze i najbardziej pociągające na świecie. Z drugiej strony marnowanie żywności i wszystkiego było oburzające. Kiedy ogłoszono zniesienie niewolnictwa, niewolnicy, tak samo jak ich panowie, byli nieprzygotowani do rozpoczęcia nowego życia, z wyjątkiem pojęć o własności i o jej zarządzie. Właściciel niewolników i jego synowie nie mieli żadnej profesyi. Byli oni przesiąknięci nawskroś przekonaniem, że ręczna praca nie odpowiada ich godności. Niewolnicy przeciwnie — znali rzemiosła. Żaden z nich nie wstydził się pracy i niewielu uchylało się od niej.

Nareszcie wojna skończyła się i nastął dzień wyzwolenia. Był to dzień pamiętny i obfitujący w wypadki. Oczekiwaliśmy go oddawna. Czuć było w powietrzu tchnienie wolności i od kilku już

miesiący zbiegowie z wojska ściągali do domów. Inni, uwolnieni przez władzę, lub ci, których pułki zostały rozpuszczone na słowo, przechodzili bezustannie przed nami. „Pantoflowa poczta“ czynna była dniem i nocą. Wieści i pogłoski o ważnych wydarzeniach przebiegały szybko z jednej plantacji na drugą. W obawie najazdu z Północy, srebra i inne przedmioty zostały wyniesione z „Wielkiego Domu“ i zakopane w ziemi, a straż nad nimi powierzono zaufanym niewolnikom. Biada temu, kto by się odważył tknąć zakopanych skarbów! Niewolnicy gotowi byli dawać amerykańskim żołnierzom wszystko: jado, napoje, odzież—wszystko—z wyjątkiem tego, co zostało powierzone ich pieczy.

W miarę, jak zbliżał się dzień uroczysty, śpiewy w murzyńskiej dzielnicy rozlegały się coraz donośniej. Były głośniejsze, śmielsze i trwały do późnej nocy. Po większej części w pieśniach tych pełno było wzmianek o wolności. Niewolnicy zapewne śpiewali je i dawniej, ale tłómaczyli się zawsze, że wolność, o której mowa, odnosi się do innego świata i nie ma nic wspólnego z życiem ziemskim. Ale teraz zrzucali maskę i nie taili, że „wolność“, o której śpiewają, jest wolnością murzyńców na tej ziemi. Ostatniej nocy przed tym dniem pamiętnym zawiadomiono dzielnicę niewolników, że następnego rana odbędzie się coś niezwykłego w „Wielkim Domu“. Można upewnić, że nikt nie spał tej nocy; wzruszenie było ogólne. Nazajutrz wczesnym rankiem nakazano stawić się wszystkim niewolnikom, młodym i starym. Poszedłem i ja z matką, bratem i siostrą—w towarzystwie innych niewolników—do domu pana.

Cała rodzina naszego właściciela zebrana była na werandzie, jedni stali, drudzy siedzieli, a wszyscy chcieli widzieć i słyszeć wszystko. Na twarzach ich widać było szczere zajęcie, może i smutek—ale ani śladu goryczy. Przypominając sobie, teraz to wrażenie, wnoszę, że boleli oni nie nad tem, iż tracą

swą własność, lecz nad tem, że rozstają się z tymi, których wychowywali i z którymi łączyły ich tak rozliczne węzły.

Najwyraźniej w tej chwili wraził się w moją pamięć jakiś obcy pan (urzędnik Stanów Zjednoczonych zapewne), który miał krótką przemowę i odczytał długi akt, ogłaszający zniesienie niewolnictwa. Po odczytaniu aktu oznajmiono nam, że jesteśmy wolni i możemy iść gdzie i kiedy zechcemy. Matka schyliła się i uściskała nas, a lzy radości płynęły po jej twarzy. Wytłómaczyła nam wszystko, mówiąc, że zawsze modliła się o nadejście tego dnia, i obawiała się, czy nastanie on za jej życia.

W pierwszych chwilach zawrzała szalona radość, dziękczynne modły i wybuchy niewymownego zapалу. Nie było w tem wszystkim ani śladu rozgoryczenia. Przeciwnie—niewolnicy czuli litość dla swoich dawnych panów.

Ale ta szalona radość oswobodzonych murzynów trwała tylko chwilę: po powrocie do chat zmieniło się ich usposobienie. Odpowiedzialność, jaką wolność prowadzi za sobą—konieczność radzenia sobie i dzieciom—zaczęły ich niepokoić. Podobni byli do dzieci dwunastoletnich, któreby puszczono w świat bez opieki, nakazując myśleć samym o sobie. Kilka godzin zaledwie wystarczyło na to, ażeby ich postawić oko w oko z życiowem zagadnieniem, które rasa anglo-saksońska od wieków uczyła się rozwiązywać: a mianowicie z kwestyą znalezienia mieszkania, wyboru rzemiosła, wykształcenia dzieci—a przytem obowiązki społeczne, konieczność utworzenia kościoła i utrzymywania go własnym kosztem.

Możnaż się zatem dziwić, że w ciągu kilku godzin radosne okrzyki ustąpiły miejsca uczuciu głębokiego zgnębienia w całej dzielnicy niewolników. Wolność teraz, gdy ją już otrzymali, wydawała się dla wielu z nich większym ciężarem, niż sobie wyobrażali.

Byli między nimi i tacy, którzy mieli po siedemdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt lat. Nie mieli już sił do zdobycia stanowiska u nowych panów, choćby nawet udało się im znaleźć inne miejsce zamieszkania. Dla tych wolność otrzymana była raczej kłopotem. Przytem w głębi serca żywili oni dziwne i niepojęte uczucie dla swoich „starych panów“ i dla ich dzieci, uczucie, któremu nie mogli się obronić. Przebyli razem więcej, niż pół wieku, a w takich razach niełatwo myśleć o rozłączeniu. Więc i starzy niewolnicy wymykali się ukradkiem jeden za drugim ze swojej siedziby i szli do „Wielkiego Domu“, ażeby naradzić się z dawnym panem co do swojej przyszłości

---

## ROZDZIAŁ II.

### MOJE LATA DZIECINNE.

---

Po ogłoszeniu wolności wszyscy murzyni z naszej plantacyi byli w zupełnej zgodzie co do dwóch rzeczy — a sądzę, że tak samo było u wszystkich murzynów w Południowych Stanach, to jest co do wyboru jakiegoś nazwiska i konieczności opuszczenia plantacyi w ciągu kilku dni, a przynajmniej kilku tygodni, ażeby uczuć, że się jest naprawdę wolnym.

Tak, czy owak, zgodzili się na to wszyscy, że nie wypada im już nosić nazwiska dawnych właścicieli i wielu z nich śpieszyło się zmieniać je na inne. Była to jedna z pierwszych oznak wolności. Jako niewolnik, murzyn nazywany był poprostu Janem lub Zuzanną. Rzadko kiedy potrzeba było czegoś więcej oprócz imienia. Jeżeli „Jan“ albo „Zuzanna“ byli własnością białego, który nosił nazwisko „Hetcher“, nazywano ich niekiedy Janem Hetchera, lub

Zuzanną Hetchera. Ale tego rodzaju nazwa nie mogła pasować człowiekowi wolnemu, więc w wielu razach Jan Hetcher zamieniał się na Jana S. Lincoln lub Jana S. Shermana. Litera S., nie zastępując imienia, stanowiła to, co murzyni nazywali z dumą swoim „przedimkiem“<sup>1)</sup>).

Jak już wspomniałem, większa część murzynów opuściła plantacje choćby na krótko, dla przekonania się, że mają prawo zmieniać miejsce pobytu i dla pokosztowania wolności. Przepędziwszy gdzieś indziej pewien czas, znaczna liczba starych niewolników powróciła do dawnych panów i zawarła z nimi umowę, na mocy której zostali umieszczeni w ich posiadłościach.

Mąż mojej matki, który był ojczymem brata mojego Jana i moim, był własnością innego pana niż matka. Przychodził nawet rzadko na naszą plantację. Pamiętam, że widywałem go raz na rok, około Bożego Narodzenia.

Podczas wojny uciekł i przyłączył się do armii północnej i z niemi razem wszedł do nowego stanu Wirginii Zachodniej. Po ogłoszeniu aktu uwolnienia sprowadził moją matkę do stanu Kanawha (w Wirginii Zachodniej). W owych czasach podróż przez góry Wirginii do Wirginii Zachodniej nie była przyjemną wyprawą bynajmniej. Upakowaliśmy na wózek trochę łachmanów i narzędzi gospodarskich, jakie były naszą własnością, ale dzieci musiały iść pieszo przez znaczną część drogi, to jest parę set mil<sup>2)</sup>).

Żadne z nas nie było nigdy po za granicami plantacyi. Podróż więc z jednego stanu do drugiego

---

<sup>1)</sup> Większość amerykańców ma zwyczaj pomiędzy imię a nazwisko wstawiać literę, którą nazywają zwykle nazwiskiem środkowym (*middle name*), a co najczęściej bywa nazwiskiem matki.  
(p. tł.)

<sup>2)</sup> Angielskich, których 5 idzie na milę geograficzną. D. tł.

była wypadkiem nadzwyczajnym. Chwila rozstania z dawnymi panami i towarzyszami była bardzo uroczysta.

Od tej chwili aż do dnia ich zgonu prowadziliśmy korespondencję ze starszymi członkami rodziny naszych państwa, a następnie utrzymywaliśmy stosunki z ich dziećmi. Podróż nasza trwała kilka tygodni, a w jej ciągu nocowaliśmy najczęściej pod gołym niebem i gotowaliśmy przy ogniu rozpalonym w lesie. Pamiętam, że jednej nocy obozowaliśmy przy drewnianej chacie, stojącej pustką, a matka chciała w niej rozpać ogień do ugotowania wieczerzy i rozłożyć siennik na nocleg. Ale zaledwie ogień się rozpać, olbrzymi czarny wąż, długi co najmniej na półtora metra, wysunął się z komina i rozłożył na ziemi. Naturalnie uciekliśmy zaraz z chaty. Po długiej podróży przybyliśmy wreszcie do celu, do miasteczka zwanego malden, o pięć mil od Charlestonu, obecnej stolicy stanu.

Przemysł tej części Wirginii Zachodniej stanowiły kopalnie soli, a miasteczko Malden położone było wpośród warzeln. Mój ojczym znalazł pracę w jednej z fabryk, produkujących sól w kryształach, i zajął chatę przeznaczoną na nasze mieszkanie. Nowa siedziba nie lepsza była od tej, którą pozostawiliśmy na plantacyi. Rzeczywiście była nawet gorsza od tamtej. Chata na plantacyi, mimo że zrujnowana w sposób opłakany, była przynajmniej tak położona, że mogliśmy oddechać świeżem powietrzem. Nowa zaś chata stanowiła część zwartych budowli, a że nie było żadnych przepisów sanitarnych, niechlujstwo w otoczeniu tych domostw było często nie do zniesienia. Pomiędzy naszymi sąsiadami byli murzyni i biali, a ci ostatni należeli do klasy nędzarzy, nieoświeconych i spodlonych. Była to dziwaczna zbieranina. Pijaństwo, gra, bójki, kłótnie i niemoralne życie składały się na żywot tych ludzi. Wszyscy, zamieszkujący w mieście, byli mniej lub więcej złączeni z kopalniami soli. Byłem bardzo

mały, ale jednak dla mojego brata i dla mnie ojczym znalazł zajęcie w warzelni. Nieraz musiałem być przy pracy już o czwartej rano.

Początek mojej nauki sięga tych czasów, gdy pracowałem w warzelni soli. Każdy z pakowaczy miał swoje beczki znaczone odmienną liczbą. Mój ojczym miał numer 18. Po ukończonej robocie przywódca pakowaczy kładł ten numer na wszystkich naszych beczkach i wkrótce nauczyłem się rozpoznawać tę liczbę, gdziekolwiek ją spostrzegłem, i nauczyłem się ją znaczyć, nie znając innych liczb, ani liter.

Jak tylko mogę sięgnąć pamięcią przypominam sobie, że zawsze miałem gorącą chęć nauczyć się czytać. Dziekiem jeszcze będąc zrozumiałem, że choćbym nie doszedł do niczego innego w życiu, będę przynajmniej miał tyle, ażeby czytać książki i dzienniki. Zaledwie osiedliliśmy się w naszej sadybie w Zachodniej Wirginii, zacząłem błagać matkę o książkę. Zkąd i jakim sposobem zdobyła ją — nie wiem; wiem tylko, że wynalazła mi stary w niebieskiej okładce elementarz Webstera, w którym był alfabet i sylaby bez sensu, takie, jak *ab ba ca da*. Zacząłem pożerać tą książkę, pierwszą, jaką miałem w ręku. Słyszałem, że chcąc nauczyć się czytać, trzeba poznać alfabet; usiłowałem tedy przyswoić go sobie wszelkimi możliwymi sposobami, bez pomocy nauczyciela, gdyż nie miałem żadnego. W owych czasach nie było w mojem otoczeniu ani jednego człowieka mojej rasy umiejącego czytać, a byłem zbyt bojaźliwy, żeby się zwrócić do białych. Po kilku tygodniach doszedłem jednak do tego, że znalazłem już większą część alfabetu. Matka dzieliła moją ambicję i pomagała mi, o ile mogła. Nie miała ona nic, co się tyczy mądrości książkowej, ale miała dużo ambicyi dla dzieci i wielki podkład zdrowego rozsądku, który dopomagał jej do stawienia czoła każdej trudności i wyjścia z niej zwycięzko. Jeżeli dokonałem w życiu czegokolwiek godnego uwagi,



zawdzięczam to niezawodnie tej właśnie zdolności, odziedziczonej po matce.

W tym czasie gdy wysilałem się na nauczenie się alfabetu, przybył do Maldenu młody murzyn, który umiał czytać. Jak tylko murzyni dowiedzieli się o tem, postarali się o dziennik i codziennie po skończonej robocie młodego człowieka otaczała grupa mężczyzn i kobiet, żądnych dowiedzenia się nowin. Jakże mu zazdrościłem, temu młodzieńcowi! Zdawało mi się, że to człowiek najgodniejszy zazdrości na całym świecie i zarazem najszcześliwszy.

W tym właśnie czasie zaczęto roztrząsać projekt otworzenia szkoły dla dzieci murzyńskich. Projekt ten obudził wielkie zajęcie i miała to być w tej części Wirginii pierwsza szkoła dla murzynów, co było wydarzeniem wielkiej wagi. Najtrudniejszą sprawą było znalezienie nauczyciela. Przez chwilę myślano o młodzieńcu z Ohio, który czytywał dzienniki, ale wiek jego stanął na przeszkodzie. Przez czas poszukiwania nauczyciela doszła wiadomość o innym młodym murzynie z Ohio, który służył przedtem w wojsku i mieszkał teraz w mieście. Okazało się, że ma odpowiednie wykształcenie i został ugodzony na nauczyciela pierwszej murzyńskiej szkoły. A ponieważ do tej pory nie było w tych stronach żadnej szkoły dla murzynów, każda rodzina zgodziła się płacić pewną sumę miesięcznie pod warunkiem, że nauczyciel będzie kolejno przebywał jeden dzień w każdym z domów. Urządzenie to nie było niekorzystne dla nauczyciela, bo w każdym domu podawano tego dnia na stół, co było najlepszego. Pamiętam, z jaką niecierpliwością i podnieceniem apetytu oczekiwałem zawsze „dnia nauczyciela“ w naszej chacie.

Ten fakt, że cała masa murzyńska zgodziła się uczęszczać do szkoły, jest jednym z najciekawszych objawów, jakie kiedykolwiek zdarzyły się w rozwoju rasy. Tylko ludzie zamieszkałi wśród ludności

murzyńskiej, potrafią wyobrazić sobie zapal do nauki jaki objawiali ci ludzie. Jak powiedziałem, cała czarna ludność zasiadła na szkolnej ławie. Niewielu było takich, którzy uważali się za zbyt młodych — a takich, którzyby się uważali za zbyt starych, żeby próbować — nie było wcale. Po znalezieniu nauczycieli, nie tylko dzienne, ale i wieczorne kursa zostały skompletowane. Ambicyą starców było, żeby przed śmiercią mózż czytać Biblię i dlatego na kursach wieczornych bywali często mężczyźni i kobiety, mający pięćdziesiąt, a czasami po siedmdziesiąt pięć lat. Były także i szkoły niedzielne, zaprowadzone zaraz po zniesieniu niewoli, ale w tych główną książką, jaką studyowano, były abecadniki. Kursa dzienne, wieczorne i niedzielne były tak przepelnione, że trzeba było odprawiać uczniów dla braku miejsca.

Otwarcie szkoły w *Ranawha walley* połączone było dla mnie z największym zawodem w życiu. Od kilku już miesięcy pracowałem w warzelni soli i ojczym przekonał się, że mogę zarabiać, więc jak tylko szkoła została otwarta, oznajmił, że nie może obejść się bezemnie. Postanowienie to zagrażało wszystkim moim zamiarom, a zawód był tem okrutniejszy, że z miejsca, w którym pracowałem, mogłem widzieć dzieci szczęśliwe, idące do szkoły rano i wieczorem. Pomimo to, postanowiłem uczyć się i gorliwiej jeszcze studyowałem abecadło w książce z niebieską okładką.

Matka podzielała moje zmartwienie, usiłowała mnie pocieszyć na wszelkie możliwe sposoby i pomogła zdobyć to, do czego dążyłem. Udało mi się ułożyć z nauczycielem, który zgodził się udzielać mi lekcyi po skończonej robocie. Tak bardzo się cieszyłem temi lekcyami, że o ile mi się zdaje, korzystałem więcej przez wieczór, niż inni przez cały dzień. Korzyści, jakie odniosłem z lekcyi wieczornych, zachęciły mnie później do zaprowadzenia w Hampton i w Tuskegee kursów wieczornych. Ale w głębi

dziecinnego serca przechowywałem pragnienie uczęszczania do szkoły i nie opuszczałem żadnej sposobności dla poparcia mojej sprawy. Odniosłem wreszcie zwycięstwo: pozwolono mi chodzić przez kilka miesięcy na kursa dzienne, pod warunkiem, że będę wstawał wcześniej i pracował do dziewiątej, a po południu, po wyjściu ze szkoły, będę przychodził na dwie godziny do roboty.

Szkoła była dość daleko od warzelni; a że trzeba było pracować do dziewiątej i w szkole być też o dziewiątej — miałem trudność nie lada. Lekcje były zawsze zaczęte w chwili mego przybycia, a w mojej klasie wydawanie było już skończone. Dla wydobycia się z kłopotu, uległem pokusie, za co większość czytelników potępi mnie z pewnością; ale pomimo to, muszę powiedzieć jak było rzeczywiście. Mam zawsze wielkie zaufanie do potęgi i wpływu faktów. Przemilczanie ich nigdy na korzyść nie wychodzi. Otóż w biurze warzelni był zegar. Podług niego naturalnie regulował się dzień przeszło stu robotników. Przyszło mi na myśl, że dość będzie przesunąć wskazówki zegara z ósmej na pół do dziewiątej, ażeby zdążyć na czas do szkoły i robiłem to w dzień, dopóki nadzorca warzelni spostrzegłszy jakąś nieprawidłowość, nie zaczął zamykać na klucz szafki zegarowej. Ja osobiście nie miałem zamiaru wyrządzać nikomu krzywdy. Chciałem tylko móc zdążyć na czas do szkoły.

W klasie umiałem walczyć z innymi trudnościami. Wszyscy uczniowie nosili kapelusze lub czapki, a ja nie miałem ani jednego, ani drugiego. Zresztą nie przypominam sobie, żebym do owej pory miał jakiegokolwiek nakrycie głowy i nie zdaje mi się, żeby ktokolwiek z mojej rodziny uważał za potrzebne nakrywanie głowy. Naturalnie, widząc, że to czynią moi koledzy, zacząłem się czuć upokorzony. Według zwyczaju, zwierzyłem się z kłopotu matce, która mi powiedziała, że niema środków na kupno kapelusza w sklepie, co było w tej chwili wielką nowością dla

ludzi mojej rasy, młodych, czy starych, ale że znajdzie sposób zadowolenia moich pragnień. Wzięła dwa kawałki sukna, zeszyła je i doszedłem tym sposobem do pierwszej czapki, z której byłem dumny, jak król.

Matka moja tego dnia dała mi naukę, której nie zapomniałem nigdy i którą starałem się ile możności zużytkować dla drugich. Myśląc o tem zdarzeniu, doznawałem zawsze uczucia dumy na myśl, że matka miała tyle siły charakteru, iż nie popadła w błąd tych, którzy usiłują się przedstawić w fałszywym świetle. I dla tego nie kupiła mi w sklepie kapelusza, któryby moim kolegom nasunął przypuszczenie, iż jest zamożniejszą, niż była w istocie. Szczycę się tem, że nie zadłużyła się na kupno rzeczy, na którą nie miała pieniędzy. Od tego czasu miałem już różnego rodzaju kapelusze i czapki, ale żadna z nich nie sprawiła mi takiego zadowolenia, jak czapka uszyta przez matkę z dwóch kawałków sukna, zrobionego w domu.

Od tej pory zauważyłem nie bez przykrości, co muszę wyznać, że z pośród kolegów, którzy wchodzili w życie w kapeluszach kupionych u kapelusznika i szydzili z mojej czapeczki uszytej w domu, wielu skończyło swój zawód w więzieniu, a inni nie mają dziś środków na kupienie sobie jakiegokolwiek nakrycia głowy.

Drugi mój kłopot był z wyborem nazwiska. Od najmłodszych lat wołano na mnie „Booker“. Przed pójściem do szkoły nie przychodziło mi na myśl, że byłoby pożytecznem lub potrzebnem drugie nazwisko. Kiedy wywoływano nas przy lekeyach, zauważyłem, że wszystkie dzieci miały przynajmniej po dwa imiona; były nawet takie, które pozwoliły sobie na trzy, co już wydawało mi się zbytkiem. Byłem w wielkim kłopotcie, bo wiedziałem, że nauczyciel zapyta mnie o drugie imię, a ja miałem, tylko jedno. Kiedy przyszła na mnie kolej, błysnęła mi świetna myśl, która według mego przekonania stawiała mnie

we właściwym położeniu i kiedy nauczyciel zapytał o imię i nazwisko, odrzekłem spokojnie:

— Booker Washington.

Jak gdybym całe życie nosił te imiona. Od tej chwili ludzie znają mnie pod tem nazwiskiem.

Później dowiedziałem się, że matka nadała mi imiona Booker Taliaferro, ale wkrótce nazwisko to znikło i zatarto się; dowiedziawszy się o tem, powróciłem do niego i zacząłem się podpisywać: „Booker Taliaferro Washington“.

Przypuszczam, że wielu ludzi w tym kraju miało ten przywilej, co ja, żeby sobie samemu wybrać nazwisko.

Nieraz usiłowałem sobie wyobrazić, że zajmuję w społeczeństwie stanowisko dziecka lub człowieka, mającego szereg sławnych i szanowanych przodków, sięgających kilku stuleci i którzy przekazali mi nie tylko nazwisko, ale majątek z rodzinnymi dobrami, co mogło mnie przejmować dumą; pomimo to, doznaję niekiedy uczucia, że gdybym był odziedziczył takie przywileje i należał do rasy więcej lubianej, byłbym może skłonny do ulegania pokusie liczenia na zasługi przodków i na kolor skóry, i nie uczyniłbym dla osobistego mego rozwoju tego, co należało uczynić. Oddawna już postanowiłem, że nie mając przodków, pozostawię moim dzieciom takie wspomnienie po sobie, ażeby mogły być z niego dumne i żeby to mogło je zachęcić do dźwignięcia się jeszcze wyżej.

Świat nie powinienby sądzić murzyna, a szczególnie młodszego murzyna, zbyt pośpiesznie i surowo. Młody murzyn musi walczyć z przeszkodami, zniechęceniem i pokusami, których nawet nie domyślają się ci, co nie są w podobnym położeniu. Gdy biały młodzieniec rozpoczyna jaką pracę, ogólne zdanie wróży mu powodzenie, a młody murzyn w podobnym wypadku zadziwia wszystkich dopiero wtedy, jeżeli nie padnie w drodze. Jednym słowem, młody murzyn rozpoczyna życie otoczony uprzedzeniem.

Jednakowoż wpływ przodków na jednostki i co za tem idzie, na całą rasę, ma swoje znaczenie, pod warunkiem—żeby nie zawiele na to liczyć. Ci, którzy wykazują ciągle słabe strony młodego murzyna i porównują rozwój białego człowieka z murzynem, nie zdają sobie sprawy z wpływu wspomnień, unoszących się w domach starożytnych rodów. Nie mam wspomnień, jak już mówiłem, i nie wiem, kto była moja babka. Miałem i mam wujów, ciotki i krewnych, ale trudno byłoby mi wskazać gdzie są obecnie. W tem samem, co ja położeniu znajdują się setki i tysiące murzynów we wszystkich stronach kraju. Sam ten fakt, że młodzieniec z rodu białych wie, iż wrazie niepowodzenia stanie się hańbą dla rodziny, trwającej od wielu pokoleń, może niekiedy wystarczyć dla ocalenia od pokusy. To, że człowiek ma za sobą i wokoło siebie rodzinę, której historia i stosunki przejmują go dumą, jest już bodźcem do zwalczania wszystkich przeszkód.

Czas, udzielony mi na uczęszczanie do szkoły, był krótki, i prócz tego chodziłem bardzo nieregularnie. A nawet to chodzenie trwało krótko. Musiałem przerwać naukę i cały czas poświęcić warzelni. I wtedy znów uciekłem się do kursów wieczornych. Mogę przyznać, że większej części tego, co umiem, nauczyłem się wieczorami, po skończonej pracy. Czasami trudno mi było znaleźć odpowiedniego nauczyciela. Zdarzyło mi się raz odkryć, ku wielkiemu rozczarowaniu, że mistrz nie więcej umiał odemnie. Często musiałem iść pieszo kilka kilometrów, ażeby wydać lekcye. W każdym jednak razie, pomimo, że przechodziłem w dzieciństwie chwile smutne i zniechęcające, ani na jeden dzień nie zrzekłem się zamiaru zdobycia wykształcenia, bez względu na cenę wszelkich wysiłków.

Wkrótce po przybyciu do Zachodniej Wirginii matka przyjęła do rodziny, pomimo naszego ubóstwa, młodego chłopca, sierotę, któremu później nadaliśmy nazwisko James B. Washington. Od tej

chwili należał już do rodziny i nie rozstawał się z nami.

Pracowałem już dłuższy czas w warzelni, gdy wystarano się dla mnie o zajęcie w kopalni węgla, eksploatowanego głównie dla warzelni. Obawiałem się zawsze pracy w kopalniach węgla. Jednym z powodów było to, że się jest zawsze zasmolonym, przynajmniej w czasie roboty, i że trudno się domyć po całym dniu pracy. Prócz tego, chcąc się dostać od wejścia do kopalni do pokładów węgla, trzeba było iść co najmniej kilometr w głębokich ciemnościach. Sądzę, że nigdzie nie panują takie ciemności, jak w kopalniach węgla. Ta, o której mówię, podzielona była na wielką liczbę „komór“, czyli przedziałów, a że nie mogłem nigdy rozemnić ich położenia, błędziłem wiele razy. W dodatku nieraz światło mi zgasło i wtedy — jeżeli przypadkiem nie miałem zapalek — zmuszony byłem błąkać się w ciemnościach, dopóki nie napotkałem kogo. Praca była nie tylko ciężka, ale i niebezpieczna. Każdej chwili było się narażonym na niebezpieczeństwo wylecenia w powietrze skutkiem niespodziewanego wybuchu, lub też zmiążdżenia odłamami skały. Wypadki tego rodzaju powtarzały się często i przejmowały mnie nieustanną trwogą.

Dużo dzieci, i to bardzo młodych, zmuszonych było wtedy, tak jak i dziś, przepędzać znaczną część życia w kopalniach, nie mogąc się uczyć. Co zaś jeszcze smutniejsze, zauważyłem, że ogólnie młodzi ludzie, którzy rozpoczynają życie w kopalniach węgla, odznaczają się fizyczną i umysłową martwością. Nie mają innych pragnień, oprócz pozostania na zawsze w kopalniach.

W tych czasach i później już, jako młodzieniec, lubiłem sobie wyobrażać uczucia i dążenia białego młodzieńca, którego pragnień i czynów nie krępuje nic — zupełnie nic. Zazdrościłem tym białym, którym nic nie stoi na przeszkodzie do zostania posłem, gubernatorem prowincji, biskupem — a nawet

prezyentem rzeczypospolitej, dzięki urodzeniu i rasie. Próbowałem sobie wyobrazić, w jaki sposób postępowałbym w podobnych okolicznościach. Widziałem siebie na najniższych szczeblach drabiny, dźwigającego się stopniowo coraz wyżej, aż na sam szczyt.

Wyznaję, że obecnie nie zazdroszczę już białej młodzieży tak jak wtedy. Zrozumiałem, że powodzenie nie mierzy się stanowiskiem, do którego doszło się w życiu, lecz przeszkodami, które trzeba było zwalczać, ażeby dojść do niego. Z tego punktu zapatrując się na rzeczy, trzeba uznać, że urodzenie moje i niepopularność rasy, do której należę, są dla młodego murzyna korzyścią nieoszacowaną pod względem praktycznym. Z małemi wyjątkami, młody murzyn zmuszony jest do większego wysiłku i do doskonalszych rezultatów nauki niż młody biały, jeżeli chce, ażeby przyjęto jego pracę. Ale z tej walki twardej i zaciętej, którą zmuszony jest toczyć, wynosi on moc i zaufanie w swoje siły, których brakuje tym, co mają drogę wyrównaną przez urodzenie i warunki rasowe.

Z któregokolwiek punktu zapatruję się na to, wolę być tem, czem jestem—członkiem rasy murzyńskiej—niż chlubić się, że należę do rasy najbardziej uprzywilejowanej. Odczuwałem zawsze smutek, słysząc ludzi, chlubiących się prawami, przywilejami i wszelkimi wyróżnieniami, dzięki temu tylko, że należą do pewnej rasy, bez względu na osobiste zasługi i zawodową umiejętność. Nie mogłem nigdy obronić się uczuciu smutku, patrząc na tych ludzi, bo mam głębokie przekonanie, że sam fakt należenia do rasy uprzywilejowanej nie może podnieść rzeczywistej wartości człowieka, jaką ma sam przez siebie, ani też przynależność do rasy uważanej za niższą nie przeszkodzi temu, kto ma wartość osobistą i wewnętrzną, do wyniesienia się wyżej. Każda prześladowana istota — każda rasa prześladowana — znajdują pociechę w tem wielkiem prawie rządzącem



ludzkością — prawie ogólnem i odwiecznem — które stanowi, że każda zasługa, bez względu na to, pod jaką skórą się kryje, zostanie z czasem uznana i wynagrodzona. Nie mówię tego w celu zwrócenia uwagi na swoją osobę, tylko na rasę, do której — chlubię się, że należę.

---

### ROZDZIAŁ III.

#### WALKA O WYKSZTAŁCENIE.

Pewnego dnia pracując w kopalni węgla, wysłuchałem rozmowy dwóch górników, którzy mówili o wielkiej szkole dla murzynów, otwartej gdzieś w Wirginii. Do tej pory nie słyszałem o istnieniu żadnego wyższego zakładu dla dzieci murzyńskich, oprócz początkowych szkółek, takich, jak w naszym mieście.

Podsunałem się w ciemnościach jak najbliżej do rozmawiających. Dowiedziałem się, że nietylko ta szkoła została założona wyłącznie dla murzynów, ale że uczniom ubogim, a zasługującym na to, dawano sposobność do pracy, ażeby mogli zapłacić za całkowite lub częściowe swoje utrzymanie, ucząc ich jednocześnie jakiegoś rzemiosła.

Gdym słuchał, zdawało mi się, że słowa te są czemś najpiękniejszym na świecie i mówiłem, że nawet niebo nie miałoby dla mnie więcej uroku, niż szkoła normalna i rolnicza w Hamptonie, w stanie Wirginii, o której mówili ci ludzie. Natychmiast powzięłem postanowienie pójścia do tej szkoły, pomimo, że nie miałem najmniejszego wyobrażenia, gdzie to jest, jak daleko i którędy się do niej dostać; wiedziałem to tylko, że trawi mnie jedno pragnienie: iść do Hamptonu. Myśl o tem nie odstępowała mnie ani na chwilę.

Po tem zdarzeniu pracowałem jednakże w kopalniach jeszcze przez kilka miesięcy. W tym czasie dowiedziałem się, że jest miejsce w domu generała Ludwika Ruffnera, właściciela wielkiego pieca i kopalni. Pani Viola Ruffnerowa, żona generała, była rodem Amerykanką z Vermontu. Mówiono, że jest bardzo surowa dla służących, a szczególnie dla chłopców branych do usługi. Nikt nie mógł u niej wytrzymać dłużej nad dwa lub trzy tygodnie. Służba odchodziła zawsze dla tej samej przyczyny, że pani jest zanadto surowa. Pomimo to, postanowiłem spróbować i wziąć raczej to miejsce, niż pracować dłużej w kopalni węgla; matka moja udała się do pani Ruffnerowej i zostałem zgodzony za 5 dolarów miesięcznie.

Tyle się nasłuchałem o surowości pani Ruffnerowej, że lękałem się samego jej widoku i drżałem w jej obecności. Ale nie potrzeba mi było długo czekać, ażeby wyrozumieć, czego wymaga. Żądała ona naściślejszego porządku we wszystkim, roboty prędkiej i dokładnej, a przytem i nadewszystko uczciwości i szczeroci bezwzględnej. Nie znosiła brudu i niedbalstwa; drzwi i płoty musiały być utrzymane w porządku. O ile sobie przypominam, byłem u państwa Ruffnerów przez półtora roku przed pójściem do szkoły w Hamptonie. W każdym razie to, czego nauczyłem się u nich, przydało mi się niemniej od tego, czego mnie nauczyło późniejsze życie. Dziś jeszcze nie mogę znieść kawalków papieru tarzających się koło domu lub na ulicy i mam chęć zbierać je z ziemi. Nie mogę spojrzeć na brudne podwórze, żeby mnie nie zdjęła ochota do zamiatania, ani na brakujący w płocie kolek, ani na dom odrapany z tynku, żebym nie uczuł chętki naprawienia i odmalowania; ani na brak guzika lub tłustą plamę na ubraniu albo na posadzce, na które mam chęć zwrócić uwagę kogo należy.

Obawa, jaką budziła we mnie pani Ruffnerowa, ustąpiła wkrótce miejsca zaufaniu i zacząłem ją

uważać za najlepszą przyjaciółkę swoją. I ona, spostrzegłszy, że może mieć do mnie zaufanie, zaczęła postępować inaczej. Przez dwie zimy, które spędziłem w jej domu, pozwalała mi chodzić do szkoły, na godzinę dziennie, przez kilka zimowych miesięcy; ale najznaczniejszą część lekcji odrabiałem nocą sam, a niekiedy z pomocą płatnego przezemnie nauczyciela. Pani Ruffnerowa zachęcała mnie przyjaźnie do tych wysiłków, które czyniłem dla zdobycia wykształcenia. U niej zacząłem zbierać bibliotekę. Zdobyłem drewnianą pakę, wyjąłem z niej jedną ścianę, założyłem półki, ustawiłem na nich wszystkie książki, jakie mi się udało zebrać, i nazwałem to moim „księgozbiorem“.

Pomimo powodzenia u pani Ruffnerowej, nie zarzuciłem myśli wstąpienia do szkoły w Hamptonie. W jesieni 1872 r. postanowiłem zdobyć się na wysiłek, byle się tam dostać, pomimo że — jak wspominałem — nie miałem pojęcia gdzie leży Hampton, ani jakie koszta pociągnie za sobą podróż. Nikt z mejego kółka nie zachęcał mnie do tego, z wyjątkiem matki, ale i ona sama niepokoiła się i obawiała, ażebym nie wplątał się w jakie niebezpieczne przygody. Zezwoliła w końcu, ale z niechęcią. Pieniądze, zarabiane przezemnie, poszły dla ojczyma i rodzeństwa, z wyjątkiem kilku dolarów, pozostało mi bardzo mało na kupno ubrania i niezbędne wydatki. Mój brat Jan dopomagał mi według możliwości, ale było to bardzo mało, bo pracował w kopalniach węgla i zarabiał niewiele, a większą część zarobku oddawał na utrzymanie domu.

Najwięcej chyba wzruszyło mnie współczucie, jakie okazywało mi wielu starych murzynów. Przeżyli oni całe życie w niewolnictwie i nie spodziewali się doczekać tego, żeby ktoś z ich rasy opuszczał dom dla wstąpienia do szkoły. Niektórzy z nich ofiarowali mi po sztuce srebra — inni trochę drobnych pieniędzy, a jeszcze inni chustki.

Nareszcie nadszedł ważny dzień, gdy wyruszy-

lem do Hamptonu. Miałem tylko lichą torbę, w której upakowałem wszystko, co mogłem zebrać. Matka moja w owej chwili była mocno cierpiąca, a stan jej zdrowia był tak niepewny, że obawiałem się, czy ją jeszcze zobaczę. Pożegnanie było bardzo smutne. Ale jednak matka wytrwała do końca. Nie było jeszcze wtedy kolei, łączącej Wirginię Zachodnią ze Wschodnią. Pociągi chodziły tylko na niektórych przestrzeniach, a resztę drogi trzeba było odbywać dyliżansem.

Z Maldenu do Hamptonu jest około pięćset mil. Wkrótce po wyjeździe z domu okazało się z nieubłaganą jasnością, że nie wystarczy mi pieniędzy na opłacenie kosztów podróży. Nie przyszło mi ani na chwilę do głowy, że różnica koloru skóry może coś w tym razie stanowić.

Kiedy już wszyscy podróżni pozajmowali pokoje i zabierali się do wieczerzy, poszedłem nieśmiało do biura hotelowego. Prawda, że nie miałem pieniędzy na zapłacenie mieszkania, ani żywności; ale liczyłem, że uda mi się zjednać sobie łaski właściciela. W tej porze roku było już bardzo zimno w górach Wirginii, chciałem więc zdobyć nocleg pod dachem. Nie pytając nawet, czy mam czem zapłacić, czy nie, człowiek siedzący w biurze odmówił mojej prośbie. Po raz pierwszy wtedy zrozumiałem, jakie znaczenie ma kolor skóry. Udało mi się jednak pozostać; chodząc naokoło hotelu, przepędziłem całą noc, a tak nabiłem sobie głowę tem, żeby się dostać do Hamptonu, że nie miałem nawet czasu żywić urazy względem właściciela hotelu.

Dostałem się wreszcie do miasta Richmondu w Wirginii, leżącego o osmdziesiąt dwie mile od Hamptonu; szedłem pieszo, lub jechałem dyliżansami i koleją. Kiedy przybyłem na miejsce zmęczony, głodny i brudny, była już noc późna. Nie byłem nigdy przedtem w wielkiem mieście i to powiększało jeszcze mój kłopot. Nie miałem w kieszeni

ani szeląga—w mieście ani jednego znajomego, a nie znając miejskich zwyczajów, nie wiedziałem, gdzie iść. Zwraçałem się do rozmaitych domów, prosząc o schronienie, ale wszędzie żądano odemnie pieniędzy, a tego właśnie nie posiadałem. Nie mając nic lepszego do roboty, spacerowałem po ulicach. Widziałem na wysławach całe piramidy pieczonych kurcząt i ciastek z jabłkami w kształcie półksiężyców, które kusząco rzucały się w oczy. A pokusa była tak silna, że zdawało mi się, iż zgodziłbym się oddać wszystko, co mogę kiedyś posiadać, byleby wzmian dostać udko kurczęcia lub ciastko. Ale nie mogłem dostać ani jednego, ani drugiego — ani nawet nic zgola do zjedzenia.

Chodziłem po ulicach do północy, tak wyczerpany, że nie mogłem postąpić ani kroku. Byłem zmęczony, głodny—dolegało mi wszystko co chcecie, lecz odwagi mi nie brakowało. W chwili, gdy doszedłem prawie do szczytu zmęczenia, przybyłem do jednego miejsca na ulicy, gdzie chodnik był rozebrany. Przeczekałszy kilka chwil dla upewnienia się, że mnie nikt nie może zobaczyć, wsunąłem się pod płyty i przespałem całą noc na ziemi, podłożywszy pod głowę worek; całą noc słyszałem kroki przechodoiów ponad głową. Nazajutrz rano obudziłem się trochę wypoczęty, ale byłem strasznie głodny, bo oddawna nie jadłem. Kiedy już rozwidniło się o tyle, że mogłem widzieć wszystko naokoło, zobaczyłem, że jestem niedaleko od statku, który, jak się zdawało—wyładowuje żelazo. Poszedłem tam zaraz i prosiłem kapitana o pozwolenie na wyładowywanie towaru, ażebym mógł zarobić sobie na chleb. Kapitan, biały człowiek, dobrego serca, pozwolił. Pracowałem dopóki nie zarobiłem na śniadanie, które mi się wydaje dziś jeszcze najlepszym, jakie kiedykolwiek jadłem.

Kapitan był tak zadowolony z mojej roboty, że zaproponował mi zajęcie codzien za niewielką zapłatę. Przystąpiłem na <http://toir.org.pl> Pracowałem

na statku przez kilka dni. Choć miałem dosyć na jedzenie, mało mi pozostawało na dolożenie sumy koniecznej na podróż do Hamptonu. Chcąc zaoszczędzić jak najwięcej i przybyć na czas do Hamptonu, sypiałem zawsze w jamie pod chodnikiem, która mi udzieliła gościnności na pierwszy nocleg w Richmondzie. W wiele lat później murzyni w Richmondzie wyprawili dla mnie uroczyste przyjęcie, na którym było przeszło dwa tysiące ludzi. Przyjęcie to odbywało się nieopodal od miejsca, gdzie przespałem był pierwszą noc po przybyciu do miasta, i muszę przyznać, że miałem myśl więcej zajętą tym chodnikiem, który mi udzielił wówczas schronienia, niż uroczystem przyjęciem, jakie dla mnie teraz wyprawiono, pomimo, że było bardzo mile i serdeczne.

Zaoszczędziwszy taką sumkę, jaka wydawała mi się wystarczającą do dostania się do celu, podziękowałem kapitanowi statku za jego dobroć i ruszyłem w dalszą drogę.

Przybyłem do Hamptonu bez żadnych szczególnych przygód, z sumą pięćdziesięciu pensów w sakiewce — na rozpoczęcie studyów. Długa ta podróż obfitowała dla mnie w wydarzenia, ale pierwszy widok wielkiej szkoły w murowanym gmachu trzy piętrowym wynagrodził mnie sownie za wszystko, co przecierpiałem w drodze. Gdyby ci co oddali fundusze na wzniesienie tego gmachu, mogli wiedzieć, jakie wrażenie zrobił jego widok na mnie i tysiącach innej młodzieży, zapragnęliby może podwoić swoją ofiarność.

Dla mnie był to gmach najpiękniejszy i największy, jaki widziałem kiedykolwiek. Na jego widok uczulem, że życie we mnie wstępuje. Czulem, że rozpoczyna się dla mnie nowe istnienie — że życie przybiera inne kształty. Dostałem się do ziemi obiecanej i postanowiłem nie cofać się przed żadną przeszkodą, byleby nie ustać w usiłowaniach pro-

wadzących do spełnienia jak najwięcej dobrego w świecie.

Wszedłszy do wnętrza gmachu, przedstawiłem się nadzorczyńni szkoły, prosząc o wskazanie, gdzie, mam się udać. Od tak dawna żywiłem się byle czem, nie kąpałem się i nie zmieniałem bielizny, że zrobiłem na niej wrażenie niebardzo przyjemne; zawahała się nawet, czy może mnie przyjąć za ucznia. Nie mogłem jej tego brać za złe, że mnie wzięła za włóczęgę lub nicponia. Przez długą chwilę nie mogła się zdobyć na decyzję ani za, ani przeciw — a ja kręciłem się koło niej usiłując ją przekonać, że zasługuję na współczucie. Przez ten czas widziałem, że przyjmowała innych, co powiększało mój niepokój, bo czułem w głębi duszy, że mogę im dorównać, gdyby mi tylko dano do tego sposobność.

Po upływie kilku godzin nadzorczyńni odezwała się do mnie:

— Bocznią salę klasową trzeba sprzątnąć. Weź szczotkę i zamieć.

Pomyślałem zaraz, że to będzie dla mnie sposobność okazania, co jestem wart. Nigdy chyba rozkaz nie został przyjęty z większą gotowością. Umiałem zamiatać, bo pani Ruffnerowa nauczyła mnie tego dokładnie, gdy u niej służyłem.

Zamiotłem salę trzy razy a potem wzięłem ścierkę i wytarłam kurz czterokrotnie. Każda ławka — parapet — każdy stół — pulpit — wytarte były z kurzu tyleż razy. Prócz tego pozsuwałem meble i powycierałem wszystkie kąty. Czulem, że moja przyszłość zależy od wrażenia, jakie zrobię na przelazonej sprzątnięciem tego pokoju. Skończywszy robotę, zawiadomiłem ją. Była to amerykanka, która wiedziała, gdzie szukać kurzu. Poszła do sali, obejrzała posadzkę i meble, potem wzięła chustkę, pociągnęła nią po lampery, po ścianach, po stole i po ławkach. Skończywszy to i nie znalazłszy nigdzie ani źdźbła kurzu, powiedziała mi jak najspokojniej:

— Myślę, że będziemy mogli przyjąć cię do zakładu.

Byłem najszcześliwszą istotą na ziemi. Mój egzamin przy wejściu do szkoły ograniczył się do zmiatania i chyba żaden ze studentów, wstępujących do uniwersytetu w Havvardzie lub Yale, nie wyniósł z egzaminu większego zadowolenia odemnie. Od tej pory nieraz zdawałem egzamina, ale nigdy lepiej jak wtedy.

Takie próby musiałem przejść wchodząc do szkoły w Hamptonie. Niewiela chyba ludzi spotkało równie ciężkie doświadczenie; jednakowoż w tej epoce było wielu młodych chłopców, którzy przybywali do Hamptonu lub innych zakładów po zwalczeniu podobnych jak moje trudności. Dziewczęta i chłopcy zarówno, mieli silne postanowienie uczenia się, bez względu na trudności.

Moja próba zmiatania sali, utorowała mi drogę do ukończenia nauk w Hamptonie. Miss Mary F. Mackie, nadzorczyńni, dała mi miejsce odźwiernego. Przyjąłem je jak najchętniej, bo mogłem w ten sposób opłacić szkołę moim zarobkiem. Zajęcie było ciężkie i niewolnicze, ale jednak wytrwałem. Musiałem nadzorować dużo klas i trzeba było pracować długo w nocy, a wstawać o czwartej rano, żeby ponapalać w piecach i mieć chwilę na przejrzenie lekcji. Przez cały czas pobytu w Hamptonie i później, po wyjściu ze szkoły, miss Mary F. Mackie była jedną z najwierniejszych i najlepszych moich przyjaciółek. Jej rady i zachęty podtrzymywały mnie w najsmutniejszych chwilach.

Wspomniałem już, jakie wrażenie uczynił na mnie widok gmachu i całego zakładu w Hamptonie, ale nie mówiłem dotąd o wrażeniu silniejszym jeszcze i trwalszem, jakie uczynił na mnie widok wielkiego człowieka, najszlachetniejszego i najznakomitszego, jakiego zdarzyło mi się spotkać w moim życiu. Chcę mówić o generale Samuelu C. Armstrongu.



Miałem szczęście poznać osobiście wielu znakomych ludzi, zarówno w Europie, jak w Ameryce, i nie waham się stwierdzić, że nie spotkałem nigdy człowieka, któryby, mojem zdaniem, dorównywał generalowi Armstongowi. Wyszedłszy zaledwie z niewolnictwa i kopalni węgla, których wpływ poniżający jeszcze odczuwałem, musiałem uznać za prawdziwe szczęście osobiste zetknięcie się z charakterem takim, jak genezała. Od pierwszej chwili zrobił on na mnie wrażenie człowieka doskonałego. W jego obecności doznawałem zawsze uczucia czegoś nadprzyrodzonego. Miałem szczęście znać go osobiście od czasu wstąpienia do szkoły do chwili jego śmierci, a im dłużej go znałem, tem większym wydawał się on moim oczom.

Można było znieść w Hamptonie wszystkie zabudowania — wszystkie sale — nauczycieli i to, co w nich wykładano, byleby zostawić chłopcom i dziewczętom prawo widywania generała Armstronga, a to jedno byłoby już dla nich wystarczającym. I im dłużej żyję, tem silniejszego nabieram przekonania, że wykształcenie, jakie dają książki i laboratoria, nie może się również z wpływem, jaki wywiera zetknięcie się z wielkimi ludźmi. L Zamiast studyować bezustannie książki, o ileż korzystniej byłoby, mojem zdaniem — studyować ludzi i rzeczy. 7 Generał Armstrong przepędził dwa ostatnie miesiące swego życia w moim domu, w Tusbegee. Był on już wtedy sparaliżowany do tego stopnia, że postradał władzę w członkach i mowę prawie zupełnie. Pomimo kalectwa, pracował bezustannie dniem i nocą dla sprawy, której poświęcił życie. Nie widziałem nigdy człowieka, któryby tak zupełnie zapominał o sobie. Sądzę, że nigdy nie miał on jednej myśli samolubnej. Znajdował równą przyjemność w przychodzeniu z pomocą innym zakładom na Południu; jak i poświęcaniu się dla szkoły w Hamptonie. Walczył z białymi z Południa podczas wojny domowej, a mimo to nie słyszałem nigdy, żeby wyrzekł prze-

ciw nim cłóby jedno gorzkie słowo; przeciwnie — starał się usilnie być i dla nich pożytecznym.

Trudno byłoby opisać wpływ, jaki wywierał na uczniów w Hamptonie i zaufanie, jakie w nich budził. Można powiedzieć, że był uwielbiany przez uczniów. Mnie zdawało się zawsze, że wszystko, co przedsięwzięmie generał, musi się udać. Nie odmówionoby żadnemu jego żądaniu. Kiedy był w odwiedzinach u mnie, w Alabamie, tak sparaliżowany, że trzeba było przenosić go w lektyce, przypominam sobie, że jeden z uczniów prosił jak o łaskę, żeby mógł go wynieść w lektyce na szczyt wzgórza wysokiego i stromeego, na co potrzeba było nie małego wysiłku.

Wyszedszy na wierzchołek wzgórza, uczeń zawołał rozjaśniony.

— Jakże jestem szczęśliwy, że mogłem uczynić cośkolwiek dla generała jeszcze za jego życia!

Podczas mojego pobytu w Hamptonie sypialnie były już tak przepelnione, że trudno już było zrobić miejsce dla tych, którzy prosili o przyjęcie. Generał wpadł na pomysł ustawienia namiotów, które miały służyć za sypialnie. Jak tylko dowiedzieliśmy się, że generał byłby zadowolony, gdyby niektórzy z dawniejszych uczniów zgodzili się na mieszkanie w namiotach podczas zimy, prawie wszyscy wyrazili swą gotowość.

Między nimi byłem i ja. Zima, którą przebyliśmy w namiotach, była niesłychanie ostra i cierpieliśmy bardzo, ale generał nie wiedział o tem, bo nikt się nie skarżył. Wystarczyło nam to, że mu sprawiamy przyjemność i że ułatwiamy możliwość nauki większej liczbie uczniów. Nieraz w zimną noc wichur dął tak, że unosił namioty i wtedy byliśmy zupełnie bez osłony. Generał miał zwyczaj obchodzić namioty wczesnym rankiem, a jego głos poważny i wesół dodawał nam odwagi i zapominaliśmy o przykrościach.

Mówiłem dotąd tylko o uwielbieniu mojem dla

generała Armstronga, Nie był on jednak wyjątkiem, był jednym z całego legionu mężczyzn i kobiet, których setki pod koniec wojny powstały, żeby poświęcić się podniesieniu rasy murzyńskiej.

Niepodobna chyba w historii całego świata znaleźć ludzi o sercach wznioślejszych, czystszych i szlachetniejszych od tych ludzi, którzy zaciągnęli się do szeregów nauczycieli murzyńskich.

Dla mnie życie w Hamptonie było jednym szeregiem objawień, czulem, że żyję w jakimś świecie nowym i odrębnym. Z początku to, że jadam o stałych godzinach i na obrusie, że mam talerz, że mogę się kąpać i mam szczoteczkę do zębów i prześcieradła—wszystko dla mnie było nowością.

Nieraz sobie powtarzam, że najcenniejszą nauką, otrzymaną w Hamptonie, był zwyczaj kąpania się. Nauczyłem się tam, że kąpiel jest rzeczą dobrą nie tylko pod względem higienicznym, ale że wpaja nam szacunek dla własnej osoby.

We wszystkich podróżach, jakie odbywałem na Południu po opuszczeniu Hamptonu, starałem się zawsze kąpać codziennie. Nie zawsze było to łatwym, szczególnie jeżeli mieszkalem u ludzi mojej rasy, mieszczących się niekiedy w jednej izbie; ale w takich razach szedłem do lasu i kąpałem się w pierwszym lepszym strumieniu. Usiłowałem też przekonywać murzynów, że łazienka powinna być w każdym domu.

Przez pewien czas w Hamptonie miałem tylko jedną parę skarpetek; prałem je wieczorem, gdy się zbrudziły i zawieszałem przy ogniu, żeby mogły wyschnąć do następnego dnia. Obowiązany byłem płacić dziesięć dolarów miesięcznie. Miałem płacić połowę pieniędzmi, a połowę pracą. Przybywszy do Hamptonu, miałem zaledwie pięćdziesiąt centów, a kilku dolarami, które mi przysyłał od czasu mój brat Jan, trudno mi było opłacić szkołę. Postanowiłem więc stać się niezbędnym jako odzwierny. Udało mi się to tak dobrze, że wkrótce zawiadomiono

mnie, iż zostaję uwolniony od opłaty za samą tylko moją pracę. Koszta nauki wynosiły siedmdziesiąt dolarów rocznie. Łatwo zrozumieć, że nie byłem w możności zebrania podobnej sumy. Gdyby oprócz kosztów utrzymania, przyszło mi płacić jeszcze za naukę, byłbym musiał opuścić Hampton. Na prośbę generała Armstronga jeden z jego przyjaciół M. S. Griffith Morgan z Nowego-Bedfordu (w stanie Massachusetts), zobowiązał się płacić za mnie przez cały czas mego pobytu w Hamptonie. Miałem przyjemność poznać go później, kiedy zacząłem już moją pracę w Turkegee.

Drugą trudność stanowiło zdobycie książek i ubrania. Książki udawało mi się pożyczać od tych, szczęśliwszych odemnie, którzy je posiadali. Co się tyczy ubrania, przybywszy do Hamptonu, mogę powiedzieć, że nie miałem nic. Całe moje mienie mieściło się w nędznej torebce. Tem więcej niepokoiłem się o ubranie, że generał sam robił przegląd chłopców ustawionych szeregami, dla przekonania się, czy mają czyste odzienie. Trzeba było mieć ubranie oczyszczone; nie powinno było brakować żadnego guzika przy ubraniu, a ubranie musiało być bez plamy. Mieć jedno ubranie do pracy—do klasy i nie zbrudzić go, było zadaniem niełatwym do rozwiązania. Udawało mi się to, dopóki profesorowie nie przekonali się, że mam silne postanowienie wybicia się na powierzchnię. Wtedy obdarzono mnie ubraniami z przesylek, nadchodzących z Północy całymi beczkami. Beczki te były ratunkiem dla setek uczniów ubogich i pilnych. Gdyby nie one, nie wiem, czy byłbym zdołał utrzymać się do końca w Hamptonie,

Do czasu przybycia do szkoły, nigdy — o ile sobie przypominam — nie spałem w łóżku na przescieradłach. W chwili mojego tam przybycia w zakładzie było niewiele zabudowań i miejsca było mało. W tym samym co ja pokoju sypiało oprócz mnie siedmiu uczniów; większość ich przybyła wcze-

śniej odemnie. Prześcieradła były dla mnie rzeczą nieznaną. Pierwszej nocy spałem nakryty obu prześcieradłami; drugiej nocy na obu, ale w końcu zacząłem obserwować towarzyszków; odkryłem, do czego używają się prześcieradła, i od tej pory, spróbowałem się do nich przystosowywać, dzieląc się nabytem doświadczeniem z tymi, co później przybyli.

Po wejściu do szkoły byłem jednym z najmłodszych uczniów. Większość składała się z kobiet i mężczyzn dojrzałych, niektórzy mieli po czterdzieści lat. Nie często się zdarza takie szczęście, żeby przebywać z kilku setkami ludzi, przejętych równym zapalem do nauki. Każda chwila w ciągu dnia była poświęcona nauce lub pracy. Wszyscy znali już o tyle świat, że umieli ocenić potrzebę wykształcenia. Niektórzy byli za starzy, żeby się uczyć gruntownie z podręczników i przykro było patrzeć, jak się nad nimi męczyli; ale zapal zastępował im pojętność. Wielu z nich było równie ubogich, jak ja, i zmuszeni byli staczać walki nie tylko z książką, ale i z ubóstwem, które ich pozbawiało najkonieczniejszych potrzeb życiowych. Inni mieli starych rodziców, na których musieli łożyć; byli i ludzie żonaci, zmuszeni utrzymywać żony.

Wszystkich ożywiała wielka ambicja, myśl o podniesieniu swojej rasy. Nikt nie myślał o sobie. Jakże dobrani byli w szkole urzędnicy i nauczyciele! Pracowali dla uczniów dniem i nocą. Cieszyli się tylko wtedy, gdy mogli im przyjść z pomocą w jakikolwiek sposób.

Kiedyś—a mam nadzieję, że to nastąpi niezadługo—gdy będzie wiadomy wszystkim udział, jaki mieli amerykańscy nauczyciele w wykształceniu murzynów po skończeniu wojny, ten ustęp będzie stanowił najbardziej wzruszający rozdział historii tego kraju. Nastanie dzień już niedaleki, w którym całe Południe oceni te zasługi lepiej, niż mogło je ocenić do tej pory.

## ROZDZIAŁ IV

## PRZYCHODZĄ Z POMOCĄ DRUGIM.

Nowa trudność wystąpiła w mojem szkolnem życiu pod koniec pierwszego roku pobytu w Hamptonie. Większa część uczniów porozeżdżała się do domu na wakacye. Nie miałem pieniędzy na podróż, a trzeba było wyjechać. W owych czasach nie pozwalano zostawać w szkole przez wakacye. Czulem głęboki smutek patrząc na tych, którzy robili przygotowania do wyjazdu. Nietylko, że nie miałem pieniędzy koniecznych na podróż do domu, ale nie miałem ich nawet na wyjazd gdziekolwiek-bądź.

Miałem ubranie, do którego posiadania doszedłem nie pamiętam już jakim sposobem, używane—ale jeszcze bardzo porządne. Postanowiłem je sprzedać, żeby zdobyć pieniądze na koszta podróży. Byłem dumny, a skutkiem tej młodzieńczej dumy czyniłem, co mogłem, by ukryć przed kolegami, że jestem w takiej potrzebie. Kilku osobom w mieście powiedziałem, że mam do sprzedania ubranie i namówiłem jednego murzyna, aby je przyszedł do mego pokoju obejrzeć. Zacząłem odzyskiwać odwagę. Nazajutrz rano, przybył mój nabywca. Obejrzawszy starannie ubranie na wszystkich szwach, zapytał ile za nie żądam? Odpowiedziałem, że według mnie warte jest trzy dolary. Zdawało się, że przystaje on na tę cenę, ale dodał od niechcienia:

— Wiesz co? wezmę ubranie i dam ci gotówką pięć pensów, a resztę oddam, gdy będę miał...

Można sobie wystawić moje uczucie, gdym to usłyszał. Nie mogłem już mieć żadnej nadziei wyjechania z Hamptonu, ani znalezienia jakiego zajęcia na czas wakacyi. Pragnąłem gorąco pojechać do jakiej miejscowości, gdzie mógłbym pracować i za-

robić na kupno ubrania i innych rzeczy potrzebnych. W kilka dni później rozjechali się nauczyciele i uczniowie, a ja pozostałem sam, bardziej przygnębiony niż kiedykolwiek.

Po usilnych poszukiwaniach w mieście i w okolicy, znalazłem wreszcie po kilku dniach miejsce w restauracyi w forcie Monroe. To, co zarabiałem, wystarczało zaledwie na opłacenie mego utrzymania. Ale pomiędzy śniadaniem a obiadem, miałem dużo wolnego czasu, który zużytkowywałem na naukę i czytanie; pod tym względem lato było dla mnie bardzo korzystne.

Przy końcu pierwszego roku szkolnego dłużny byłem szkole szesnaście dolarów, których nie zdołałem spłacić pracą. Najgorętszem mojem pragnieniem było wynaleźć sposób zdobycia tej sumy uiszczenia się z długu. Był to dla mnie dług honorowy, nie pozwalający powrócić do szkoły, dopóki go nie spłacę. Robiłem wszelkie możliwe oszczędności—sam prałem—obywałem się bez najkonieczniejszych rzeczy; — pomimo to. lato dobiegało do końca, a ja nie miałem jeszcze owych szesnastu dolarów.

Pewnego dnia w ostatnim tygodniu pobytu mego w restauracyi znalazłem pod stołem piękny nowiuteńki papierek dziesięciodolarowy. Nie posiadałem się z radości. Znalazłszy go w obcym domu, uważałem za obowiązek zawiadomić o tem właściciela i tak też uczyniłem. Ucieszył się równie jak ja, ale objaśnił że — ponieważ zakład należy do niego — ma prawo zatrzymać te pieniądze, co też i uczynił. Był to, wyznaję, ciężki cios dla mnie. Nie mogę powiedzieć, żeby mi to odebrało odwagę, w ilekroć rozpamiętywam przeszłość, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek stracił odwagę gdy raz postanowiłem doprowadzić co pomyślnie do końca. Robiłem zawsze postanowienie z myślą, że je wykonam z powodzeniem, i nie cierpiałem ludzi, tak licznych, którzy mają tysiąc powodów na prze-

konanie cię, że nie dojdiesz do celu. Przeciwnie ci, którzy umieli mi wskazać sposób dojścia do celu, zawsze budzili we mnie wielki szacunek. Pod koniec tygodnia udałem się do skarbnika szkoły w Hamptonie i opowiedziałem mu szczerze moje położenie. Ku wielkiej mej radości upewnił, że mogę prowadzić dalej nauki i że będzie mi kredytował aż do chwili, gdy będą w stanie spłacić długi. Przez cały drugi rok pełniłem znowu obowiązki odźwieranego.

Nauka czerpana, z książek, jest drobną cząstką tego, czego się nauczyłem w Hamptonie. Co na mnie uczyniło najgłębsze wrażenie w drugim roku pobytu w szkole, to zupełne zapomnienie o sobie wszystkich nauczycieli. Trudno mi było zrozumieć, jak można dojść do takiego stopnia poświęcenia, kiedy widzi się szczęście w myśleniu tylko o drugich. Przed końcem roku przekonałem się sam, że najszczęśliwsi są rzeczywiście ci, którzy czynią najwięcej dla drugich, i o tem starałem się nie zapominać nigdy przez całe moje życie.

Uważam też za korzyść i to, że obeznałem się z hodowlą bydła i najlepszych gatunków drobiu. Zaden uczeń, który potrafił zrozumieć ten system hodowli, nie mógłby już zadowolić się średnimi gatunkami. Drugi rok pobytu w szkole przyniósł mi korzyść szczególnie w kierunku studyów nad Biblią, której właściwą wartość nauczyłem się oceniać. Z wdzięczam to miss Natalii Lord, nauczycielce z Portlandu (Maine), że pokochałem Biblię i nauczyłem się ją czytać. Wyznaję, że przedtem niewiele mnie ona obchodziła: teraz zaś polubiłem teraz czytanie Biblii nietylko dla zbudowania ducha, ale i dla jej wartości literackiej. Lekcyje te pozostawiły mi tak niezatarte wspomnienie, że jeszcze dziś—pomimo wszystkich zajęć—nie zaniedbuję nigdy codziennego czytania Biblii rano, przed rozpoczęciem pracy dziennej.

Jeżeli mam jakiegokolwiek zalety jako mówca,



zawdzięczam to także przeważnie miss Lord. Widząc, że mam zdolność w tym kierunku, dawała mi specjalne lekcye oddychania, intonacyi i wymowy. Mówienie dla samego tylko mówienia nie miało dla mnie nigdy uroku. Prawdę mówiąc, uważam, że niema nic równie czonego i niedostatecznego jak rozbieranie publiczne tematów abstrakcyjnych; od najwcześniejszych lat dziecinnych żywiłem zawsze pragnienie uczynienia czegoś dla ludzkości i przemawiania następnie o tem do ludzi. Zebrania krasomówcze <sup>1)</sup>, jakie miewaliśmy w Hamptonie, były dla mnie nieustającym źródłem umysłowych rozkoszy. Odbywały się każdego sobotniego wieczora, i przez cały czas pobytu w szkole nie opuściłem ani jednego.

Postarałem się stworzyć coś podobnego u nas. Zauważyłem, że po wieczerzy, przed zabraniem się do nauki wieczornej, traciliśmy codziennie dwadzieścia minut na błahych rozmowach. Dwudziestu z pośród nas postanowiło zbierać się dla użytkowania tego czasu na rozprawę. Nigdy chyba dwadzieścia minut rekreacyi, nie przyniosło, więcej korzyści i przyjemności, jak nam wtedy.

Pod koniec drugiego roku pobytu w Hamptonie, dzięki pieniądzom nadesłanym przez matkę i brata Jana, z dodatkiem pieniędzy ofiarowanych mi przez jednego z nauczycieli naszej szkoły, mogłem pojechać na wakacye do Maldenu.

Przybywszy do domu, dowiedziałem się, że wazelnie soli przestały już być czynne i że kopalnie węgla zawiesiły eksploatacyę skutkiem zmowy górników. Zdaje się, że takie zmony stały się rzeczą zwykłą za każdym razem, gdy robotnicy zebrali pewne oszczędności. Podczas bezrobocia wydali na-

---

<sup>1)</sup> Zebranie takie — *debating society* — są bardzo rozpowszechnione w Stanach Zjednoczonych. Młodzi ludzie ćwiczą się w ten sposób w przemawianiu do publiczności.

turalnie wszystko co mieli, a potem powracali do pracy na tych samych warunkach, obdłużeni po uszy, lub szli do innych kopalni, co pociągało za sobą znaczne wydatki. W każdym z tych dwóch odpadków położenie ich pod koniec bezrobocia było gorsze niż przedtem. Dopóki nie rozpoczęły się bezrobocia w tej okolicy, znałem sam górników, którzy mieli znaczne oszczędności; ale od chwili, gdy pojawili się agitatorzy, oszczędności — nawet najpracowitszych robotników, zaczęły topnieć. Dawniej znałem górników, którzy mieli sporo pieniędzy złożonych w bankach; ale po wystąpieniu na widownię zawodowych agitatorów, zaczęły się rozplywać oszczędności nawet najprzemysłniejszych robotników.

Matka i cała rodzina ucieszyła się mojem przybyciem i postępami, jakie uczyniłem przez te dwa lata nieobecności. Radość wszystkich murzynów w mieście, dorosłych i małych — a szczególnie starszych — była wzruszająca. Musiałem iść w odwiedziny do każdego domu, przyjąć posilek i opowiadać o pobycie w Hamptonie. Prócz tego musiałem przemawiać w kościele co dzień w niedzielnej szkole i w innych miejscach, prócz kościoła. Ale tego, czego najwięcej pragnąłem — pracy — nie mogłem znaleźć. Nie było pracy z powodu bezrobocia. Pierwszy miesiąc wakacyi przeszedł na szukaniu zajęcia, któreby mi pozwoliło opłacić koszt powrotu i pierwsze wydatki w szkole.

Pod koniec miesiąca wybrałem się dość daleko, szukając roboty. Wyprawa nie powiodła się; noc nadeszła, zanim mogłem pomyśleć o powrocie. O milę od Maldenu zabrakło mi sił; nie mogłem już postąpić ani kroku, i musiałem się zatrzymać w starej, opaszczonej budowli, żeby w niej przepędzić resztę nocy. Około trzeciej rano, mój brat Jan zastał mnie tam śpiącego i oznajmił — jak mógł najostrożniej — że nasza droga matka umarła podczas nocy.

Była to chwila najcięższa i najsmutniejsza w mojem życiu. Od kilku już lat matka nie była zdrowa; ale rozstając się z nią poprzedniego dnia, nie przypuszczałem nigdy, że jej już nie zastanę przy życiu, a mojem najgorętszem pragnieniem było zawsze być przy niej w tej uroczystej chwili. Podczas pobytu w Hamptonie najsilniejszym bodźcem była dla mnie nadzieja zdobycia stanowiska, któreby mi pozwoliło zapewnić matce szczęście i dobrobyt. Nieraz mówiła, że pragnie żyć długo, ażeby doczekać się widoku dzieci mających wykształcenie i stanowisko.

Wkrótce po śmierci matki dom nasz rodzinny popadł w stan zupełnego rozkładu. Moja siostra Amanda, pomimo dobrych chęci, była za młoda, ażeby prowadzić gospodarstwo domowe, a ojczym za ubogi żeby płacić najemnej gospodyni. Więc czasem mieliśmy ugotowane jedzenie, a czasem nie. Nieraz trzeba było zadowolić się puszką konserw pomidorowych i biszkoptami zamiast obiadu. Ubrania nasze nie były naprawione, a wszystko w domu i naokoło w zupełnym nieładzie. Zdaje mi się, że to była najposępniejsza epoka w mojem życiu.

Pani Ruffnerowa, zająca moja przyjaciółka, o której już mówiłem, przyjmowała mnie zawsze jak najuprzejmiej u siebie, i dopomagała w najrozmaitszy sposób w owych ciężkich chwilach. Na pewien czas przed końcem wakacyi znalazła mi u siebie zajęcie, prócz tego trochę roboty w kopalniach dość odległych od domu, dało mi możność zarobienia niewielkich pieniędzy.

Przez chwilę myślałem, że będę zmuszony wyrzec się powrotu do Hamptonu, ale nie miałem zamiaru rzec się bez walki projektu, który nie był tak drogi. Potrzebowałem ubrania na zimę; trzeba było zadowolic się starem ubraniem, którego mi dostarczył mój brat Jan. Chociaż nie miałem pieniędzy, ani ubrania, zaoszczędziłem jednak trochę na koszta podróży, co mnie przejmowało radością. Raz

dostawszy się do Hamptonu, bytem już spokojny o mój los, bo tak jak dotąd, mogłem pełnić obowiązki odźwiernego i przybyć bez przeszkód nowy rok szkolny.

Na trzy tygodnie przed powrotem do szkoły spotkała mnie przyjemna niespodzianka w postaci listu od mojej dobrej przyjaciółki, miss Mary F. Mackie, nadzorczyni, w którym prosiła, żebym powrócił do Hamptonu na dwa tygodnie przed zjechaniem się uczniów, i dopomógł jej w zrobieniu porządków i urządzeniu szkoły. Było to dla mnie korzystne pod każdym względem i dawało sposobność uzyskania nanowo kredytu u skarbnika. Wyjechałem do Hamptonu natychmiast.

Przez dwa tygodnie miałem przed oczyma przykład, którego nie zapomnę nigdy. Miss Mackie pochodziła z jednej z najstarszych i najdystyngowańszych rodzin z Północy; pomimo to, przez dwa tygodnie pracowała razem ze mną, myjąc okna, okurzając meble, przyrządzając łóżka i t. p. Nie byłaby spokojna gdyby przed przybyciem uczniów szyby nie lśniły się czystością, i wykonywała sama tę robotę z wielką przyjemnością co rok o tej porze.

Nielatwo mi było zrozumieć, że kobieta na jej stanowisku i tak inteligentna, zniża się do pospolitych robót, przeznaczonych do podźwignięcia rasy upośledzonej, i od tej pory nie mogłem nigdy powstrzymać się od powstawania przeciwko szkołom dla murzynów, które nie wszczepiają swoim uczniom pojęcia o godności pracy.

Przez ostatni rok pobytu w Hamptonie każdą chwilę wolną od zajęć odźwiernego poświęcałem na naukę. Chciałem się odznaczyć w tym ostatnim roku, ażeby dostać się na honorową listę mówców, przemawiających przy rozdawaniu nagród. Powiodło mi się zupełnie i w czerwcu 1875 ukończyłem kurs nauk w Hamptonie. Całą korzyść, jaką odniosłem z lat mego pobytu w tej szkole, można przypisać dwom przyczynom: pierwsza — to zetknięcie

się ze znakomitym człowiekiem, generałem C. A. Armstrongiem, który, jak już mówiłem, był uosobieniem wzniosłości ducha — najsilniejszego i najszlachetniejszego charakteru, jaki mi się zdarzyło spotkać.

Druga przyczyna — to, że poraz pierwszy rozumiałem, co nauka powinna uczynić z człowieka. Do owej pory podzielałem mniemanie, rozpowszechnione wśród murzynów, że nauka pomaga do prowadzenia życia przyjemnego i wygodnego, bez konieczności ręcznej pracy. W Hamptonie nauczyłem się nietylko, że praca nie jest hańbą, ale zacząłem ją lubić nietylko dla korzyści pieniężnych, które przynosi, lecz i dla niej samej — dla zaufania we własne siły — dla niezależności, jaką daje umiejętność wykonania rzeczy niezbędnych dla człowieka. Tam także zrozumiałem poraz pierwszy co to jest życie poświęcone dla dobra drugich i że najszcześliwsi są ci ludzie, którzy czynią najwięcej dla uszczęśliwienia i pożytku drugich.

W chwili zdawania egzaminów końcowych nie miałem w kieszeni ani szeląga. Razem z innymi uczniami z Hamptonu, będącymi w takim samym położeniu, otrzymałem miejsce służącego w hotelu letniska w stanie Connecticut; pojechałem na miejsce za pożyczone pieniądze. Wkrótce przekonałem się, że nie umiem pełnić służby przy stole lecz pomimo to właściciel hotelu obchodził się ze mną jak z wyćwiczonym kelnerem. Powierzył mojej obsłudze stół, przy którym jadano czterech, czy pięciu gości bogatych, a więcej jeszcze arystokratycznego pochodzenia. Moja nieumiejętność służby była tak wielka, że zgromili mnie oni surowo, a ja przełęczniony uciekłem, pozostawiając ich nad próżnym stołem. Za to zostałem zdegradowany z kelnera na kuchcika. Chciałem jednak nauczyć się usługiwać przy stole i starałem się o to tak usilnie, że po kilku tygodniach zostałem przywrócony do dawnego stanowiska. Później



podczas moich podróży mieszkałem nieraz w tym samym hotelu, w którym służyłem za kelnera.

Pod koniec sezonu powróciłem do domu i zostałem mianowany dyrektorem szkoły murzynów w Maldenie. To był wstęp do najszcześniejszej epoki mego życia. Miałem przekonanie, że stanę się użytecznym dla mieszkańców, ukazując im wznioślejszy ideał życia i usiłując wpoić w młodzież Maldenu świadomość, że naukę czerpie się nie z samych książek.

Dzień mój zaczynał się o ósmej rano, a nie kończył się nigdy przed dziesiątą. Oprócz obowiązującej wszędzie nauki, uczyłem moich uczniów czesania włosów, mycia rąk i twarzy i utrzymywania w porządku odzieży. Staralem się szczególnie przekonać ich o pożytku kąpieli i szczoteczki do zębów, a podczas całego nauczycielskiego zawodu byłem i jestem silnie przekonany, że szczoteczka do zębów jest jedną z najpotężniejszych dźwigni cywilizacyjnych.

Tyłu było miejscowych ludzi, kobiet i mężczyzn, którzy pomimo całodziennej pracy, pożąдали nauki, że okazała się konieczności utworzenia wieczornych kursów. Kursy te były równie uczęszczane, jak dzienne. Prawdziwa przyjemność sprawiał widok wysiłków, jakie czynili ci ludzie, z których wielu miało więcej niż pięćdziesiąt lat.

Zajmowałem się czynnie nie tylko lekcyami wieczornymi i dziennymi, ale założyłem jeszcze czytelnię, odbywałem dwa kursy niedzielne — jeden o trzy mile od Maldenu rano, a drugi popołudniu w samym Maldenie. Prócz tego dawałem jeszcze lekcyę młodym ludziom, przygotowującym się do wstąpienia do szkoły w Hamptonie. Udzielałem nauki wszystkim, nie troszcząc się o wynagrodzenie, a gdy mi się zdarzała sposobność oddania komu usługi, czułem się zupełnie szczęśliwy. Muszę tu nadmienić, że jako nauczycielowi, płacono mi niewielką kwotę z funduszy państwowych.

Przez czas mojej nauki w Hamptonie mój brat starszy dopomagał mi według możliwości, pracując jednocześnie w kopalniach na utrzymanie rodziny. Nieustanna praca stanowiła dlań przeszkodę do nabycia wykształcenia. Najgorętszem mojem pragnieniem było dopomódz mu z kolei, przygotować go szkoły w Hamptonie i zaoszczędzić tyle, żeby mu wystarczyło na upłacenie kosztów pobytu. Miałem to szczęście, że mi się udało tego dokonać. Przebył tam trzy lata na nauce i jest obecnie dyrektorem nauki rzemiosł w szkole w Tuskegee. Po jego powrocie z Hamptonu, połączyliśmy nasze siły i oszczędności, ażeby z kolei wyprawić do szkoły przybranego brata, Jakóba. Udało nam się i to, i jest on obecnie dyrektorem kolegium w Tuskegee. Rok 1877, drugi mojego nauczania w Malden, nie różnił się znacznie od pierwszego.

W owej chwili to, co nazywano „Ku—Klun—Klan“, było w pełni rozwoju. Ten „klan“ składali ludzie zbierający się żeby czuwać nad postępowaniem murzynów, szczególnie pod względem politycznym. Było to coś podobnego pod pewnym względem do „pokoleń“, o których słyszałem za moich lat dziecinnych, w czasach niewolnictwa. „Patrole“ te złożone były z białych młodzieńców, którzy pilnowali murzynów i nie pozwalali im przechodzić nocami z jednej plantacji do drugiej bez pasportów, ani zwoływać zgromadzeń bez udziału przynajmniej jednego białego człowieka.

„Ku — Klun“, tak samo jak patrole, były czynne przeważnie nocami, ale były okrutniejsze od tamtych. Pragnęły one stłumic u murzynów wszelkie polityczne zachcianki, ale nie ograniczały się do tego tylko, podpały murzyńskie szkoły, kościoły i prześladowały niewinnych ludzi. Czas ich działalności wielu murzynów opłaciło życiem.

Czyny tych bezimiennych band zrobiły na moim młodzieńczym umyśle głębokie wrażenie. By-

łem świadkiem bójki, jaka trafiła się w Maldenie pomiędzy murzynami a białymi.

Po każdej stronie było jakich stu ludzi; wielu z nich odniosło ciężkie rany, między innymi Ludwik Ruffner, mąż mojej przyjaciółki, pani Violi Ruffnerowej. Generał Ruffner, który chciał bronić murzynów, został obalony na ziemię i tak ciężko poraniony, że nigdy już nie wrócił do zupełnego zdrowia. Widok tej bójki zachwiał we mnie nadzieję co do przyszłości mojej rasy w Ameryce, a były to dni posępne—najposępniejsze może od chwili oswo-bodzenia.

Jeżeli napomknąłem o tym smutnym wstępie dziejów w stanach Południa, uczyniłem to dla tem dokładniejszego wykazania zmiany zaszłej od czasów istnienia „Ku-Klun“. Teraz z tych stowarzy-szeń nie pozostało na Południu ani śladu; zapo-mniano nawet, że kiedykolwiek istniały. Dziś mało jest na Południu takich miejscowości, w których opinia publiczna zniósłaby istnienie podobnych związków.

---

## ROZDZIAŁ V.

### EPOKA DZWIGANIA SIĘ.

---

Czas pomiędzy 1867 a 1878 może być, mojem zdaniem, nazwany epoką „dźwigania się“. Jest to czas, który przepędziłem jako uczeń w Hamptonie i jako dyrektor szkoły w Zacbodniej Wirginii. Dwie główne myśli zajmowały wtedy większość umysłów murzyńskich jedną było niestychane zamiłowanie w nauce greckiego i łaciny, a drugą pragnienie zdobycia urzędu.

Nie można było spodziewać się, że lud, który od kilku pokoleń żył w niewoli i w głębokich cie-



mnościach pogaństwa, zdoła odrazu zrozumieć, co to jest nauka. W tej samej epoce „dźwigania się” wszędzie w Stanach Południa, szkoły dzienne i wieczorne przepelnione były uczniami różnego wieku i stanu. Niektórzy mieli po sześćdziesiąt i siedemdziesiąt lat. Żądza nauki była bez żadnej wątpliwości rzeczą chwalebną i zachęcającą. Ale na nieszczęście, główną myślą było u wszystkich to, że po zdobyciu pewnego wykształcenia można się będzie wyswobodzić od wszelkich trudności tego świata, a w każdym razie od trudu, jaki pociąga za sobą ręczna praca. Byli oni prócz tego przekonani, że znajomość—choćby niebardzo dokładna—języka greckiego lud łaciny, czyni z człowieka istotę niemal nadprzyrodzoną. Pamiętam dobrze, jaki podziw i zazdrość obudził we mnie pewien murzyn, który znał trochę obce języki.

Zpśród tych, którzy zdobywali wykształcenie, większość zostawała nauczycielami lub pastorami. Jeżeli pomiędzy nimi było wielu zdolnych, poważnych i pobożnych, było wielu i takich, którzy obrali sobie stan nauczycielski albo duchowny dlatego tylko, ażeby mieć życie łatwiejsze. Pomiedzy nauczycielami byli tacy, których cała umiejętność ograniczała się do podpisania nazwiska. Jeden z takich poszukiwał w naszej okolicy posady, więc zagadnięto go, czego będzie uczył dzieci, mówiąc o ziemi? Odrzekł na to, że gotów jest uczyć, że ziemia jest płaska lub okrągła — stosownie do życzenia większości.

Ale stan duchowny najwięcej ucierpiał na tem i cierpi dotąd — pomimo poprawy położenia: cierpi nietylko z powodu nieuctwa, ale i niemoralności tych, którzy, głosili, że są „powołani do nauczania”. Zauważono, że w pierwszych czasach po zniesieniu niewolnictwa każdy murzyn, umiejący czytać, odczuwał to „powołanie” po zdobyciu kunsztu czytania. W Zachodniej Wirginii, gdzie mieszkałem, odbywało się to w sposób ciekawy. „Powolany” osobnik otrzy-

mywał zwykle „wezwanie“ do kościoła. Padał, jak gdyby ugodzony kulą, i leżał całemi godzinami rozciągnięty na ziemi, nieruchomy, niemy, a wtedy rozchodziła się wieść, że otrzymał „wezwanie“. Jeżeli go nie usłuchał, padał poraz drugi i trzeci — tak, że w końcu musiał być posłusznym. Pamiętam, że pomimo całego pragnienia nauki, dręczyła mnie za młodzieńczych lat obawa, iż gdy już nauczę się czytać i pisać, otrzymam takie „wezwanie“, ale nie wiem dlaczego, nie otrzymałem go nigdy.

Kiedy się obliczy liczbę ludzi wykształconych i nieuków, którzy pełnili obowiązki kaznodziejów, można się przekonać, że poziom umysłowy pastorów podniósł się teraz w wielu gminach Południowych Stanów, a za jakie lat trzydzieści liczba nieodpowiednich zmniejszy się jeszcze więcej. Trzeba i to dodać, że „wezwania“ zdarzają się rzadziej, a liczba tych, którzy poświęcają się rzemiosłom, wzrasta. Co się zaś tyczy składu ciała nauczycielskiego, postęp jest jeszcze widoczniejszy.

Jak dziecko polega na matce we wszystkim, czego potrzebuje, tak samo i nasi ludzie, we wszystkich Stanach Południa, w epoce dźwigania się, liczyli na rząd Związkowy. Było to zupełnie naturalne. Rząd obdarzył ich wolnością i przez dwa przeszło stulecia cały naród bogacił się pracą murzynów. Nie mogłem nigdy przebaczyć rządowi Związkowemu tego, że nie zabezpieczył — zaraz po zniesieniu niewolnictwa, oprócz ofiar ponoszonych przez Stany, takich zasilków, któreby dały murzynom możliwość lepszego przygotowania się do pełnienia obowiązków obywatelskich.

Latwo to wprawdzie krytykować i mówić, co należało uczynić, i może być, że ci co stali na czele rządu, uczynili wszystko, co było możliwe w danych okolicznościach. Mimo to, rozpatrując się w tej najwcześniejszej epoce naszej wolności, nie mogę się powstrzymać od wyrażenia żalu, że nie dało się znaleźć sposobu na uczynienie prawa głosowania

zależnem od pewnego stopnia wykształcenia lub za-  
możności—albo obu razem—warunku, który należa-  
ło uczciwie i bezstronnie postawić zarówno obu ra-  
som—białej i czarnej.

Pomimo, że byłem młody w owym czasie, czu-  
łem, że popełniają się błędy i że taki stan rzeczy  
nie będzie mógł trwać długo. Widziałem także, że  
polityka z czasów dźwigania się—o ile dotyczyła  
murzynów—opiera się na fałszywych zasadach, że  
była sztuczna i chybiona. Posługiwano się ciemno-  
tą murzynów, żeby białych ludzi wynieść na wyso-  
kie stanowiska polityczne. Prócz tego, w Północnych  
Stanach było stronnictwo, które chcąc się zemścić  
na białych z Południa, zmuszało murzynów do przyj-  
mowania posad, stawiających ich wyżej od białych.  
Któż miał na tem ucierpieć ostatecznie, jeżeli nie  
murzyni? Z drugiej strony, ta cała agitacya odwraca-  
ła murzynów od tego, co było dla nich najważniej-  
sze: od uczenia się rzemiosł dostępnych dla nich  
i nabywania własności.

Miałem przez chwilę silną pokusę rzucenia się  
w wir życia politycznego, ale poczucie, że mogę do-  
konać dzieła pożyteczniejszego, przygotowując silną  
podstawę dla murzynów za pomocą gruntownego  
ich wykształcenia umysłowego, moralnego i zawo-  
dowego, wpłynęło na wyrzeczenie się tego zamiaru.  
Widziałem murzynów, członków izby deputowanych,  
którzy nie umieli czytać, ani pisać, i pozostawiali  
dużo do życzenia pod względem moralnym i umy-  
słowym.

Niedawno temu idąc ulicą w jednym z miast  
Południa, usłyszałem jak dekarze pokrywający dach  
tytułowali jednego z towarzyszków „gubernatorem“,  
nawołując go do pośpiechu. Słyszałem kilka razy  
wymówione:

— Spiesz się, gubernatorze!

Zaciekawiony, zapytałem o osobę „gubernato-  
ra“ i dowiedziałem się, że to murzyn, który przez

jakiś czas pełnił rzeczywiście urząd gubernatora w swoim stanie.

Ale nie wszyscy murzyni, mianowani wysokimi urzędnikami w owym czasie, byli tego niegodni. Niektórzy—jak np. zmarły już senator B. K. Bruce, gubernator Pinchback i wielu innych byli ludźmi prawymi, rozumnymi i pożytecznymi. Nawet ci, którym dano nazwę *carpet baggers* \*), nie wszyscy zasługiwali na zarzut nieuczciwości. Trafiali się i wśród nich ludzie z charakterem i pożyteczni.

Naturalnie murzyni, którym brakowało zupełnie wykształcenia i doświadczenia, popełniali olbrzymie błędy, ale to trafiłoby się każdej innej narodowości w podobnych warunkach. Biali ludzie z Południa są przekonani, że gdyby dziś przywrócono murzy-  
nom prawa polityczne, popadliby w dawne błędy. Ale według mnie, jest to przesada, bo dziś murzyn jest nierównie więcej wykształcony i doświadczony, niż był przed trzydziestu pięciu laty, i nauczył się już własnym doświadczeniem, że nie może obejść się bez pomocy swoich białych sąsiadów z Południa. Jestem jak najmocniej przekonany, że kwestya przyszłości politycznej mojej rasy rozwiąże się wtedy dopiero, gdy Stany odmienią obecne prawodawstwo i ustanowią nowe prawa uczciwe i bezstronne, jednakowe dla obu ras, bez żadnej różnicy.

Moje codzienne obserwacje Południowych Stanów doprowadziły mnie do przeświadczenia, że każdy inny sposób byłby niesprawiedliwością względem murzynów, względem białych i względem reszty Stanów, i tak samo jak niewolnictwo, byłby niegodziwością, za którą musielibyśmy ponieść kiedyś karę.

---

\*) Dosłownie „noszący walizki“, co oznaczało ludzi z Północnych Stanów, przybywających z walizką w rękę bez pieniędzy, bez celu, i osiedlających się na Południu po skończonej wojnie, ażeby łowić ryby w mętnej wodzie.

W jesieni 1878 r. po dwóch latach, spędzonych w Maldenie na nauczaniu młodzieży, po przygotowaniu do szkoły w Hamptonie znacznej liczby chłopców i dziewcząt, oraz moich dwóch braci, postanowiłem pojechać do Waszyngtonu na dalsze studia. Przebyłem tam osiem miesięcy. Skorzystałem dużo—i jednocześnie zaznajomiłem się z kilku ludźmi niezwykle silnego charakteru. W kolegium, do którego uczęszczałem, nie uczono żadnych rzemiosł i nie mogłem skutkiem tego porównać go ze szkołą w Hamptonie. W Waszyngtonie uczniowie byli zamożniejsi, ubrani modnie, więcej rozwinięci pod względem umysłowym. W Hamptonie urządzenie szkoły pozwalało uczniom uczyć się kosztem kilku osób, które wyszukiwał zarząd szkoły; ale przy tem uczący się obowiązani byli opłacać koszta swego utrzymania, materiałów piśmiennych, ubrania i mieszkania albo samą pracą, albo częścią pieniędzy, a częścią pracą. W Waszyngtonie większość uczniów płaciła pieniędzmi za wszystko—w Hamptonie uczniowie musieli zarabiać ręczną pracą, co było bardzo ważne dla wyrobienia charakteru. Uczniowie w Waszyngtonie byli też mniej niezależni, zważali więcej na pozory, jednym słowem, zrobili na mnie wrażenie mniej gruntownych niż tamci; jeżeli po ukończeniu kursów byli bieglejsi w łacinie i greckim, mniej zato byli obeznani z warunkami życiowymi, które ich czekały w dalszym ciągu. Przeżywszy całe lata w wygodach, nie mieli ochoty osiedlać się w wiejskich okręgach Południa, gdzie zbywało im na dobrobycie, i dlatego woleli przyjmować miejsca kelnerów w hotelach lub konduktorów w wagonach pulmanowskich.

W czasie mego pobytu w Waszyngtonie, w mieście pełno było murzynów, których mnóstwo ścigało z Południa, Wpływało to na przekonanie, że życie tam jest łatwiejsze. Niektórzy murzyni otrzymali pomniejsze posady w administracyi; inni — a tych liczba była znaczniejsza — oczekiwali nomi-

nacyi od rządu. Kilku murzynów—ludzi wybitnych—zasiadało w izbie poselskiej, a jeden z nich, B. K. Brun, w senacie. Wszystko to dodawało Waszyngtonowi uroku w oczach murzynów. Wiedzieli też, że w tym okręgu mogą się odwołać o opiekę do prawa. Szkoły publiczne w Waszyngtonie lepsze były niż gdzieindziej. Miałem tam sposobność studyować zwyczaje mego ludu, co mnie żywo zajmowało. Jeżeli pośród murzynów był zastęp ludzi szanownych, wysokiej wartości i dobrych obywateli—była z drugiej strony cała, zbyt liczna warstwa takich, których lekkomyślność budziła we mnie obawy. Widywałem tam młodych murzynów, mających dochodu cztery dolary tygodniowo, a wydających połowę tego w niedzielę na najem powozu, w którym jeździli po Pensylwańskiej alei, żeby przed światem udawać bogaczy; inni, którzy otrzymywali rządowej pensyi siedemdziesiąt pięć do stu dolarów miesięcznie, pod koniec miesiąca siedzieli już w długach po uszy. Jeszcze inni, którzy przed kilku miesiącami zasiadali w kongresie, byli teraz bez posiadania i w nędzy. Byli tacy, co we wszystkim liczyli na rząd i ci pozabawieni byli wszelkiej ambicyi: żądali, żeby dla nich umyślnie stwarzano posady. Ileż razy od tej pory pragnąłem mieć czarodziejską władzę, by przenieść cały ten tłum na wieś i przywiązać go do ziemi, do tej niewzruszonej podstawy, która nie zawodzi nigdy — z której ona wyszły wszystkie narody i wszystkie rasy, jakie osiągnęły pewien stopień cywilizacyi, choć postęp ich był powolny i ciężki, ale jednak doprowadził je daleko.

W Waszyngtonie widziałem, jak młode dziewczęta córki praczek, uczyły się rzemiosła matek, a doszedłszy do odpowiedniego wieku, wstępowały do szkół publicznych na sześć lub osiem lat. Pod koniec nauki zaczynały ubierać się z pretensyami, nie licującami z ich położeniem; potrzeby ich wzrastały nierównomiernie ze środkami do ich zaspokojenia, a lata, przepędzone w szkole, zniechęcały je do

rzemiosła matek. I bardzo często dziewczęta te wchodziły na złą drogę. O ileż byłoby rozsądniej jednocześnie z wykształceniem umysłowem, nauką języków i matematyki, dać im jakieś rzemiosło, którego mogłyby się nauczyć według najnowszych i najlepszych systemów.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### RASA MURZYŃSKA I RASA CZERWONOSKÓRA.

---

Podczas pobytu mego w Waszyngtonie, a nawet jeszcze przedtem, objawił się ruch, w celu zastąpienia dotychczasowej stolicy Wirginii Zachodniej, miasta Wheeling, innem miastem, położonem bliżej środka. Wskazano trzy miasta, których wybór miał się odbyć przez głosowanie. Jedno z nich, Charlestown, leżało o pięć mil od Waldenu, mojej rezydencyi. Pod koniec szkolnego roku, przebytego w Waszyngtonie, otrzymałem pochlebne wezwanie od komitetu białych w Charlestown, z prośbą o objechanie całego stanu, dla poparcia interesów tego miasta. Zgodziłem się na to i przez całe trzy miesiące przemawiałem w różnych miejscowościach. Charlestown zwyciężyło i jest odtąd siadliskiem władz rządowych.

Opinia mówcy, jaką zdobyłem sobie podczas tej wyprawy, nasunęła ludziom myśl skierowania mnie do kariery politycznej. Ale i tym razem oparłem się zachętom, uznając, że na innej drodze mogę oddać większe usługi mojej rasie. Wtedy już miałem ugruntowane przekonanie, że mojemu ludowi potrzeba nadewszystko oświaty, znajomości rzemiosł i nabycia własności — rzeczy godniejszych ubiegania się, niż stanowisko, jakie daje karyera polityczna.

Co się tyczy mnie osobicie, chociaż czulem,

że mógłbym mieć powodzenie na tej drodze, nie tailem przed sobą, iż byłoby to tylko zadowoleniem samolubnej ambicyi kosztem naglącego obowiązku—pracy nad oświatą ludu.

W owym czasie murzyni, odbywający naukowe studia, marzyli o zostaniu adwokatami lub deputowanymi, a kobiety nauczycielkami muzyki. Ale ja uważałem za rzecz pilniejszą co innego, niż torowanie drogi znakomitym adwokatom, deputowanym i nauczycielkom muzyki.

Ich dążenia przypominały mi historię starego murzyna, który za czasów niewolnictwa zapragnął nauczyć się grać na gitarze. Zwrócił się z prośbą do jednego z paniczów, który mając mierne wyobrażenie o zdolnościach muzycznych starego, odpowiedział:

— Wuju Jake! nauczę cię nechętniej grać na gitarze, ale będziesz musiał zapłacić trzy dolary za pierwszą lekcję, dwa dolary za drugą, a jednego dolara za trzecią; ostatnia lekcya będzie cię kosztować tylko pięćdziesiąt centów.

A wuj Jake na to:

— Dobrze, paniczu, zgadzam się na te warunki, ale, paniczu, wolełbym zacząć od tej ostatniej.

Po powrocie z objazdu w interesach Charlestonu, spotkała mnie nowa radość, która była wielką niespodzianką. List od generała Armstronga, zapraszający mnie do Hamptonu na ceremonię rozdawania nagród, przy której miałam mieć mowę „dyplomowanych studentów.“ Nie byłbym nigdy śmiały marzyć o podobnym zaszczycie. Przygotowałem mowę, jak mogłem najlepiej, a za temat wziąłem—„Siłę, która zwycięża.“

Jadąc do Hamptonu, musiałem przebyć tę samą drogę, którą przed sześciu laty odbyłem jako uczeń. Tym razem jechałem bez przerwy koleją, a różnicę między temi dwiema podróżami miałem wciąż w pamięci. Mogę rzec śmiało, bez narażenia się na zarzut, że za wiele mówię o sobie, iż rzadko się zda-



rza, ażeby pięć lat sprowadziło tak zupełną zmianę w życiu człowieka.

Przyjęty zostałem z otwartemi rękoma przez nauczycieli i uczniów w Hamptonie. Zauważyłem, że od czasu mojego wyjazdu zakład ten przystosował się jeszcze lepiej do potrzeb ludu, że nauka rzemiosł i studia klasyczne uczyniły znaczny postęp. Szkoła nie naśladowała żadnych wzorów, wszystkie ulepszenia były dziełem generała Amstronnga, wywołane zawsze wymaganiami danej chwili, i miały na celu jedynie dobro naszego ludu. Zbyt często zdarza się, że chcąc cywilizować rasy niżej stojące, misjonarze lub wychowawcy ulegają pokusie wprowadzenia tego samego, co wprowadzone zostało w krajach bardzo dalekich lub sto lat temu. Jest to stosowaniem jednego systemu do zupełnie odrębnych warunków, bez względu na stan umysłowości danych ludów. Tego błędu nie popełniano w Hamptonie.

Wszystkim podobala się moja mowa; mnóstwo pochwał i słów zachęty. Powróciwszy zaledwie do Maldenu, zostałem wezwany napowrót przez generała Armstronga do Hampton, gdzie zaproponował mi dalsze studia wzamian za nauczanie w niższych klasach. Było to w lecie 1879 r. Wkrótce po przybyciu do Zachodniej Wirginii wybrałem z pośród uczniów mojej szkoły czterech najzdolniejszych, a oprócz nich, dwóch moich braci, zamierzając przygotować ich do szkoły w Hampton. Zostali przyjęci wszyscy — i uznano ich za tak dobrze przygotowanych, że niezadługo po wstąpieniu posunięto ich do klas wyższych. Dzięki temu zostałem wezwany do Hampton jako nauczyciel. Pomiedzy chłopcami, przygotowanymi przezemnie, był doktor Samuel E. Courtney, dziś znany lekarz w Bostonie i członek *School-boardu* <sup>1)</sup> w tem mieście.

<sup>1)</sup> Rada szkolna, rozstrzygająca o kwestiach wychowawczych.

General Armstrong postanowił w owym czasie zrobić nową próbę— rozpocząć w Hamptonie edukację czerwonych Indian. Ogólne panowało mniemanie, że są oni zupełnie niezdolni do przyjęcia jakiegokolwiek oświaty i przyswojenia jej sobie.

Pomimo to generał Armstrong postanowił uczynić próbę na wielką skalę. Z Zachodnich Stanów sprowadził przeszło stu dzikich Indian, zupełnie nieoświeconych, po większej części młodych. Życzył sobie, żebym miał ojcowski nadzór nad tymi młodzieńcami; miałem mieszkać w jednym domu z nimi, utrzymywać ich w karności, czuwać nad ich pokojami, ubraniem i t. p.

Propozycja była zachęcająca; ale oddalała mnie od mego zadania w Zachodniej Wirginii, do której przywiązałem się tak silnie, że wielką boleścią była dla mnie myśl o opuszczeniu tamtych stron. Uczyniłem jednak to poświęcenie dla generała Armstronga, któremu nie potrafiłbym nic odmówić.

W Hamptonie musiałem mieszkać z siedmiesięciami pięcioma młodymi Indianami; w całym domu byłem jedynym przedstawicielem rasy murzyńskiej. Wątpiłem jednak, czy będę mógł co z nich wyrobić.

Wiedziałem, że Indianie wogóle uważają się za wyższych od ludzi białej rasy, a tembardziej od murzynów, którzy pozwolili się wprzódz w jarzmo niewoli, czego Indianie nigdyby nie zniesli. Mieli oni sami niewolników na swoich ziemiach za czasów niewolnictwa.

Myśl rozpoczęcia w Hamptonie dzieła cywilizacji między Indianami została przyjęta z ogólnem niedowierzaniem. Było to jednym więcej powodem do działania z pewną przezornością, bo czułem dobrze całą odpowiedzialność, jaka na mnie ciąży. Zdołałem wkrótce zjednać sobie zupełnie zaufanie Indian, a nawet mogę rzec, ich przywiązanie i szacunek. Uczyniłem odkrycie, że są oni zupełnie tacy sami, jak inne ludzkie istoty: czuli na dobroć,

a drażliwi wobec złego obejścia. Przykrością był dla nich przymus strzyżenia włosów, które przywykli nosić długie, nakrywanie się koldrami wełnianymi zamiast sypiania w nbraniu i zakaz palenia tytoniu, ale Amerykanin białej rasy uważa za ucywilizowanych tylko tych ludzi, którzy ubierają się tak jak on, żywią się tem samym co on, mówią jego językiem i wyznają tę samą co on religię.

Raz opanowawszy trudność angielskiego języka, Indianie z nie mniejszą od murzynów łatwością uczyli się rzemiosł i wszystkiego co wykładają w szkole.

Wzruszający był widok usłużności murzynów względem Indian, przejmowało mnie to wielką radością. Byli między nimi i tacy, którzy niechętnie przyjęli dopuszczenie Indian do szkoły, ale tych było niewielu. Ilekroć zaproponowano murzynom przyjęcie do siebie Indian dla ułatwienia im postępu w języku angielskim, w przyswojeniu sobie cywilizowanych obyczajów, nie opierali się temu nigdy.

Ileż to zakładów szkolnych dla białych. przyjęłoby z równą serdecznością stu towarzyszków odmiennej rasy. Ileż to razy miałem chęć powiedzieć uczniom białej rasy, że powinni sami wznieść się do tych samych wyżyn, do jakich usiłują podnieść innych i że im bardziej która rasa jest wstrętna i nieszczęśliwa, tem więcej się uszlachetniają, jeżeli służą jej za dźwignię.

Przypomina mi to rozmowę, jaką miałem z Fryderykiem Douglasssem.<sup>1)</sup> Opowiadał mi o podróży do Pensylwanii, podczas której z powodu koloru swej skóry, zmuszony był przejść do towarowego wagonu, płacąc tyleż, co wszyscy podróżni.

---

<sup>1)</sup> Fryderyk Douglass (1817 — 1895) był tak samo, jak i autor dawnym niewolnikiem i mówcą. W 1838 r. uciekł od swego pana i osiedlił się w Stanach Północnych, gdzie prowadził żywą agitację przeciw niewolnictwu. (*Przyp, słóm.*)

Kilku białych przyszło tam do niego, wyrażając swoje współczucie z powodu tego poniżenia, ale on wyprostował się na pace, na której, siedział i odrzekł:

— Nikt nie zdoła poniżyć Fryderyka Douglass duszy, która jest we mnie, nic nie może znieważać. Nie mnie ubliżają takie czyny; tylko tym, którzy się ich dopuszczają.

Ja sam byłem świadkiem bardzo zabawnego zdarzenia w okolicach, gdzie prawo wymaga osobnych wagonów dla każdej z ras, zdarzenia, dowodzącego, że niekiedy trudno oznaczyć linię graniczną pomiędzy białymi a murzynami.

Szto wtedy o murzyna, który był naprawdę murzynem. ponieważ inni za takiego go uznali, ale który jednak był tak biały, że tylko znawca mógł się na tem poznać. Człowiek ten odbywał podróż w wagonie dla murzynów. Kontroler wszedłszy, zakłopotał się bardzo: jeżeli to był murzyn — nie chciał go postać do wagonu dla białych, jeżeli zaś był biały, nie chciał mu ubliżyć, pytając czy jest murzynem. Obejrzał go skromnie, przypatrzył się jego włosom, oczom, nosowi i rękom; ale to nie rozstrzygnęło wątpliwości. Nakoniec, dla ostatecznego upewnienia schylił się i obejrzał mu nogi. To — pomyślałem, powinno rozstrzygnąć trudność; jakoż tak się stało, bo kontroler odszedł, pozostawiając „murzyna“ na miejscu. Ja zaś ucieszyłem się, że moja rasa nie postradała jednego ze swych członków.

Jestem zdania, że można ocenić człowieka na podstawie jego postępowania z ludźmi rasy mniej uprzywilejowanej. Najwybitniejszym tego dowodem są dumni właściciele ze Stanów Południowych, kiedy się spotykają ze swymi dawnymi niewolnikami lub ich potomstwem.

Jerzy Waszyngton jest także jednym z takich przykładów. Spotkał raz murzyna, który uklonił mu się grzecznie, a on odklonił się również. Postę-

pek ten uważano za zbytek uprzejmości, na co Waszyngton odrzekł:

— Chyba nie możecie tego żądać, ażeby biedny i nieoświecony murzyn był grzeczniejszym odemnie?

Podczas pobytu w Hamptonie stosunki moje z Indyanami wykazały mi wielokrotnie szczególne skutki, jakie wywołuje pojęcie kastowości. Zdarzyło się, że jeden z Indyan zachorował i trzeba go było przewieźć do Waszyngtonu, do ministra spraw wewnętrznych, dla otrzymania paszportu, pozwalającego mu powrócić na terytorjum zarezerwowane dla Indyan. Byłem wtenczas bardzo jeszcze mało obeznany ze zwyczajami światowemi.

Na statku, którym płynęliśmy do Waszyngtonu, czekałem, aż podróżni skończą obiad, zanim sam usiadłem do stołu. Kiedym przyszedł do sali jadalnej, starszy służący zawiadomił mnie bardzo grzecznie, że tylko Indyanin może tam jadać. Zapytywałem sam siebie, jakim sposobem potrafił on nas rozróżnić, bo Indyanin miał skórę prawie takiego samego koloru, jak ja. Zdaje się jednak, że służący był pod tym względem znawcą. W Hamptonie wyznaczono mi hotel, w którym miałem się zatrzymać w Waszyngtonie, ale i tam spotkało mnie to samo, gdyż tylko mój pupil został przyjęty, a ja musiałem zamieszkać w innem miejscu.

Drugi fakt podobny zdarzył się w mojej obecności. Byłem w jednym mieście, gdzie ludność tego dnia była w stanie tak wielkiego podniecenia, że można było lękać się wypadków *lynchu*. Wzburzenie to wywołane było przyjazdem człowieka o ciemnej skórze, który osmielił się stanąć w jednym z hotelów miejscowych. Ale gniew uspokoił się zaraz, gdy się dowiedziano, że to był obywatel z Marokko, mówiący po angielsku. Sprawca zamieszania uznał, że przezorniej będzie na przyszłość nie mówić po angielsku.

W końcu pierwszego roku, przebytego z Indya-

nami, ofiarowano mi nową posadę, którą uważam zawsze jako środek zesłany mi przez Opatrzność dla przygotowania mnie do podjęcia później dzieła w Tusbegee. General Armstrong zauważył, że bardzo znaczna liczba młodych dziewcząt i chłopców murzyńskich pragnęła gorąco nauki, ale nie mogła wstąpić do szkoły w Hamptonie dla braku zasobów na opłatę szkolną i kupno książek. Postanowił więc otworzyć kurs wieczorny w łączności z tą szkołą. Do tej klasy miało się przyjmować ograniczoną tylko liczbę uczniów i to najzdolniejszych, chłopców i dziewcząt, pod warunkiem, że będą pracować dziesięć godzin w ciągu dnia, a wieczorem mieć dwie godziny lekcyi. Jako wynagrodzenie za swą pracę mieli otrzymywać więcej, niż kosztowała opłata szkolna. Większa część ich zarobków miała być składana do kasy szkolnej i służyć później na opłatę utrzymania w szkole, gdy wstąpią do niej po przebyciu roku lub dwóch na kursach wieczornych. Uzyskiwali tym sposobem pierwsze podstawy do niezbędnego wykształcenia i praktykę w rzemiosłach, nie mówiąc już o innych dobroczynnych wpływach zakładu.

General prosił mnie o pokierowanie temi wieczornymi kursami, a ja zgodziłem się na to, czego żądał. Na początek miałem tuzin chłopców i dziewcząt chętnych i poważnie myślących. W dzień chłopcy pracowali w szkolnym tartaku — dziewczęta w pralni.

Ani jedni ani drudzy nie mieli lekkiej pracy, ale w całym, moim zawodzie nauczycielskim nie miałem nigdy uczniów, którzyby mi sprawiali więcej pociechy. Uczyli się i odrabiali lekcyje doskonale. Nie byliby za nic w świecie skończyli przed dzwonkiem, a nawet niekiedy żądali przedłużenia lekcyi. Uczniowie ci mieli równy zapał do pracy dziennej, jak wieczornej, tak dalece, że dałem im przydomek „dzielnych“, który stał się wiadomym w całym zakładzie i pozostał im na zawsze. Kiedy

uczeń uczęszczał już pewien czas na moje kursa wieczorne, otrzymywał świadectwo drukowane w tych słowach:

„Ja niżej podpisany zaświadczam, że John Smith uczęszcza do klasy „dzielnych“ i jest uczniem dobrym i pilnym“.

Uczniowie cenili bardzo te świadectwa, które zwiększały popularność kursów wieczornych. Przez kilka tygodni liczba uczniów doszła do dwudziestu pięciu. Pomiedzy nimi są tacy, których nie straciłem nigdy z oczu i którzy zajmują stanowiska wybitne i pożyteczne w różnych stronach Południa. Te kursa wieczorne w Hamptonie, zaczęte z dwunastu uczniami, liczą teraz od trzystu do czterystu uczniów i stały się ważnym czynnikiem w tym zakładzie naukowym.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### POCZĄTEK MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W TUSKEGEE.

W czasie, kiedy zajmowałem się Indyanami i wieczornymi kursami w Hamptonie, uczyłem się dalej sam, pod kierunkiem specjalnych nauczycieli. Jednym z nich był wielbny doktor H. B. Frissel, obecny kierownik zakładu w Hamptonie i następca generała Armstronga.

W maju 1881 r., pod koniec pierwszego mojego roku nauczania na kursach wieczornych, zdarzyła mi się nareszcie sposobność rozpoczęcia właściwego zawodu i to w sposób zupełnie niespodziewany. Pewnego wieczora w kaplicy po skończeniu codziennego nabożeństwa generał Armstrong opowiedział nam o liście, który otrzymał z Alabamy i w którym proszono go o wyszukanie kogoś odpowiedniego do kierowania normalną szkołą dla murzynów,

jaką miano otworzyć w miasteczku Tuskegee, w stanie tegoż nazwiska. Uważano, że tylko biały zdolny byłby do pełnienia tych obowiązków. General Armstrong wezwał mnie i ku wielkiemu mojemu zdziwieniu zapytał, czy czułbym się na siłach podjąć się tego kierownictwa? Odpowiedziałem, że jestem gotów spróbować. Napisał wtedy do interesowanych, że niema żadnego białego, odpowiadającego postawionym warunkom, ale może polecić murzyna, jeżeli zgodzą się na człowieka tej rasy i wymienił moje nazwisko. Kilka dni upłynęło zanim nadeszła odpowiedź. Nakoniec w niedzielę wieczorem general otrzymał telegram:

„Booker Washington odpowiada naszym żądaniom. Przyślijcie go natychmiast“.

Nauczyciele i uczniowie w Hamptonie ucieszyli się bardzo i wieszowali mi powodzenia.

Przygotowałem się natychmiast do wyjazdu do Tuskegee. Jadąc tam, skierowałem się przez Zachodnią Wirginię, dla odwiedzenia swoich. Tuskegee było wtedy miasteczkiem o dwóch tysiącach mieszkańców, w większej połowie murzynów. Miasto to położone jest w okolicy zwanej Black-Belt (czarny pas) na południu. W hrabstwie tem murzynów było więcej niż białych, w stosunku trzech na jednego, a w sąsiednich hrabstwach sześciu na jednego.

Pytano mnie nieraz czemu przypisać nazwę Czarnego Pasa? Sądzę, że została ona nadana zrazu części kraju, gdzie ziemia była czarna. W tych stronach, gdzie grunta są ciężkie, czarne i bardzo urodzajne, niewolnicy byli bardzo poszukiwani i co za tem idzie, dostarczani w wielkiej ilości. Później, szczególnie od czasu wojny, nazwa ta przybrała inne znaczenie, jako nazwa stanów, w których murzyni stanowią większość ludności.

Jadąc do Tuskegee, spodziewałem się zastać szkołę dobrze urządzoną i zaopatrzoną we wszystko, co potrzebne do nauki. Jakież było moje rozczaro-



wanie, gdy nie zastał nic. Ale za to zastałem tam setki istot żądnych nauki.

Tuskegee było miejscem idealnym na założenie szkoły. Położone pośrodku wielkiej masy murzynów, o pięć mil od linii drogi żelaznej, połączone z nią krótką kolejką podjazdową. W czasach niewolnictwa miejsce to było miejscem, gdzie biała ludność pobierała nauki. Dlatego zastałem tam poziom umysłowy białych wyższy niż gdzieindziej. Murzyni byli nieoświeceni, to prawda; ale nie mieli wad i upodlenia, jakie się widzi u pospólstwa w wielkich miastach. Prócz tego biali i murzyni żyli z sobą w przyjaznych stosunkach. Jako dowód mogę przytoczyć, że największy w mieście skład żelaza był wspólną własnością białego i murzyna, którzy pozostawali w spółce do śmierci tego ostatniego.

Dowiedziałem się później, że na rok przed moim przybyciem do Tuskegee kilku murzynów, zaszysawszy o tem, co w Ilamptonie czynią dla oświaty, zwróciło się za pośrednictwem deputacyi do Izby prawodawczej o niewielki zasilek, któryby im pozwolił założyć szkołę normalną w Tuskegee. Przyznano im zasilek roczny dwóch tysięcy dolarów, ale pieniądze te, jak zastrzeżono, miały służyć tylko na pensye dla nauczycieli, a nie było nic na zakup gruntu, budowę gmachu i urządzenia szkolne. Zadanie moje nie było łatwe. Jedno mnie tylko wynagradzało: radość murzynów, gotowych na wszelkie usługi dla szkoły.

Na początek umiałem wyszukać miejsce odpowiednie na szkołę. Obejrzawszy całe miasto nie znalazłem nic możliwego, prócz zrujnowanego domostwa, należącego do dawnego kościoła metodystów i samego kościoła, oddanego na użytek murzynów; z obu tych budowli można było zrobić szkołę, ale kościół był równie w złym stanie, jak i domostwo, były tak zrujnowane, że gdy przesłuchiwałem uczniów podczas lekcyi, jeden ze starszych musiał trzymać otwarty parasol nad moją głową, ażebym nie

zmokł. Pamiętam, że moja gospodyni nieraz musiała robić to samo podczas obiadu.

Kiedy przybyłem do Alabamy, murzyni zajmowali się najwięcej polityką i chcieli we mnie wszczepić swoje przekonania. Czuli nieufność względem obcych. Jeden z nich, wydelegowany przez innych dla kierowania moją polityką, mówił mi z wielką powagą:

— Żądamy, ażebyś głosował za tem samym, co my. Nie umiemy czytać dzienników, ale umiemy głosować, więc trzeba głosować razem z nami. A przytem—dodał—rozciągamy nadzór nad białymi, ażeby się dowiedzieć, za kim będą głosowali, a wtedy głosujemy przeciwnie i jesteśmy już pewni, że stoimy po stronie słuszności.

Muszę nadmienić, że dążność do głosowania przeciwko białym dlatego tylko, że są biali, znika stopniowo i nasi murzyni nauczyli się głosować za zasadą i za wyborem tego, kogo wymaga interes ogółu.

Przybyłem do Tuskegee w czerwcu 1881 roku. Pierwszy miesiąc upłynął na szukaniu miejsca na szkołę i potem jeździłem po Alabamie, badając obyczaje ludu, szczególnie na wsi, a ostatecznie usiłowałem zapoznać z moją szkołą ludność, która miała mi dostarczyć uczniów. Podróżowałem po gościńcach wózkiem lub małym powozikiem, zaprzężonym w muła. Jadałem i nocowałem w domach ubogiej ludności. Zwiedzałem fermy, szkoły, kościoły, a że nie byli nigdzie uprzedzeni o mojem przybyciu, miałem tę korzyść, że widziałem ich w świetle codziennego życia.

W okręgach plantacyjnych chaty miały tylko jedną izbę sypialną, w której mieściła się cała rodzina, i nie tylko rodzina, ale krewni i ludzie zupełnie obcy. Nieraz musiałem wychodzić, ażeby inni mogli się położyć, lub też żeby sam mógł się zebrać. Czasami urządzano mi posłanie na ziemi, albo robiono miejsce w łóżku już zajętem. Nie moż-

na było myśleć o robieniu toalety, nawet najprostszej we wnętrzu domu, na to trzeba było iść na podwórze, gdzie zwykle znajdowało się to, co najkorniejsze.

Pożywienie składało się ze słoniny i mąki kukurydżowej. Zdarzało mi się jadać w chatach, gdzie nie było nic, oprócz chleba z mąki kukurydżowej i grochu ugotowanego w wodzie. Nie przychodziło tym ludziom nawet na myśl, żeby można żywić się czem innym, oprócz tych dwóch rzeczy, które kupowali drogo w mieście, kiedy mogli byli mieć najpiękniejsze warzywa na gruncie ofaczającym ich chaty. Jedynym ich zajęciem była uprawa bawełny, którą sadzono nieraz aż przy samym progu domostwa.

W tych ubogich chatach zdarzało mi się spotykać maszyny do szycia, nabyte dzięki systemowi płacenia ratami, kosztujące po sześćdziesiąt dolarów, albo zbytkowne zegary ściennie po dwanaście do czternastu dolarów.

Byłem raz w domu, gdzie mnie zaproszono na obiad; na stole na pięć osób był tylko jeden widelec; można sobie wyobrazić mój kłopot, gdy miałem się zabrać do jedzenia. A jednak w tym samym domu widziałem stojący w kącie melodykon, kosztujący sześćdziesiąt dolarów, kupiony na rozplaty miesięczne. Jeden widelec na cały dom — i melodykon za sześćdziesiąt dolarów!

Co zaś jeszcze ciekawsze, to, że maszyny do szycia nie były używane, zegary nie szły, a choćby były dobre, dziewięć razy na dziesięć w całej rodzinie nie było nikogo, ktoby umiał poznać się na godzinach; co zaś się tyczy melodykonu, stał nietykany, bo nikt nie umiał grać na nim.

W jednym z tych domów, o których mówię, zauważyłem, że tylko na moją cześć zasiadano do stołu, zrywając z panującym stale zwyczajem. Najczęściej gospodyni, wstając rano, kładła kawalek mięsa na patelni i ciasto do rądla. Oba na-

czynia stawiały się na ogniu i w dziesięć minut śniadanie było już gotowe. Mąż brał mięso i chleb do ręki i zjadał je, idąc na pole. Żona siadała w kącie i jadła śniadanie, czasem na talerzu, czasem na piecu lub z rondla; dzieci jadły, biegając po ogrodzie. W niektórych porach roku, gdy o mięso było trudno, stawało się ono zbytkiem, którego nie dawano dzieciom małym, lub niemającym siły do roboty w polu.

Skończywszy śniadanie i nie sprzątnąwszy w domu, cała rodzina szła zwykle na pola bawełny. Każde dziecko, zdolne do pielienia, musiało pracować, a niemowlę, którego zwykle nie brakowało w żadnej rodzinie, kładziono na ziemi przy krzakach bawełny, gdzie pracowała matka, by mogła się niem zająć, skończywszy robotę. Posiłek południowy i wieczorny spożywali wszyscy w ten sam sposób, jak śniadanie.

Wszystkie dni w tygodniu spędzali jednakowo, z wyjątkiem soboty i niedzieli. Sobotni dzień cały lub kilka godzin rodzina spędzała w mieście. Szło się z zamiarem robienia zakupów; ale za te pieniądze, które mieli do rozporządzenia, jedna osoba mogła się załatwić ze sprawunkami w ciągu dziesięciu minut. Nie mniej jednak cała rodzina siedziała w mieście przez cały dzień, włóczęc się po ulicach, a kobiety przepędzały czas, paląc i zażywając tabakę. W niedzielę szli wszyscy na wielki miłyng.

Z nielicznymi wyjątkami w hrabstwach, które zwiedzałem, były plony bardzo wątpliwej wartości, a farmerów murzynów znalazłem prawie wszystkich obdużonych. Stany nie mogły budować szkół na wsi, więc nauka szkolna odbywała się zwykle po kościołach lub budach kramarskich. Nieraz widziałem nieogrzewane budynki, gdzie się odbywały lekcje, zimą rozpalano ognie na dziedzińcu, nauczyciele i uczniowie wychodzili na dziedziniec, lub wracali do klasy, stosownie do tego, czy im było gorąco lub zimno.

Nauczyciele, z nielicznymi wyjątkami, byli rozpaczliwie nieprzygotowani do pełnienia swych obowiązków i zbywało im na wartości moralnej. Nauka trwała tylko trzy albo pięć miesięcy w ciągu roku. Właściwie nie było żadnych urządzeń w klasach, oprócz prostej czarnej tablicy. Zdarzyło mi się raz zastać w takiej budzie pięcioro dzieci, uczących się lekcyi z jednej książki jednocześnie. Dwoje z nich siedziało trzymając książkę, dwoje czytało z po za ich pleców, a piąty malec usiłował czytać z po za pleców tamtych czworga.

To, co mówię o szkołach i nauczycielach, dałoby się zastosować do kościołów i duchowieństwa.

Muszę wspomnieć, że podczas moich podróży spotykałem niekiedy ciekawe typy. Następujący szczególnie może dać pojęcie o stanie umysłowym ludności wiejskiej w owej epoce. Zażądałem od sześćdziesięcioletniego murzyna, ażeby mi opowiedział swoje życie. Powiedział, że urodził się w Wirginii, a w 1845 roku został sprzedany do Alabamy. Kiedy go zapytałem, ilu zostało sprzedanych z nim razem, odrzekł:

— Było nas pięciu: mój brat, ja i trzy muły.

Zdając sprawę z tego, com widział podczas wycieczek w okolicy Tuskegee, nie chcę bynajmniej wpoić w czytelników mniemania, że wszędzie były tylko objawy nędzy. Jeżeli kładę nacisk na opłakane warunki, w jakich zastałem ludność Tuskegee w owym czasie, to dla tem lepszego uwydatnienia zmian, które od tej pory zaszły, nie tylko pod wpływem szkoły w Tuskegee, ale i dzięki innym zakładom.

## ROZDZIAŁ VIII.

## LEKCYE W STAJNI I KURNIKU.

Wyznaję, że wyniki całomiesięcznej podróży i badania przejęły mnie głębokiem zniechęceniem. Podźwignięcie tej ludności wydało mi się nad moje siły. Byłem zupełnie osamotniony, a ta odrobina, jaką mógłbym dokonać, była nic nieznacząca w porównaniu z tem, co pozostałoby do zrobienia. Zada wałem sobie pytanie, czy moje usiłowania mogą wydać jakikolwiek rezultat i czy warto nawet próbować.

Byłem zawsze przekonany, a tem więcej po zbadaniu stanu moralnego i umysłowego mego ludu, że sama nauka nie może mu wystarczyć. Lepiej niż kiedykolwiek zrozumiałem mądrość systemu przyjętego przez generała Armstronga w Hamptonie. Widziałem dobrze, że zbierać takie dzieci, jakie tu widziałem, na kilka godzin lekcyi, byłoby daremną stratą czasu.

Porozumiawszy się z obywatelami Tuskegee, naznaczyłem 4 listopada 1881 r. na dzień otwarcia szkoły w małym domostwie i kościele, które zostały zakupione w tym celu. Wszyscy biali i murzyni zajmowali się żywo założeniem nowej szkoły i oczekiwali niecierpliwie dnia jej otwarcia. Nie brakło w okolicach Tuskegee i takich białych, którzy niechętnie na to patrzyli. Powątpiewali, czy wyniknie z tego jaka korzyść dla murzynów, a nade wszystko obawiali się zatargów pomiędzy obu rasami. Jedni lękali się że murzyni postradają te zalety, które im nadawały wartość pod względem ekonomicznym, że gdy ich wykształcą, porzucą służbę na fermach i trudno będzie znaleźć na ich miejsce innych służących.

Ci biali, przeciwnicy nowej szkoły, wyobrażali

sobie wykształconego murzyna w cylindrze, z lornetką w złoto oprawną, z elegancką laseczką w ręku, w rękawiczkach i lakierowanych butach, nie wiem zresztą, co jeszcze więcej. Jednym słowem, jako człowieka, który będzie chciał zarabiać jedynie umysłową pracą. Nie wyobrażali sobie oświeconego murzyna w innej postaci.

We wszystkich trudnościach przy otwieraniu szkoły i przez dziewiętnaście lat następujących znajdowałem zawsze pomoc i radę u dwóch ludzi, którzy są mymi najlepszymi przyjaciółmi w Tuskegee. Im należy się w znacznej części cześć za to całe przedsięwzięcie i mogę śmiało powiedzieć że nigdy nie zwróciłem się do nich napróżno. Jeden z nich, pan Jerzy W. Campbell, jest biały i dawny właściciel niewolników. Drugi, Lenis Adams, murzyn i były niewolnik. Oni to zwrócili się do generała Amstronnga z prośbą o dyrektora szkoły.

Campbell, kupiec i bankier, nie zajmował się przedtem kwestyą oświaty. Adams był rolnikiem i za czasów niewolnictwa zajmował się kolejno szewstwem, rymarstwem i blacharstwem. Nie był ani jednego dnia w szkole, lecz mimo to nauczył się czytać i pisać. Obaj zrozumieli w lot mój plan wychowawczy, podnieśli moje nadzieje i dopomagali w usiłowaniach. W najtrudniejszych chwilach nie odwoływałem się nigdy napróżno do pomocy Campbella i otrzymywałem zawsze hojną zapomogę. Zdaje mi się, że niczyich rad nie słuchałbym chętniej, ani nie powierzył kierownictwa interesów szkolnych, jak tym dwom ludziom—byłemu właścicielowi niewolników i byłemu niewolnikowi.

Jestem przekonany, że nadzwyczajną siłą charakteru, jaką odznaczał się Adams, zawdzięczał on tej szczęśliwej okoliczności, że wyuczył się trzech rzemiosł za czasów niewolnictwa. Dziś jeszcze każdemu przybyszowi w miastach Południa, jeżeli zażąda, by mu wskazano najwybitniejszego murzyna w danej miejscowości, wskażą niezawodnie takiego,

który za czasów niewolnictwa wyuczył się rzemiosła.

W dzień otwarcia szkoły zapisało się trzydziestu uczniów. Obie płcie były w równej liczbie. Większość pochodziła z hrabstwa Macon, którego Tuskegee jest stolicą. Zgłosiło się dużo uczniów, ale postanowione było, że będę przyjmował tylko tych, którzy mają więcej niż lat piętnaście i już cośkolwiek umieją. A pomiędzy przyjętymi było wielu takich, którzy poprzednio sami uczyli się w gminnych szkołkach i mieli przeszło czterdzieści lat.

Ci nauczyciele wstąpili do szkoły razem ze swymi uczniami i rzecz dziwna! po zdaniu wstępnego egzaminu niektórzy z uczniów dostali się do klasy wyższej niż ich mistrze. Wielu z nich chętnie się przeczytaniem grubych ksiąg o szumnych tytułach, a im grubszą była książka i dłuższy tytuł, tem dumniejsi byli ze swej wiedzy. Byli tacy, którzy studyowali łacinę, jeden czy dwóch język grecki, sądzili więc, że ta umiejętność podniesie ich nieskończenie w naszych oczach.

Rzeczywiście w czasie moich podróży najbardziej chyba przykrym był mi widok młodego murzyna, siedzącego w jedynej izdebce drewnianej chatki i zatopionego w gramatyce francuskiej; siedział w brudnym odzieniu, wśród wielkiego nieporządku w izbie, a ogród naokoło chaty zarosły był chwastami.

Ci pierwsi uczniowie lubili najlepiej uczyć się na pamięć najzawilszych prawideł gramatyki i matematyki; ale brakowało im zupełnie umiejętności użytkowania praktycznie nabytych wiadomości. Opowiadali, że są biegli w arytmetyce i rachunkowości handlowej, ale spostrzegłem wkrótce, że ani oni, ani ich sąsiedzi nie miewali rachunków w bankach. Zapisując nazwiska uczniów zauważyłem, że wszyscy bez wyjątku wstawiali pojedynczą literę pomiędzy swe imię a nazwisko. Zapytywałem ich o znaczenie tej litery, naprzykład J, wstawionej we środek: „John



J. Johns“. Odpowiadali mi, że to część ich tytułu osobistego...

Większa część uczniów pragnęła nabyć wiadomości po to, ażeby poprawić swój byt nauczycielski. Z wyjątkiem tych drobiazgów, muszę przyznać, że nigdy nie miałem do czynienia z ludźmi mającymi lepsze chęci. Byli zawsze gotowi uczynić to, co im było wskazane jako dobre. Pragnąłem przedewszystkiem dać im wykształcenie gruntowne, ale stosowne. Wkrótce przekonałem się, że nie mieli pojęcia o wyższych naukach, których studyowaniem tak się chętnie. Zauważyłem i to, że jeżeli młode dziewczęta umiały wskazać na globusie miejsce, gdzie leży Sahara lub stolica Chin, nie umiały znaleźć na stole miejsca, gdzie się kładzie noże i widelce, chleb i mięso.

Potrzeba mi było pewnej odwagi, żeby wytłumaczyć uczniowi, który umiał wyciągnąć pierwiastek sześcianu i znał rachunkowość, że najpierwszą rzeczą, jakiej trzeba się nauczyć, jest tabliczka mnożenia.

Liczba uczniów wzrastała z każdym tygodniem tak, że w końcu miesiąca było ich już pięćdziesięciu. Prawie wszyscy mówili wstępując, że mogą poświęcić na naukę tylko dwa lub trzy miesiące i chcieli wejść do wyższej klasy i ukończyć nauki pod koniec pierwszego roku.

W końcu pierwszych sześciu tygodni przybyła nam nowa koleżanka, kobieta rzadkiej inteligencji, miss Olivia A Davidson, która później została moją żoną. Miss Davidson urodziła się w Ohio i odbyła nauki w szkole gminnej w tym stanie. Bardzo jeszcze będąc młodą dowiedziała się, że na Południu brak jest nauczycielek. Pojechała więc do stanu Mississipi i rozpoczęła nauczanie. Potem uczyła w Memphis. W Mississipi jedna z jej uczennic zachorowała na ospę. Zapanowała taka trwoga, że nikt nie chciał doglądać chorego dziecka. Miss Davidson zamknęła wtedy szkołę i zasiadła przy łóżku

chorej, pielęgnując ją dniem i nocą, do zupełnego wyzdrowienia i kiedy następnie pojechała do domu na wakacje, żółta febra zapanowała w Memphis (Tennessee); była to najokropniejsza epidemia, jaka kiedykolwiek panowała na Południu. Dowiedziawszy się o tem, miss Davidson zatelegrafowała do burmistrza w Memphis, ofiarowując mu swoje usługi jako dozorczyńi chorych, pomimo, że sama nie przechodziła nigdy tej strasznej choroby.

Była ona tego samego zdania, co ja, że nauka książkowa nie wystarcza w szkole murzynów. Słyszała już była o systemie nauczania w Hamptonie i chcąc się przygotować do pożytecznej działalności na Południu, pojechała do Hamptonu na naukę. Świetna jej inteligencya zwróciła uwagę pani Maryi Hinceway z Bostonu i dzięki jej wspaniałomyślnej hojności, mogła miss Davidson uzupełnić swoje studia przez dwuletni pobyt w szkole normalnej w Framingham (Massachusetts), po otrzymaniu dyplomu w Hamptonie.

W chwili wyjazdu do Framinghamu ktoś zwrócił uwagę miss Davidson, że mając tak białą cerę, może w nowej szkole przedstawić się jako osoba białej rasy, co byłoby dla niej bardzo korzystne. Ale odpowiedziała bez wahania, że pod żadnym pozorem nie chciałaby wprowadzać w błąd co do swojej osoby.

Wkrótce po wyjściu z Framinghamu miss Davidson przybyła do Tuskegee, gdzie wniosła nowe pojęcia o sposobach nauczania, co w połączeniu z jej wyborową naturą i bezgranicznem poświęceniem, oddało szkole bardzo wielkie usługi.

Nikt więcej od niej nie przyłożył się do ugruntowania podstaw zakładu w Tuskegee i do zapewnienia mu powodzenia.

Od samego początku porozumieliśmy się co do metody najodpowiedniejszej do zaprowadzenia w szkole. Uczniowie robili postępy w nauce książkowej i w rozwoju umysłowym, ale widocznem było dla

nas, że chcąc zrobić trwale wrażenie na uczniach, których wychowanie zostało nam powierzone, potrzeba im było dać coś innego i coś więcej, oprócz wiadomości naukowych. Środowiska, z jakich pochodzili ci uczniowie, nie wpoili im żadnych pojęć o potrzebie utrzymania ciała w czystości. Domy, w których mieszkali w Tuskegee, nielepiej urządzone były od tych, z których przybywali. Naszem gorącym pragnieniem było wpojenie im pojęcia o konieczności kąpieli, mycia zębów, starannego utrzymania odzieży, porządnego jedzenia, wyboru tego, co jeść trzeba i o utrzymywaniu w porządku mieszkań. Chcieliśmy ich też nauczyć rzemiosł, ażeby pracą, uzdolnieniem i oszczędnością, wpojoną u nas, potrafili dać sobie radę po opuszczeniu szkoły. Pragnęliśmy, ażeby zwracali uwagę nie tylko na książki, ale i na warunki życiowe.

Uczniowie nasi pochodzili przeważnie z okolic, w których rolnictwo jest głównym zajęciem mieszkańców. W stanach położonych nad zatoką Meksykańską, 85 murzynów na 100 żyło z uprawy roli. Biorąc to na uwagę, nie chcieliśmy bynajmniej tłumić w naszych uczniach zamiłowania do rolniczych zajęć i kierować ich do miast, w których utrzymywaliby się z pracy umysłowej. Pragnęliśmy dać im wykształcenie, któreby uzdolniło większą ich część do pracy nauczycielskiej, ale jednocześnie dążyliśmy do odesłania ich z powrotem jako nauczycieli na plantacje dla krzewienia między murzynami nowych systemów uprawy roli, pojęć religijnych, moralnych i umysłowych, które im dotąd były obce.

Wszystkie te sprawy i potrzeby zajmowały nas tak silnie, że prawie upadaliśmy pod ich ciężarem. Co czynić? Mieliliśmy na to wszystko tylko starą rudę i opuszczony kościół, które poczciwi murzyni miejscowi oddali nam tak chętnie do rozporządzenia. Liczba uczniów wzrastała z każdym dniem, a im więcej ich poznawaliśmy, im więcej zwiedzaliśmy okolice, tem lepiej zaczynaliśmy rozumieć, że wszyst-

kie nasze usiłowania są niewystarczające do zaspokojenia rzeczywistych potrzeb ludu, którego poziom pragnęliśmy podnieść za pomocą naszych uczniów, przygotowywanych przez nas na jego przewodników. Rozmawiając z jego uczniami, przybywającymi z różnych okolic stanu, stwierdzaliśmy, że pragnieniem, ożywiającem większą ich część, było zdobycie wykształcenia, ażeby uwolnić się od ręcznej pracy.

Byli oni tego samego zdania, co jeden murzyn w Alabamie, który w upalny dzień lipcowy zatrzymał się nagle na polu z bawełnianymi krzewami, gdzie pracował, i podnosząc ręce do nieba wykrzyknął:

— Wielki Boże! Na polu między krzakami pełno chwastów, praca ciężka, a słońce tak pali, że chyba ten murzyn, co tu pracuje, powołany jest do głoszenia Ewangelii!

W trzy miesiące po otwarciu szkoły, w chwili kiedy zaczął nas ogarniać niepokój o nasze dzieło, wystawiono na sprzedaż starą opuszczoną posiadłość, położoną o jeden kilometr od miasta. Willa ta, czyli „Wielki dom“, jakby ją dawniej nazywano, którą właściciele zamieszkiwali w czasach niewolnictwa, zgorzała. Po obejrzeniu gruntów przekonałem się, że nadawałyby się zupełnie do naszego przedsięwzięcia i zapewniłyby mu trwałość i pożytek. Ale jakim sposobem je nabyć? Cena nie była wysoka, tylko pięćset dolarów, lecz nie mieliśmy pieniędzy, a co więcej, byliśmy tu obcy i nie posiadali żadnego kredytu w mieście. Właściciel zgadzał się sprzedać nam grunta za dwieście pięćdziesiąt dolarów gotówką, płatnych zaraz, a resztę odebrać w ciągu roku. Było to bardzo tanio, pięćset dolarów za tę posiadłość, ale bardzo drogo dla tych, co nie mieli nic.

W tej trudności zdobyłem się na odwagę i napisałem do mego przyjaciela, generała J. F. B. Marschalla, skarbnika szkoły w Hamptonie; przedstawiłem mu położenie i błagałem o pożyczkę dwustu pięćdziesięciu dolarów na mój rachunek i ryzyko.

W kilka dni otrzymałem odpowiedź, zawiadamiającą, że niema on prawa wypożyczać pieniędzy, będących własnością szkoły w Hamptonie, ale że pożyczę mi chętnie tę sumę z własnych funduszków.

Wyznaję, że nie spodziewałem się dostać pieniędzy w taki sposób i byłem tem zdziwiony i ucieszony. Do tej pory nie miałem nigdy w mojem posiadaniu więcej niż sto dolarów razem i suma pożyczona przez generała Marschalla wydawała mi się olbrzymią, a odpowiedzialność za tyle pieniędzy przygniatała mnie jak niezmierny ciężar.

Nie zwlekając, przenieśliśmy szkołę do nowej posiadłości. W chwili, kiedyśmy obejmowali ją w posiadanie, były na niej następujące budynki: chata, która dawniej służyła za jadalnię, kuchnia, stajnia i stare kurniki. W kilka tygodni wszystkie te zabudowania zostały uporządkowane. Stajnię naprawioną obróciliśmy na salę szkolną, a wkrótce trzeba było pomyśleć o uporządkowaniu kurnika.

Tego rana, gdy powiedziałem staremu murzynowi mieszkającemu w pobliżu, iż szkoła przyjęła takie rozmiary, że potrzebować będziemy kurnika i będzie musiał dopomóc nam do roboty i uporządkować go na nazajutrz, odpowiedział mi z wielką powagą:

— Co pan mówi? Nie zechce pan chyba robić porządków w kurniku w biały dzień?

Naprawiania budynków dokonywali zwykle uczniowie po ukończeniu popołudniowych lekcji. Jak tylko stały się możliwe do zamieszkania; postanowiłem zabrać się do uprawy pola pod zasiew zboża. Zauważyłem, że mój projekt nie podobał się wcale młodzieży. Nie mogli oni zrozumieć, jaki związek może zachodzić pomiędzy uprawą zboża a szkolną nauką. Wielu z nich było już poprzednio nauczycielami i ci zastanawiali się, czy uprawa roli zgadza się z godnością pedagogów? Dla usunięcia wątpliwości, w dzień po lekcjach brałem do ręki siekiere i szedłem na czele. Widząc, że się mi wstydzą, ani

lękał pracą, wzięli się i oni do roboty z większą chęcią. Pracowaliśmy, dopóki nie wykarczowaliśmy dwudziestu akrów i nie zasiali na nich zboża.

Przez ten czas miss Dawidson wynajdywała różne kombinacje dla splacenia długu. Postanowiła na początek urządzać zabawy t. zw. „wieczery“ \*). Obchodziła sama domy białych i murzynów w mieście Tuskegee i dostawała od jednych ciasta, od drugich kurczęta, chleb i torty, przeznaczone na sprzedaż podczas wieczoru. Murzyni czuli się szczęśliwi, dając, co mogli; ale muszę dodać, że o ile mnie pamięć nie zawodzi, miss Dawidsonn nie zwracała się nigdy napróżno i do białych, otrzymując daniny, oprócz innych oznak szczerego współczucia, okazywanego zawsze szkole w rozlicznych okolicznościach.

Wyprawiliśmy kilka takich wieczorów, które przyniosły nam dość znaczne sumy. Prócz tego, ułożyliśmy listy składek dla białych i murzynów, którzy wszyscy dawali chętnie pieniądze. Prawdziwie wzruszającym był widok składających ofiary murzynów, którzy całe życie spędzili w niewolnictwie. Niektórzy dawali po kilkanaście centów, inni po kilkadziesiąt. Niekiedy ofiarę stanowiła kołdra lub wiązka trzciny cukrowej. Przypomina mi się jedna stara, siedmdziesięcioletnia murzynka, która do mnie przyszła. Weszła do pokoju kulejąc, oparta na kiju; odziana była w łachmany, ale czyste. I powiedziała do mnie.

— Panie Washington, Bóg to wie najlepiej! Najpiękniejsze lata mego życia przeżyłam w niewoli. Bóg to wie, że jestem równie ciemna, jak uboga; ale — dodała — rozumieni mimo to dobrze, co pan i miss Dawidson zamierzacie uczynić. Rozumiem, że chcecie zrobić z murzynów lepszych mężczyzn i lepsze

\*) W Ameryce wieczery płatne, z muzyką, są jednym ze zwykłych sposobów zbierania pieniędzy na cele dobroczynne.

kobiety. Nie mam pieniędzy, ale przynoszę wam sześć jaj, które dla was schowałam, i chcę, żebyście je wzięli na naukę tych chłopców i dziewcząt.

Od chwili założenia szkoły w Tuskegee miałem szczęście otrzymywać różne dary, żaden z nich jednak nie wzruszył mnie tak bardzo, jak ten dar biednej staruszki.

## ROZDZIAŁ IX.

### DNI NIEPOKOJU I BEZSENNE NOCE.

W pierwszym roku naszego pobytu w Alabamie, święta Bożego Narodzenia dały nam lepiej poznać prawdziwe życie ludu.

Święta zapowiadały nam ciągle odwiedziny dzieci pukających do drzwi z wołaniem:

— Gwiazdka! Gwiazdka!

Przypuszczam, że od drugiej po północy do piątej rano musieliśmy przyjąć przeszło pięćdziesiąt takich wizyt. Zwyczaj ten utrzymuje się do tej pory w tych stronach Południa.

Za czasów niewolnictwa było zwyczajem na całym Południu udzielać murzynom tydzień waka-  
cyi. Kobiety i mężczyźni upijali się wtedy i wszyscy uważali to za rzecz naturalną. W Tuskegee i w okolicy zauważyliśmy, że murzyni przerywali pracę na cały tydzień, zaczawszy od wigilii Bożego Narodzenia i trudno było mieć jakąkolwiek usługę do samego Nowego Roku. Nawet ci, co nie pili nigdy, uważali za stosowne nadużywać trunków podczas Bożego Narodzenia. Z oddali dochodził odgłos śmiechów; słychać było ciągle strzelanie z pistoletów i strzelb i wybuchające petardy. Zdawało się, że wszyscy zapomnieli o właściwym znaczeniu tych dni uroczystych.

Podczas tych pierwszych świąt Bożego Naro-

dzenia poszedłem na plantację, położoną opodal od miasta, w odwiedziny do jej mieszkańców. Pojęcia ich o tem, jak przepędzać te święta, tak drogie i uroczyste dla większości mieszkańców Ameryki, były istotnie przykre. W jednej chacie pięcioro dzieci dzieliło się paczką petard; w drugiej na sześć osób było za kilkanaście centów pierników, kupionych poprzedniego dnia w sklepie korzennym. W innym domu było dwa, czy trzy kawalki trzciny cukrowej dla całej rodziny; gdzieindziej zastałem naczynie z taną gorzalką, której nie żalowali sobie mąż, ani żona, a ten mąż był jednym z miejscowych duchownych. Byli i tacy, którzy za całą zabawę mieli tylko rysunki reklamowe zkądś nabyte; inni kupowali nowe pistolety. Nic w tych chatach nie przypominało święta narodzin Zbawiciela; jedyną oznaką było przerwanie pracy na polach i wałęsanie się bezczynne wszystkich wokół domu. Wieczorami w tygodniu świątecznym odbywały się tak zwane „skakanki“ w jednym z domów na plantacyi. Tą nazwą oznaczono pierwotny taniec i obfite picie whisky, co nie obeszło się nigdy bez strzałów i ciosów noża.

W ciągu tego tygodnia spotkałem starego murzyna, jednego z licznych pastorów w tej miejscowości, który usiłował mnie przekonać, że grzechem jest pracować, ponieważ Bóg jeszcze w raju uważał pracę za klątwę. Murzyn ten z tego powodu starał się jak najmniej pracować. Zdawało się, że w tej chwili używał w pełni szczęścia, bo — jak mówił — przeżywał tydzień bez grzechu.

Usiłowaliśmy w szkole zaszczepić w naszych uczniach odrębne pojęcie o świętach Bożego Narodzenia i sposobie obchodzenia ich godnie, i mogę rzec śmiało, że udało się nam to zupełnie; święta mają teraz inne znaczenie, którego uczą z kolei swoich uczniów.

Mamy wielkie zadowolenie, widząc, z jaką powagą obchodzą nasi uczniowie teraz święta Bożego



Narodzenia i dzień Dzięczyny<sup>1)</sup>, spełniając w te dni czyny miłosierdzia i dobroczynności względem nieszczęśliwych. Przytoczę tu dla przykładu niektóre z nich, jak np. odbudowanie w wolnych chwilach przez uczniów naszej szkoły domostwa biednej, starej, niedołęznej murzynki. Innym razem głosiłem wieczorem w kaplicy, że jeden z naszych uczniów ziębnie z braku ciepłego ubrania. Nazajutrz rano przysłano mi dwa ubrania dla niego.

Wspomniałem już o przyjaznem usposobieniu białych w Tuskegee i w okolicach dla budującej się szkoły. Pragnieniem mojem było, ażeby istotnie szkoła ta należała do gminy, w której była położona. Nie chciałem, ażeby patrząc na nią, ludzie miejscowi uważali ją za instytucję obcą, która wyrosła wśród nich nagle, jakby za pomocą czarów i nie mając z nimi żadnej wspólności, nie ich nie obchodzi.

Udział, jaki mieli przy nabyciu gruntu dla szkoły, obudził w nich uczucie, że ta szkoła w znacznej części należy i do nich. Zauważyłem, że zachowanie się białych stawało się coraz przyjaźniejsze, gdy daliśmy im do zrozumienia, że lubo mamy przyjaciół w Bostonie, dbamy bardzo o przyjaźń białych z Tuskegee, i pragniemy, ażeby nasza szkoła mogła oddać rzeczywiste usługi wszystkim.

Dodam na tem miejscu — co się okaże z dalszego ciągu opowiadania — że o ile wiem, zakład w Tuskegee nie ma obecnie lepszych i gorliwszych przyjaciół w białych mieszkańcach tego miasta, niż stan Alabama i wszystkie Stany Południowe

Od samego początku zalecałem naszym uczniom, ażeby zaznajamiali się ze wszystkimi sąsiadami bez względu na barwę ich skóry, i postępowali

---

<sup>1)</sup> Święto obchodzone w całej Ameryce w ostatni czwartek listopada (P. t.). <http://rcin.org.pl>

z nimi przyjaźnie i szczerze. Radziłem im także, ażeby — o ile ich zasady nie staną temu na przeszkodzie — zawsze przejmowali się żywo interesami gminy i doradzali swym znajomym, jak mają głosować.

Przez kilka miesięcy musieliśmy zdobywać się na wysiłki, żeby zgromadzić fundusze potrzebne na opłatę za grunta, i w ciągu trzech miesięcy zebraliśmy dwieście pięćdziesiąt dolarów pożyczonych od generała Marshalla; we dwa miesiące później mieliśmy już całe pięćset dolarów i mogliśmy podpisać umowę, zapewniającą nam na własność sto akrów ziemi. Radość nasza była niewymowna—tem większa, że nam się udało zdobyć stałe pomieszczenie dzięki ofiarom złożonym i przez białych i przez czarnych w Tuskegee. Zebraliśmy te pieniądze za pomocą zabaw, koncertów i różnych składek.

Trzeba było teraz uprawić ziemię, żeby z niej wyciągnąć produkty potrzebne do wyżywienia uczniów i dla wpojenia w nich zamiłowania do zajęć przy roli. Wszystko w Tuskegee rozwijało się w sposób naturalny i logiczny, stosownie do potrzeb danej chwili. Zaczęliśmy od uprawy ziemi, bo potrzeba nam było nadewszystko żywności. Musieliśmy przyjąć system pracy płatnej, ażeby dać uczniom możliwość zapracowania pieniędzy na opłatę całego roku szkolnego, to jest dziewięciu miesięcy, bo wielu uczniów przybywało na kilka tygodni dlatego tylko, że nie byłoby w możności opłacenia całkowitego roku.

Pierwszem zwierzęciem, jakie dostała szkoła, był stary, ślepy koń, którego ofiarowali nam biali w Tuskegee. Obecnie mamy dwieście koni, źrebiąt, mulów, krów, cieląt, wołów i blisko siedmset świń, oprócz znacznej liczby kóz i baranów.

Szkoła rozwijała się tak śpiesznie, że raz opłaciwszy ziemię, uprawiwszy ją i naprawiwszy jako tako zrujnowane budynki, musieliśmy pomyśleć o wzniesieniu nowego, obszerniejszego domu. Kazaliśmy zrobić plan nowego gmachu, którego budowa

miała kosztować sześć tysięcy dolarów. Suma ta przerażała nas, ale była to rzecz niezbędna. Trzeba było albo upaść — albo iść naprzód, a dzieło nasze mogło oddać usługi tylko rozwinięte na wielką skalę.

Zaledwie rozeszła się po mieście wiadomość o naszym zamiarze, spotkała mnie miła niespodzianka. Jeden biały Południowiec, właściciel tartaku w okolicy Tuskegee, ofiarował się dostarczyć nam budulcu bez innej gwarancji, prócz zobowiązania, że spłacimy należność, doszedłszy do potrzebnych funduszy. Powiedziałem mu otwarcie, że w tej chwili nie mamy pieniędzy do rozporządzenia, nalegał jednak i przyjęliśmy jego propozycję, gdy tylko udało nam się zgromadzić trochę pieniędzy.

Miss Davidson zabrała się znowu do dzieła i w samym Tuskegee zaczęła zbierać pieniądze. Nigdy chyba nie było ludzi szczęśliwszych od naszych murzynów, gdy się dowiedzieli o budowie nowego gmachu. Jednego razu, gdy odbywaliśmy posiedzenie w celu zebrania funduszy na budowę, przybył do miasta stary murzyn z czasów wojny domowej, z miejscowości odległej o mil dwanaście, wioząc na wózku ogromnego wieprza. Upatrzył odpowiednią chwilę na zebraniu, powstał i oznajmił, że nie ma pieniędzy do ofiarowania, ale wyhodowawszy dwa piękne wieprze, przywiózł jednego na rzecz budowy nowego gmachu. Zakończył zaś temi słowy:

„Każdy murzyn, który kocha swój naród i ma szacunek dla samego siebie, powinien przywieźć wieprza na następne zebranie“.

Wielu murzynów zaofiarowało nam znaczną liczbę dni pracy przy budowie.

Wyczerpawszy już wszystkie źródła w Tuskegee, miss Davidson zdecydowała się odwołać do ofiarności ludzi z Północy. Kwestowała po domach, przemawiała w kościołach i do dzieci w szkołach niedzielnych i w rozmaitych stowarzyszeniach. Było

to dla niej bardzo przykre i narażało na trudności różnego rodzaju. Szkoła nasza nie była znana, ale miss Davidson potrafiła zjednać sobie zaufanie najlepszych żywiolów na Północy.

Pierwszą składkę złożyła osoba, z którą miss Davidson zaznajomiła się w podróży. Zaczęły rozmawiać i pani ta tak była przejęta opowiadaniem miss Davidson, że w chwili rozstania ofiarowała jej czek na pięćdziesiąt dolarów. Przed naszym pobraniem się i później, miss Davidson listownie i ustnie budziła zainteresowanie pomiędzy mieszkańcami Północy i Południa i gromadziła fundusze na szkołę. Jednocześnie pełniła w Tuskegee obowiązki dyrektorki i nauczycielki, zajmowała się przytulkiem dla starców i niedzielną szkołą dla miejskich dzieci. Nie była ona nigdy bardzo silnego zdrowia, jednakże wtedy tylko czuła się szczęśliwą, kiedy poświęcała wszystkie swe siły sprawie, którą tak ukochała. Wieczorami była tak wyczerpana, że nie była w stanie rozebrać się. Jedna osoba z Bostonu, do której miss Davidson wybrała się w odwiedziny, opowiadała mi, że przyszedłszy do salonu w chwilę po jej przybyciu, zastała ją w salonie uśpioną.

Pierwszy nasz budynek „Porter-Hall“, nazwany tak na cześć tego, kto nas obdarzył najhojniej — M. A. H. Portera, nie był jeszcze wykończony, gdy okazała się nagła potrzeba pieniędzy. Przyrzekłem jednemu z naszych wierzycieli, że otrzyma na termin czterysta dolarów; w oznaczonym dniu rano nie miałem w kasie ani dolara. Byłem w rozpacz, kiedy w południe przyniesiono mi z poczty czek od miss Davidson na taką właśnie sumę. Mógłbym przytoczyć więcej podobnych wypadków. Sumę wzmiankowaną ofiarowały jakieś dwie panie z Bostonu. We dwa lata później, kiedy nasze dzieło rozrosło się znacznie i znowu byliśmy w dotkliwych kłopotach, a przyszłość przedstawiała się ponuro przy zupełnym braku środków, te same panie nadesłały nam sześć tysięcy dolarów. Zdumienie

nasze było nieopisane, a dar ten pokrzepił moją odwagę. Muszę dodać, że przez lat czternaście te same przyjaciółki przysyłały nam corocznie po sześć tysięcy dolarów.

Gdy plany na nowy budynek zostały zatwierdzone, uczniowie zabrali się do kopania fundamentów, ale i tę robotę wykonywali dopiero po skończonych lekcjach wieczornych. Niechętnie z początku godzili się na tę dodatkową pracę, bo — jak jeden z nich mi powiedział — „przybyli tu po to, żeby się uczyć, a nie po to, żeby pracować ręcznie.“ Powoli jednak zauważyłem pewną zmianę pod tym względem i w końcu praca ta znalazła uznanie u wszystkich. Po kilku tygodniach ciężkiej pracy fundamenty zostały wykopane i mogliśmy oznaczyć dzień na położenie kamienia węgielnego.

Gdy się pomyśli, że ten kamień węgielny miał być położony w samym środku „Czarnego Pasa“ — to jest w okolicy, gdzie najwięcej kwitło niewolnictwo — gdzie zostało ono zniesione zaledwie przed szesnastu laty, gdzie szesnaście lat przedtem każdy murzyn uczący się czytać, ściągwał na swego nauczyciela surowe kary prawne i potępienie opinii publicznej — gdy się o tem pomyśli — widok, który mieliśmy przed oczyma tego wiosennego dnia w Tuskegee, był jednym z najbardziej zdumiewających widoków w naszych czasach.

Pierwszą mowę wygłosił p. Waddy Thompson, dyrektor Rady Wychowawczej hrabstwa. Na uroczystość zgromadzili się nauczyciele, uczniowie, rodzice i przyjaciele, urzędnicy hrabstwa, i wszyscy biali, którzy tak niedawno posiadali na własność murzynów — tych, którzy dziś stali na równi z nimi. Wszyscy pragnęli wziąć udział w położeniu tego pierwszego kamienia węgielnego.

Musieliśmy przecierpieć немало kłopotów, zanim budynek został ukończony. Nieraz zdawało się, że nam zabrakło odwagi, kiedy nadchodził termin wypłaty, a nie było na nią pieniędzy. Trudno so-

bie wyobrazić jak ciężko jest znosić miesiąc za miesiącem ciągle niepokoje, jakie sprowadza przedsięwzięcie—rozpoczęte tak, jak nasze, bez potrzebnych funduszków. Nie zapomnę nigdy pierwszych lat mego pobytu w Tuskegee i nocy, przepędzonych bezsennie, gdym się przewracał w łóżku z jednego boku na drugi, trawiony troską o pieniądze. Bo szło nam o to, ażeby przekonać wszystkich, że murzyni zdolni są utworzyć zakład naukowy i wychowawczy i poprowadzić go odpowiednio. Nasze niepowodzenie byłoby błęską dla całej rasy. Wszystko mieliśmy przeciw sobie. Wszyscy uważali, że powodzenie — naturalnie tam, gdzie działają biali — u murzynów będzie czemś niesłychanem. Te wszystkie troski przygniatały nas srodze, z siłą tysiąca funtów na każdy centymetr kwadratowy, jeśli można tak powiedzieć.

Muszę tu nadmienić, że w chwilach trosk i trudności nie zwracałem się nigdy daremnie z prośbą o pomoc czy to do białych, czy murzynów w Tuskegee, otrzymałem od nich zawsze zasilek według ich możliwości. Ileż razy — otrzymawszy przekaz na sto dolarów—dzieliłem te pieniądze więcej niż między sześć osób, ażeby uratować dobrą stawę naszej wypłacalności. Najpierwszem mojem staraniem było podtrzymać kredyt naszej szkoły i nie pochlebając sobie, mogę przyznać, że udawało się nam to przez te trudne, początkowe lata.

Nie zapomnę nigdy rady, jaką mi dał p. Jerzy W. Campbell, biały, który mnie sprowadził do Tuskegee. Powiedział mi po ojcowsku na samym wstępie:

— Washington! Pamiętaj zawsze, że kredyt—to kapitał.

Raz, kiedy byliśmy w wielkim kłopotcie, zwróciłem się do generała Amstronga, przedstawiając mu szczerze położenie. Przysłał bez zawahania czek, którego wysokość równała się wszystkim jego oszczędnościom i nie był to jedyny wypadek przyjęcia z po-

mocą szkole w Tuskegee przez generała. Do tej pory nie miałem nigdy sposobności ujawnienia tego faktu.

Podczas lata 1882 r., w końcu pierwszego szkolnego roku, ożeniłem się z miss Fannie M. Smith, z Maldenu. Na jesieni osiedliliśmy się na dobre i dom nasz stał się miejscem zebrania dla nauczycieli, których było czterech. Moja żona także miała dyplom ze szkoły w Hamptonie, a zajmując się żywo wszystkim, co dotyczyło szkoły, wypełniała obowiązki pani domu. Na nieszczęście, cieszyłem się nią tylko dwa lata: umarła w maju 1884 r. pozostawiając mi córeczkę, Porcyę M. Washington.

Moja młoda małżonka dzieliła ze mną wszystko, co dotyczyło szkoły; oddana jej była duszą i ciałem, ale umierając, nie przewidywała nawet, jaki rozwój czeka w przyszłości zakład przez nas stworzony.

---

## ROZDZIAŁ X.

### ZADANIE TRUDNIEJSZE OD WYRABIANIA CEGIEŁ.

---

Od samego początku dążyłem do tego w Tuskegee, ażeby uczniowie nie tylko uprawiali ziemię i wykonywali wszystkie domowe roboty, lecz ażeby też przykładali rękę do budowania. Pragnąłem nauczyć ich ulepszonych sposobów wykonywania pracy najpierw w interesie szkoły, a następnie i dla nich samych, żeby im wszczepić pojęcie o użyteczności pracy i wykazać piękno jej i godność. Praca wtedy nie będzie im się wydawać pańszczyzną i polubią ją dla niej samej. Robota u nas miała się wykonywać z nowoczesnem użytkowaniem sił przyrody, takich, jak woda, para i elektryczność.

Wielu ludzi zwalczało moje poglądy, szczególnie co do budowli, wykonywanych przez uczniów, ale wytrwałem przy swoim. Zgadzałem się na zdanie tych, którzy powątpiewali o powodzeniu, przyznawałem, że pierwsze budynki nie będą może tak doskonale, jak gdyby wznosili je wykwalifikowani robotnicy, ale nie było to dostatecznym wynagrodzeniem za braki pod względem komfortu lub estetyki, jeżeli młodzież mogła sama podjąć dzieło i polegać na własnych siłach?

Przytaczałem i to, że większa część nowych uczniów, przybywających z plantacji bawełny, ryżu i trzciny cukrowej, była uboga, bardzo nawet uboga, i że dotąd mieszkali oni w nędznych chatkach. Nie wątpię, że byliby woleli zamieszkać zaraz w okazałych gmachach, ale zdawało mi się, że korzystniej dla nich będzie postępować stopniowo i nauczyć ich na początek budowania własnych domów; można było z góry być pewnym, że nie unikniemy błędów; ale nawet te błędy były korzyścią na przyszłość. Od dziewiętnastu lat istnienia szkoły w Tuskegee, mój system budowania przez uczniów wszystkich gmachów był bez przerwy praktykowany. Przez ten czas wzniesionych zostało czterdzieści budowli, a wszystkie, z wyjątkiem czterech, są dziełem uczniów. Drugą korzyścią jest to, że setki naszych uczniów, rozsypanych po całym Południu, mogły użytkować naukę wyniesioną ze szkoły. Uczono ich wszystkich i tak nasi nauczyciele, jak i uczniowie, potrafią wznieść budynek każdej wielkości, potrafią nie tylko narysować plan, ale wykonać wszystkie roboty i zaprowadzić urządzenia elektryczne, nie potrzebując odwoływać się do pomocy obcego robotnika.

Uczniowie mieli wyjątkową pieczę nad swoimi budynkami. Zdarzyło mi się nieraz słyszeć, jak starsi mówili do młodszych, którzy mieli ochotę psuć mur napisami otółkiem lub nacięciami noża:



— Nie rób tego, to nasz dom! Pomagałem sam przy jego budowie.

Co było dla mnie bardzo przykre z początku, to wyrabianie cegieł. Musieliśmy zabrać się do tego zaraz po skończeniu robót w polu; potrzeba nam było cegły na budynki, a w Tuskegee nie było cegielni.

Litowałem się zawsze nad dziećmi Izraela, które zmuszone były robić cegłę bez słomy, ale cięższem jeszcze zadaniem dla nas było wyrabianie cegieł bez pieniędzy i bez znajomości rzemiosła.

Robota była ciężka i brudząca, to też w początkach miałem wielką trudność, żeby uczniów do niej nakłonić. Przy tej sposobności okazywali niezadowolenie, że muszą jednocześnie uczyć się i pracować ręcznie. Nie było to z pewnością przyjemnie stać po kilka godzin w rowie, w błocie po kolana; kilku zniechęconych porzuciło skutkiem tego szkołę.

Trzeba było robić próby w kilku miejscach, ażeby znaleźć glinę odpowiednią na cegłę. Przedtem uważałem tę robotę za rzecz łatwą, ale nauczyłem się własnem doświadczeniem, ile potrzeba do niej zręczności i wprawy, osobliwie przy wypalaniu. Po wielkich trudnościach udało nam się wyrobić dwadzieścia pięć tysięcy cegieł; trzeba je było tylko wypalić, ale wypalanie nie udało się skutkiem wadliwego pieca. Zaczęliśmy wypalanie drugiej partii, która nie udała się również. Uczniowie zniechęcali się coraz więcej. Ale kilku nauczycieli, wychowawców szkoły w Hamptonie, przyszło nam w pomoc, dzięki temu, mogliśmy przygotować trzecią partję. Wypalanie w piecu zajęło cały tydzień. Pod koniec tygodnia, w chwili, kiedy myśleliśmy, że dojdziemy do posiadania kilku tysięcy cegieł—piec zawalił się w nocy. Było to trzecie niepowodzenie.

Nie miałem już ani dolara na rozpoczęcie nowej próby, prawie wszyscy nauczyciele proponowali zaniechanie wyrobu cegieł, wtedy wziąłem zegarek i pobiegłem do pobliskiego miasta Montgomery,

gdzie był lombard. Dano mi na zastaw zegarka piętnaście dolarów, co mogło wystarczyć na jedną jeszcze próbę. Powróciłem do Tuskegee, piętnastu dolarami pokrzepilem odwagę mych pomocników i rozpoczęliśmy po raz czwarty. Tym razem powiodło się lepiej: kiedy upłynął termin wykupienia zegarka, nie miałem pieniędzy i nie odzyskałem go nigdy. Ale mogę upewnić, że nie żalowałem go wcale.

Wyrób cegły stał się w naszej szkole tak ważną gałęzią przemysłu, że zeszłego roku uczniowie wyrobili 1,200,000 cegieł najlepszego gatunku, na które znaleźli się nabywcy bez względu na cenę. Prócz tego, wielu młodych ludzi zyskało w ten sposób rzemiosło, którym zarabiają obecnie w wielu miastach na Południu.

Wyrób cegieł dał mi wiele pocieszających doświadczeń w stosunkach moich z obu rasami. Znaczna liczba białych, nie mających dla nas żadnej sympatii i żadnych stosunków z naszą szkołą, przychodziła kupować cegłę po przekonaniu się, że jest dobra. Zapelnialiśmy tym sposobem znaczne szczelby w dochodach szkoły. Wszyscy biali, którzy nie chcieli dotąd wierzyć w możliwość wyrobienia murzynów, zaczęli zmieniać zdanie, widząc, że uczniowie przysparzali dochodów szkole. Handel cegłą wywoływał stosunki z wielu ludźmi, z którymi poznaliśmy się bliżej, skutkiem tego mieliśmy też wspólne interesy, dostarczaliśmy im tego, czego potrzebowali, a oni wzamian dawali to, czego nam było potrzeba. I w ten sposób zawiązały się z białą ludnością okolicy bardzo dobre stosunki, które następnie rozszerzyły się na całem Południu.

Dzięki temu rzemiosłu, każdy z naszych uczniów, wracający na Południe, potrafił stać się użytecznym gminie, w której zamieszkiwał, a gmina czuła się obowiązana względem niego i w pewnym stopniu nawet składała mu haracz. I z tego po-

wstały i rozwinęły się następnie przyjazne stosunki między ludnością białą a murzyńską.

Doświadczenie mnie nauczyło, że jest w ludzkiej naturze coś, co zmusza ludzi do uznania i wynagrodzenia zasługi, bez względu na kolor skóry zasłużonego.

Zasługa ma największą moc rozpraszania uprzedzeń: widok pięknego domu, zbudowanego przez murzyna, przekona lepiej o jego zdolnościach, niż długa rozprawa o tem, czy potrafiłby lub nie—zbudować dom. Wychodząc z tej zasady, wyrabialiśmy powozy, wózki, dorożki. Obecnie mamy je całemi łuzinami i używamy ich na potrzeby fermy i szkoły. Są one dziełem naszych uczniów, a wyrabialiśmy je nawet i na sprzedaż. Budując je i naprawiając, oddawaliśmy tak samo, jak wyrabianiem cegły, rzeczywistą usługę białym i murzynom w całej okolicy. A to nie ulega wątpliwości, że każdy zastanawia się dobrze, zanim pokłóci się z człowiekiem, którego może potrzebować.

Ten, kto potrafi stać się niezbędnym w jakimkolwiek sposób, utoruje sobie drogę bez względu na kolor skóry. Jeżeli człowiek wraca do swojej gminy, przygotowany do uczenia greckiego języka, może nie znaleźć chętnych do tej nauki, mogą nawet ludzie nie uznać żadnego z niej pożytku, ale ci sami ludzie będą niezawodnie potrzebowali cegły, domów i wozów. Więc jeżeli ten, kto zamierzał uczyć ich greckiego, potrafi zaspokoić ich materialne potrzeby, to może z czasem zażądają od niego i lekcyi, ocenią je i wyciągną z nich korzyść.

Kiedy zaczynaliśmy wyrabiać pierwsze cegły, umieliśmy zwalczać bardzo energiczne zarzuty uczniów, którzy opierali się ręcznej pracy, jaką usiłowaliśmy im narzucić. Rozeszła się po całym stanie wiadomość, że wszyscy, którzy chcą się uczyć w Tuskegee, są zmuszeni—bez względu na stopień zamożności—do uczenia się rzemiosł. Nadeszło dużo listów od rodziców, protestujących przeciw zmu-

szaniu dzieci do ręcznej pracy podczas pobytu w szkole. Inni przybywali osobiście zaprotestować przeciw temu, a większa część nowoprzybywających uczniów przynosiła z sobą listy, w których wyrażone było życzenie, ażeby nauka ograniczyła się wyłącznie do książek. Im więcej było tych książek, im były grubsze i z szumnymi tytułami, tembardziej byli zadowoleni uczniowie i rodzice.

Nie niepokoiłem się wcale temi protestami, ale nie omijając żadnej sposobności do wycieczek po całym stanie, przemawiałem do ludu i usiłowałem przekonywać rodziców o konieczności nauczania rzemiosł. Przekonywałem także uczniów i pomimo niepopularności ręcznej pracy, szkoła rozwijała się coraz lepiej, a pod koniec drugiego roku mieliśmy już stu pięćdziesięciu uczniów rodem ze stanu Alabama i sąsiednich.

W r. 1882, w lecie, miss Davidson i ja wyjechaliśmy na Północ, dla zebrania funduszków, potrzebnych do wykończenia nowych budynków. Po drodze zatrzymałem się w Nowym-Jorku po listy polecające od człowieka wpływowego, z którym zapoznałem się przed kilku laty. Nietylko że odmówił mi on listów polecających, ale namawiał usilnie do powrotu do domu, po pewny był, że nie powiodą się wszelkie starania o pieniądze i że zaledwie zbiorę tyle, ile potrzeba będzie na powrotną podróż. Podziękowałem mu za radę, ale pojechałem dalej.

Zatrzymałem się na początek w Northampton (Massachusetts), gdzie przepędziłem pół dnia, szukając rodziny murzyńskiej, któraby mnie zechciała przyjąć do siebie, bo sądziłem, że hotele, jak dawniej, zamkną mi drzwi przed nosem. Zadziwiłem się bardzo, gdy mi powiedziano, że nie będę miał żadnej trudności z umieszczeniem się w hotelu.

Udało mi się szczęśliwie zebrać tyle pieniędzy iż w „Dzień Dzięczynny“ tegoż roku mogliśmy odprawić pierwsze nabożeństwo w kaplicy Porter Hallu,

pomimo że gmach nie był jeszcze w zupełności wykończony.

Poszukując kaznodziei na ten dzień świąteczny, miałem szczęście poznać człowieka najwybitniejszego, jakiego kiedykolwiek znałem, Wielebnego Roberta C. Bedforda, białego, ze stanu Wisconsin, który w owym czasie był pastorem przy kościełku murzyńskim w Montyomery (Alabama). Nie słyszałem przedtem nic o nim, on także nie wiedział nic o mnie. Zgodził się chętnie przyjechać do Tuskegee dla odprawienia dziękczynnych modłów. Nigdy jeszcze murzyni nie widzieli podobnego nabożeństwa, więc budziło to w nich wielkie zajęcie. Widok nowowystawionego gmachu upamiętnił ten dzień dla nas wszystkich.

Pan Bedford zgodził się zostać członkiem Rady Zarządzającej i oddawał nam na ten stanowisku wielkie usługi przez lat ośmnaście. Od pierwszego dnia przejął się żywo interesami i powodzeniem szkoły; nie ma dlań większego szczęścia, jak gdy może oddać naszemu zakładowi jaką przysługę, choćby najdrobniejszą. Na każdym kroku poświęca się i podejmuje się tego, przed czem cofnęliby się inni. Ze wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek znałem, on najwięcej przejął się duchem Chrystusowym.

Trochę później zdobyliśmy doskonały nabytek w osobie młodego człowieka, świeżo wypuszczonego w Hamptonu, bez pomocy którego nigdy szkoła nie stałaby się tem, czem jest obecnie. Mówię tu o p. Warrenie Logau, który od lat siedmnastu jest skarbnikiem szkoły i moim zastępcą w czasie mej nieobecności. Dawał on zawsze dowody zupełnego zapomnienia o sobie, wielkiego taktu w interesach i trafnego sądu, tak, że szkoła nie odniosła nigdy szkody z powodu moich wyjazdów, a we wszystkich pieniężnych trudnościach jego cierpliwość i ufność w ostateczne powodzenie nie zawiodły nigdy.

Pierwszy nasz dom był zaledwie na pół wykończony, kiedy musieliśmy w nim zamieszkać, że-

by pomieścić pensjonarzy, a stało się to w połowie drugiego roku szkolnego.

Uczniowie przyjeżdżali zdaleka i w tak znacznej liczbie, że rozumieliśmy dobrze, iż nie dokonamy nic ważniejszego, jeżeli nie będziemy ich mieli ciągle przy sobie.

Na założenie internatu brakowało nam środków—nie brakowało nam tylko uczniów z dobrym apetytem. Nie myśleliśmy też dotąd o zbudowaniu kuchni i sali jadalnej. Na szczęście, mogliśmy urządzić w suterrenach dwie izby na kuchnię i jadalnię. Raz jeszcze musiałem odwołać się do dobrej woli uczniów przy tej robocie. Po kilku tygodniach mieliśmy już wszystko, co potrzeba: kuchnię i pomieszczenie—choć bardzo pierwotne i puste, o wyglądzie mało ponętnym. Ten, ktoby dziś obejrzał te suterreny, z trudnością uwierzyłby, że były w nich kiedyś jadalnie.

Nie wystarczyło jednak mieć kuchnię—potrzeba było kuchennych naczyń i pieniędzy na ich kupno. O zapasy kuchenne nie troszczyłem się: wiedziałem, że dostaniemy na kredyt, co nam będzie potrzebne. Wyznaję, że nawet w owym czasie byłem trochę zakłopotany, widząc, jaką ufność pokładają wszyscy we mnie wtedy, gdy ja sam tak mało jej miałem. Niepodobna było gotować bez komina w kuchni, ani jeść bez talerzy. Próbowaliśmy z początku gotować dawnym zwyczajem, na otwartem powietrzu, w kociolkach i rondlach zawieszonych nad ogniem. Warsztaty stolarskie, zrobione w czasie budowania domu, zostały użyte zamiast stołów; a co do naczyń stołowych, było ich tak mało, że nie warto o nich wspominać.

Ci, którzy mieli obowiązek gotowania, nie mieli pojęcia o staranności, której wymaga ta robota, i było to dla mnie źródłem nieustannych przykrości. Nic nie było zrobione perządnie; panowało zupełne rozprężenie i przez pierwsze dwa tygodnie nie było jednego obiadu, któremu by czegoś nie brakowało. Raz

mięso było surowe — innym razem spalone, albo chleb był bez soli, albo zapomniano zrobić herbaty. Jednego razu o pierwszej byłem przy drzwiach jadalni i słuchałem skarg jeszcze gwałtowniejszych i liczniejszych niż zwykle, bo śniadanie było tego dnia zupełnie nieudane. Jedna z dziewcząt odeszła od stołu do studni napić się wody, zamiast śniadania, którego jeść nie mogła. Przyszedłszy do studni, zastała sznur zerwany i nie mogła napić się wody. Nie wiedząc, że jestem niedaleko, odeszła, mówiąc zniechęcona:

— I pomyśleć, że w tej szkole nie można nawet wody się napić!

Nigdy chyba skarga nie przygnębiła mnie do tego stopnia.

Pan Redford, o którym już wspomniałem, jeden z naszych administratorów i wierny przyjaciel naszego zakładu, przyjechał nas odwiedzić. Pokój, który zajmował, był nad jadalnią, i jednego dnia obudziła go gwałtowna kłótnia pomiędzy dwoma uczniami, sprzeczącymi się o filiżankę do kawy. Jeden z nich dowiódł, że od trzech dni jej nie używał, i wygrał sprawę.

Dzięki cierpliwości i staraniu, wydobyliśmy się z tego zamętu, jak zwykle bywa z każdą trudnością jakiegokolwiek natury, byle się tylko nie poddać zniechęceniu.

Gdy wspominał te czasy, nie żałuję nigdy tego, com przeżył. Uważam, że korzystniej było dla nas mieć na początku kłopoty i nieprzyjemności. Uważam i to za dobre, że uczniowie umieli kopać fundamenty pod kuchnię i jadalnię.

Nie żałuję tego mieszkania ponurego, źle oświetlonego i wilgotnego, które musieliśmy zajmować. Piękne pokoje byłyby nam może pozawracały od początku głowy i przejęły dumą. Nie każdemu dano jest prowadzić w dalszym ciągu dzieło, którego podstawy sam założył.

I dziś, kiedy nasi dawni uczniowie przyjeżdżają

do Tuskegee, co się często zdarza, i widzą piękną jadalnię obszerną i dobrze przewietrzoną, jedzenie smaczne i dobrze przyrządzone z tego, co sami uczniowie wyhodują, a podane na stołach nakrytych obrusami i serwetami nieposzlakowanej białości: kiedy widzą kwiaty na stole i słyszą śpiew ptaszków; kiedy obiad podany jest prędko i składnie, a nie słyhać ani jednej skargi ze strony setki uczniów siedzących w jadalni — ci dawni upewniają mnie, że nie żalują swoich trudnych początków i że przyjemniej dochodzić stopniowo—postępując ciągle, choć powoli—do tak pięknych wyników.

---

## ROZDZIAŁ XI.

### NASI UCZNIOWIE BUDUJĄ ŁÓŻKA, NA KTÓRYCH MAJĄ SYPIAĆ.

W historii naszej szkoły wybitnem zdarzeniem były odwiedziny J. F. B. Marschalla, skarbnika instytutu w Hamptonie, który nie zawahał się pożyczyc nam dwieście pięćdziesiąt dolarów na kupno naszej fermy. Był zadowolony z postępów i posłał do Hamptonu sprawozdanie pochlebne i pełne słów zachęty dla nas. Potem odwiedziła nas miss Mary F. Machie, ta, która w Hamptonie wzięła mnie na egzamin z zamykania i sprzątaniam—a w końcu sam generał Armstrong.

W tym czasie liczba nauczycieli szkoły w Tuskegee wzrosła znacznie, a prawie wszyscy mieli dyplomy z Hamptonu. Przyjmowaliśmy z zapalem naszych przyjaciół, a osobliwie generała Armstronga. Wszyscy byli przyjemnie zdziwieni szybkimi postępiami szkoły w tak krótkim czasie. Murzyni z promienia kilku mil naokoło przybyli dla zobaczenia generała Armstronga, o którym duzo słyszeli. Przy-



jęcie ze strony białych było niemniej serdeczne, niż ze strony murzynów.

Podczas tych odwiedzin w Tuskegee mogłem sobie utworzyć lepsze pojęcie o charakterze generała Armstronga i jego uczuć względem białych z Południa. Do tej pory zdawało mi się, że względem nich generał może żywić tylko uczucia nieprzyjazne, ponieważ walczył z nimi, i sądziłem, że jego sympatyje są wyłącznie po stronie murzynów.

Ale spostrzegłem wkrótce, że nie poznałem się na wielkości duszy i wspaniałomyślności tego człowieka. Podczas odwiedzin okazywał on równą życzliwość i zainteresowanie się powodzeniem białych, jak i murzynów. Nie żywił żadnej goryczy względem białych Południowców i przy każdej sposobności rad był objawiać im swoją sympatyę. Przykład jego był dla mnie nauką i zrozumiałem, że wzniosłe dusze żywią w sobie zawsze miłość dla ludzi, a tylko dusze niskie pielęgnują nienawiść. Zrozumiałem również, że ci, którzy dążą na pomoc słabym, wzmagają własną siłę, a uciskanie nieszczęśliwych osłabia tyranów.

Myśli te nasunęło mi postępowanie generała Armstronga już dawniej i zawsze od tej pory postanawiałem, że będę się wystrzegał poniżenia duszy przez nienawiść do kogokolwiek — bez względu na to, jakiej barwy ma skórę. I zdaje mi się, że śmiało mogę powiedzieć, iż w mojej duszy znikła doszczętnie uraza za krzywdy, wyrządzone mojej rasie przez Południowców. Dziś doznaję równego zadowolenia, gdy mogę oddać usługę białemu, czy murzynowi, i lituję się nad tymi, którzy nawykli żywić uprzedzenia rasowe.

A im więcej się zastanawiam, tem więcej utwierdzam się w mniemaniu, że wszystkie praktyki, jakich dopuszczają się biali dla usunięcia murzynów od głosowania, są szkodliwe nie tylko dla murzynów, lecz i dla białych. Krzywda, wyrządzona murzynom, jest chwilowa; ale krzywda, wyrządzona moralnej

stronie białych, jest ciągła. Zauważyłem wiele i wiele razy, że ilekroć człowiek wykonał fałszywą przysięgę dla unieważnienia głosu murzyna, uciekał się potem do tego samego sposobu w innych okolicznościach, i nie tylko względem murzynów, ale tak samo i względem białych. Ten, kto oszukał murzyna, oszuka i białego; ten kto łamie prawo dla zlynchowania murzyna, uczyni to samo z białym. Wszystkie te powody nasuwają mi życzenie, ażeby cały naród podążył z pomocą w tej walce z ciemnotą, przyniatającą jeszcze Południe.

Należy tu przytoczyć ciekawy fakt, że system wychowawczy generała Armstronga z każdym rokiem rozpowszechnia się więcej w naszym kraju. Obecnie niema prawie ani jednego zakładu w Południowych Stanach, gdzieby nie było nauki rzemiosł tak dla dziewcząt, jak dla chłopców, a zaszczyt wprowadzenia tej nowości należy się bezspornie generałowi Armstrongowi.

Nasz skromny pensjonat został za ledwie oddany do użytku uczniów, gdy już przybyli nowi, a liczba kandydatów ciągle wzrastała. Całymi tygodniami musieliśmy walczyć na różne sposoby o wyżywienie ich, nie mając ani szeląga, i o dostarczenie im pościeli i miejsca do spania. Musieliśmy w tym celu wynająć chaty w pobliżu szkoły. Chaty te były zrujnowane i uczniowie, mieszkający w nich przez zimę, cierpieli bardzo od zimna. Kazaliśmy płacić sobie miesięcznie tylko osiem dolarów za utrzymanie ucznia; na więcej zresztą nie pozwalały ich środki. Za tę opłatę mieli już wszystko—mieszkanie, światło i pranie. Odliczaliśmy też z ich rachunków zapłatę za roboty, które chcieli wykonać dla szkoły. Koszta nauki wynoszą na każdego ucznia pięćdziesiąt dolarów rocznie, i tę sumę musieliśmy zdobywać jak się dało wówczas i obecnie.

Tak niska opłata za utrzymanie nie mogła nam dostarczyć funduszków potrzebnych na założenie-

internatu z dobremi warunkami. Zima drugiego szkolnego roku była niesłychanie sroga. Nie mieliśmy dostatecznej ilości kołder dla zabezpieczenia naszych wychowañców od zimna.

Zdarzało się, że niekiedy nie mogłem zasnąć podczas silnego mrozu, myśląc o tem, jak oni muszą cierpieć. Czasem wstawałem z łózka i szedłem do ich domostw wśród nocy, żeby im dodać otuchy: niektórzy z nich, owinięci w jedyną kołdrę, daną przez nas, siedzieli przy ogniu dla rozgrzania się: inni nie kładli się przez całą noc. Jednego rana, po wyjątkowo zimnej nocy, kazałem najbardziej zziębniętym podnieść w górę rękę. Uczyniło to tylko trzech. Nikt nie słyszał skargi z ust uczniów, którzy wiedzieli, że czynimy dla nich, co jest w naszej mocy. Uważali się za szczęśliwych, że mogą poprawić moje położenie, i pytali ciągle nauczycieli co czynić, żeby im umniejszyć trudu.

Kilka razy zdarzyło mi się słyszeć tak na Północy, jak na Południu, że murzyni nie uznaliby nigdy nad sobą władzy żadnego z murzynów. Na to twierdzenie mogę odpowiedzieć faktami, a mianowicie, że przez całe dziewiętnaście lat mego pobytu w Tuskegee nie usłyszałem nigdy zuchwałego słowa, ani nie napotkałem oporu ze strony uczniów lub osób postronnych. Przeciwnie—byłem niemal zawstydzony niezliczonemi grzecznościami, których byłem celem. Uczniowie zobaczywszy, że niosę dużą księgę lub walizkę, biegną zawsze, by mnie uwolnić od ciężaru. Jeżeli deszcz pada, gdy wychodzę z kancelaryi, zawsze podchodzi któryś z uczniów i prosi o pozwolenie niesienia parasola.

Muszę także nadmienić, że w stosunkach z białymi na Południu nie spotkała mnie nigdy żadna zniewaga. Biali z Tuskegee i z okolicy uważają sobie za rodzaj przywileju, gdy mogą mi okazać swoje poważanie, pomimo, że często pociąga to za sobą pewne koszta dla nich.

Niedawno temu jechałem przez Teksas. od

Dallas do Hourtonu. Ponieważ wiadomo było, że będę przejeżdżał, na wszystkich stacyach, gdzie zatrzymywał się pociąg, biała ludność wraz z urzędnikami miasta zbierała się na peronie, wyrażając wdzięczność za moją działalność na Południu.

Innym razem, powracając z Atlanty i czując się bardzo zmęczonym długą podróżą, wsiałem do wagonu pulmanowskiego. Wsiadając, zauważyłem dwie znajome mi dobrze panie z Bostonu. Panie te zupełnie nie знаły, jak się zdaje—zwyczajów Południa, i w prostocie ducha zaprosiły mnie, żebym obok nich usiadł, co też uczyniłem nie bez pewnego wahania. Zaledwie usiadłem, jedna z nich bez mojej wiedzy zamówiła wieczerzę na trzy osoby. To powiększyło jeszcze moje pomieszanie. Przedział pełen był białych Południowców, którzy nie spuszczały z nas oka. Widząc, że zamówiono wieczerzę, szukałem jakiego pretekstu, żeby przejść do innego wagonu; napróżno, moje znajome nie chciały mnie zwolnić od wieczerzy. W końcu poddałem się losowi, mówiąc sobie w duszy:

— Tym razem złapałem się na dobre!

Jeszcze bardziej byłem zmieszany, kiedy po skończonej wieczerzy jedna z tych pań przypomniła sobie, że ma w worku podróżnym jakąś niezwykle dobrą herbatę, którą chciała nas poczęstować, a nie dając się wyręczyć służącemu w jej naparzeniu, sama to zrobiła i nalala herbatę. Nareszcie skończyła się wieczerza, która wydała mi się najdłuższą, jaką kiedykolwiek jadłem. Chcąc położyć koniec tak przykreemu położeniu, powiedziałem, że idę do palarni przypatrywać się krajobrazowi. Przez ten czas w wagonie dowiedziano się, kto jestem. Nigdy jeszcze podobnie się nie zadziwiłem, jak gdym wszedł do palarni: wszyscy prawie mężczyźni, jacy tam byli—po większej części obywatele z Georgii—przychodzili do mnie kolejno, podając rękę i dziękując za moją działalność na Południu. A nie były to czeze słowa pochlebstwa z ich stro-

ny, bo wszyscy wiedzieli, że nic odemnie nie mogą skorzystać.

Chciałem od samego początku wpoić w uczniów to, że szkoła w Tuskegee nie jest własnością moją, ani członków ciała nauczycielskiego, ale ich samych— i że powinien im leżeć na sercu jej dalszy rozwój, zarówno jak wszystkim zarządcóm i nauczycielóm, i że nadewszystko powinni mnie uważać za swego przyjaciela, doradcę, ale nie nadzorcę. Pragnę, żeby mówili ze mną szczerze i bez wykrętów o sprawach szkolnych. Żądam od uczniów, by pisali do mnie listy dwa, albo trzy razy w ciągu roku—listy, zawierające krytykę, skargi i propozycye, które im nasuwają urządzenia lub tryb życia w szkole. W braku sprawozdania pisemnego, zbieram ich w kaplicy dla naradzenia się otwarcie o tem, co dotyczy szkoły. Ze wszystkich zebrani uczniowskich najlepiej lubię te zebrania i z każdego odnoszę wskazówki do dalszych postanowień. Najkorzystniejszą rzeczą dla człowieka jest poczucie odpowiedzialności, którą dźwiga, i zaufania, jakie w nim położono.

Ilekoć czytam wiadomość o bezrobociu, powtarzam zawsze, że te nieporozumienia między chlebodawcami i pracownikami dałyby się ominąć, gdyby chlebodawcy chcieli być przystępniejsi dla swych podwładnych, radzili się ich przed powzięciem postanowienia i pytali o radę, objaśniając, że interes obu stron jest wspólny. Zaufanie rodzi zaufanie. Do murzynów stosuję to jeszcze więcej, niż do ludzi innej rasy. Gdy raz przekonają się, że zajmiesz się ich losem, zrobisz z nimi, co zechcesz.

Powzięłem zamiar, ażeby uczniowie nietylko budynki wzniesli w Tuskegee, lecz o ile możności porobili i sprzęty. Podziwiam teraz cierpliwość tych uczniów, sypiali na ziemi, czekając, aż dla nich porobią łóżka—albo na łózkach bez materaców czekając na zbudowanie czegoś w rodzaju materaca. W początku mieliśmy niewielu uczniów, znających stolarstwo. więc łóżka wtedy zrobione były liche

i zupełnie pierwotne. Zdarzało mi się często, przychodząc na ranną wizytę, zastawać uczniów leżących na ziemi. Ale zkąd wziąć materaców? to było drugie zadanie do rozwiązania. Udało nam się w końcu wydobyć z kłopotu nabyciem taniego płótna, z którego szyło się ogromny worek i napełniało go igliwem z jodeł, zbieranem w sąsiednich lasach. Muszę dodać, że wyrób materaców znacznie od tej pory postąpił i doszedł do takiego stopnia doskonałości, że dziś stanowi jedną z gałęzi przemysłu miejscowego, której uczą dziewczęta ze szkoły, tak dalece, że materace, wyrabiane u nas, nie ustępują tym, które nabywa się w sklepach. Długi czas brakowało nam krzesel do sypialnych pokoiów i do jadalni. Zamiast krzesel, używaliśmy taburetów, złożonych z trzech kawałków prostych desek, razem zbitych. Zresztą umeblowanie sypialni było w początku bardzo pierwotne i składało się z łóżka, z taburetów, a niekiedy i stołu z prostego drzewa, wykonanych przez uczniów. Dotąd nie zarzuciliśmy tego systemu wyrabiania na miejscu sprzętów dla szkoły; ilość mebli wzrosła, a wykonanie ich uczyniło takie postępy, że nie można im dziś nic zarzucić.

Na co przedewszystkiem kładłem nacisk w Tuskegee, to na przyzwyczajanie uczniów do czystości. W początkach powtarzałem im bezustanku, i dziś jeszcze mówię, że mogą nam ludzie wybaczyć ubóstwo, brak wygód i dobrobytu, ale niechlujstwa nigdy. Drugim punktem, na który kładliśmy wielką wagę, było używanie szczoteczki do zębów. „Ewangelia szczoteczki do zębów“, jak mawiał generał Armstrong, stanowi część naszego szkolnego katechizmu. Chcąc mieć prawo wstąpienia do Tuskegee, trzeba mieć szczoteczkę do zębów i używać jej. Zdarzało się niekiedy, że świeżo przybywający uczniowie za cały bagaż mieli tylko szczoteczkę do zębów. Od dawnych uczniów dowiedzieli się o wadze, jaką przywiązujemy do tego, i chcąc zrobić do-

bre wrażenie, przywozili choć to jedno z sobą. Pewnego dnia, obchodząc szkołę razem z dyrektorką, oglądaliśmy pokoje uczenic: w jednym mieszkały trzy świeżo przybyłe. Na zapytanie, czy mają szczoteczki do zębów, jedna z nich odpowiedziała, pokazując szczoteczkę:

— Mamy, panie dyrektorze, kupiliśmy ją wczoraj na wspólkę.

Wytłómaczyłem im wtedy, że jedna na trzy nie wystarczy. Badaliśmy zawsze z zajęciem wpływ szczoteczki do zębów na stopień cywilizacji naszych wychowañców. Z małemi wyjątkami, przekonałem się, że można dobrze wróżyć o przyszłości ucznia, który sam z własnego popędu, po zużyciu pierwszej szczoteczki nabywa drugą. Wymagaliśmy zawsze utrzymywania ciała w najdokładniejszej czystości. Wychowañcy nasi przyzwyczaili się do brania kąpieli równie regularnie, jak do jedzenia obiadu, i to jeszcze zanim zdołaliśmy urządzić dla nich łazienki. Większość uczniów pochodziła z okręgów plantacyjnych i trzeba ich było uczyć sypiać w łózkach i wskazywać, w jaki sposób spać, to jest na jednym prześcieradle, a pod drugim — kiedy już byliśmy o tyle zamożni, że mogliśmy im dawać po dwa prześcieradła. Trzeba ich było także uczyć, do czego służy nocna koszula.

Trudniejsza była sprawa z tem, żeby nie brakowało guzików przy ubraniu, żeby naprawiali rozdarcia i czyścili tłuste plamy. Udało nam się tak dobrze wdroić ich do porządku, że często wieczorem, na codziennym przeglądzie po wyjściu z kaplicy, nie brakowało żadnemu ani jednego guzika.

## ROZDZIAŁ XII.

## POSZUKUJEMY KAPITAŁÓW.

Kiedy już jadalnia została urządzona, mogliśmy dać dziewczętom pokoje na poddaszu naszego pierwszego domu, noszącego nazwę „Porter Hall“. Ale ilość uczniów obojej płci powiększała się ciągle. Chłopców można było mieścić na dworze, lecz niepodobna było tego czynić z dziewczętami. Wystąpiła wkrótce nowa trudność. Potrzeba nam było koniecznie większego budynku na pomieszczenie wszystkich wychowañców — chłopców i dziewcząt. Budowa nowego gmachu stawała się niezbędną, gmachu nierównie większego i czyniącego zadość wszystkim potrzebom internatu, z pokojami dla dziewcząt i jadalniami, w których mogliby jadać razem wszyscy wychowañcy.

Po zrobieniu planu okazało się, że na kosztą budowy potrzeba nam dziesięć tysięcy dolarów. Jak zwykle, brakowało nam kapitału, lecz mimo to wybraliśmy nazwę dla nowego domu—można to było uczynić i bez pieniędzy. Nazwaliśmy go „Alabama Hall“, na cześć stanu, na którego terytorium otworzyliśmy nasz zakład. I tym razem miss Davidson potrafiła skłonić białych i murzynów w Tuskegee i okolicy do nowej listy składek. Odpowiedzieli na jej wezwanie, każdy według możliwości, i jak pod „Porter-Hall,“ nasi wychowañcy tak i pod nowy gmach wykopali fundamenty. Byliśmy już bez grosza, kiedy poratowała nas szczodrość generała Armstronga, objawiająca się w sposób, który utwierdził we mnie jeszcze więcej przekonania o jego wyższości nad zwykłymi ludźmi. Ogarnął nas wielki niepokój na myśl, że może nam zabraknąć środków na dalsze prowadzenie budowy i wtedy właśnie otrzymałem telegram od generała Armstronga, w którym propo-



wał mi przyjazd do Hamptonu, jeżeli będę w możności wybrać się z nim na cały miesiąc na Północ. Przyjąłem propozycję bez wahania. Gdym przybył do generała, przedstawił mi on swój plan podróży do znaczniejszych miast Północy, gdzie przez miesiąc będziemy urządzali metingi i przemawiali na nich obaj. Można sobie wyobrazić moje zadziwienie, gdym się dowiedział, że te zebrania nie będą się odbywały na rzecz szkoły w Hamptonie, ale wyłącznie na korzyść Tuskegee, i że wszystkie koszty podróży opłaci zakład w Hamptonie.

Generał Armstrong dał mi do zrozumienia bez zbytniego nacisku, że chciał tym sposobem zaznajomić mnie z mieszkańcami Północy i dać mi możliwość zebrania funduszków na zbudowanie „Alabama-Hall.” Każdy inny człowiek, mniej szlachetnego charakteru i mniej szerokich poglądów, byłby się obawiał przynieść uszczerbek zakładowi w Hamptonie, kierując napływ pieniędzy w stronę Tuskegee, ale takie uczucie obce było wzniosłej duszy generała Armstronga. Był to człowiek zbyt znakomity, żeby się zniżyć do małostek— zbyt dobry, żeby się zniżyć do samolubstwa. Wiedział on dobrze, że ludność Północy, dając pieniądze, czyniła to dla ucywilizowania murzynów w ogólności, a nie dla podtrzymania tego lub innego zakładu w szczególności. Rozumiał i to, że chcąc Hamptonowi nadać właściwą siłę, trzeba z niego uczynić środek dzieła, którego dobroczynny wpływ odbije się na całym Południu.

Co się tyczy przemawiania w miastach Północy, generał dał mi radę, której nie mogę przemilczeć, bo uważam ją za najlepszą, jaką dać można, i stosującą się do wszystkich i wszędzie przemów publicznych. Generał mówił:

— Niech każde twoje słowo zawiera w sobie myśl.

Staralem się zawsze stosować do jego rady. Przemawialiśmy w Nowym-Yorku, Brooklynie,

Bostonie, Filadelfii i innych wielkich miastach, a wszędzie general przemawiał wraz ze mną w interesie Tuskegee. Usiłowania nasze skierowane były do zebrania funduszu potrzebnego na budowę „Alabama - Hall“ i do zapoznania ogółu z naszą działalnością. Pod obu temi względami powiodło się nam zupełnie.

Po tem pierwszym przedstawieniu robiłem już sam wyprawy na Północ po pieniądze. W ciągu ostatnich lat piętnastu zmuszony byłem znaczną część czasu przepędzać zdala od szkoły, ażeby gromadzić fundusze konieczne na coraz większe potrzeby naszego zakładu. Nabyłem sporo doświadczenia, którem chcę podzielić się z czytelnikami. Wiele razy osoby zbierające składki na dobroczynne cele, zapytywały mnie, jakimi sposobami zdołałem obudzić zainteresowanie i ofiarność publiczności? Przypuściwszy, że zebrani na każe mieć jakiś system, powiem, że mój polegał na dwóch sposobach. Pierwszym było ściśle — w całym znaczeniu — spełnienie obowiązku, w zapoznaniu publiczności i osób, do których się zwracałem o pomoc, z instytucją, dla której zbierałem, drugim sposobem było nie niepokoić się o ostateczny wynik. To drugie było nierównie trudniejsze do wykonania. Niełatwo to żyć bez troski, kiedy się jest w przededniu spłaty weksli, nie mając ani dolara na ich zaspokojenie. Teraz rozumiem dobrze, jak dalece tego rodzaju troski zużywają nasze siły, pochłaniają całe umysłowe i fizyczne władze, które możnaby daleko korzystniej zużytkować na inną działalność. Częste stosunki, jakie miałem z ludźmi wybitnych stanowisk i wielkiego majątku przekonały mnie, że ci, którzy dokonali najwięcej dobrego, odznaczali się zawsze zupełnem panowaniem nad sobą, spokojem, cierpliwością i pogodą umysłu. Wzorem tego wszystkiego był, według mego zdania, prezydent MacKinley.

Do zdobycia powodzenia w jakimkolwiek przed-

sięwzięciu, pierwszym warunkiem jest zapomnienie o sobie i całkowite oddanie się myśli o wielkiej sprawie; powodzenie i szczęście, jakie się z tego czerpie, stoją w prostym stosunku do zaparcia swego *ja*, jakie się ma w duszy.

Moje rzemiosło kwestarskie nauczyło mnie sądzić surowo tych, którzy przepędzają czas na potępianiu bogaczy za to, że są bogaci i że nie świadczą dobrodziejstw. Ci, którzy występują z temi oskarżeniami, nie przypuszczają nawet, ile osób popadłoby w nędzę, gdyby bogacze rzekli się swych bogactw odrazu, burząc i niwecząc wielkie przedsięwzięcia, dające tamtym zarobek. Przytem nikt nie domyśla się, ile próśb o zapomogi sypie się na bogaczy. Znam takich, którzy w dzień mają po dwudziestu gości, przychodzących prosić o pomoc. Zdarzało mi się, chodząc po kweście, zastawać u osób, do których się zwracałem, co najmniej sześciu przybyłych w tym samym celu. A te odwiedziny są zaledwie drobną częścią próśb, nadchodzących listownie. Nikt nawet nie przypuszcza, ile osób daje jałmużnę w tajemnicy, a znałem i takiego, który miał opinię, że nie daje nic, gdy tymczasem rozdawał rocznie setki dolarów potajemnie, o czem nikt nie wiedział.

Mogę tu dać za przykład dwie panie z Nowego Yorku, których nazwiska rzadko występują na listach składek, a którym zawdzięczamy budowę trzech dużych gmachów w ciągu ośmiu lat ostatnich. Oprócz tego dawały one jeszcze i inne dary dla naszej szkoły. Nie ograniczają się do obdarzania jednego tylko Tuskegee, ale wyszukują różne inne •ele godne poparcia.

Pomimo, że miałem szczęście ściągnąć do kasy zakładu w Tuskegee kilkakroć sto tysięcy dolarów, unikałem zawsze tego, co świat nazywa „zebraniem“. Powtarzam często moim słuchaczom, że nigdy nie „zebrałem“ o pieniądze, że nie jestem „zebrakiem.“ Doświadczenie mnie nauczyło, że brutalne żądanie

pieniędzy od ludzi bogatych nie usposabia ich bynajmniej do ofiarności. Wychodzę zawsze z tego założenia, że ludzie, którzy potrafiliby zrobić majątek, muszą też mieć i rozum potrzebny do zarządzania tym majątkiem. Według mnie, najlepszym sposobem zainteresowania ich jakąś sprawą, jest przedstawienie samych faktów z prostotą i godnością. Daje to zawsze lepsze wyniki niż żebranie.

Pomimo, że uciążliwe, nieprzyjemne i wyczerpujące nawet pod względem zdrowia jest to chodzenie od domu do domu, ma jednak i swoje strony dodatnie. Ma się sposobność zapoznania z dzielnymi ludźmi; powiedziałbym nawet, że z najzaciejszymi i najbardziej wpływowymi w społeczeństwie są ci, którzy interesują się zakładami, mającymi na celu ulepszenie świata.

Pewnego dnia w Bostonie wybrałem się do osoby bardzo bogatej. Wprowadzono mnie do przedpokoju, gdzie się zatrzymałem, posławszy bilet. Tymczasem nadchodzi mąż tej osoby, zastaje mnie i pyta szorstko, jaki mam interes. Zaledwie objaśniłem go o celu przybycia, zaczął odzywać się tak grubiańsko i z taką gwałtownością, że wyszedłem, nie czekając na odpowiedź pani. Poszedłem dalej i udałem się do człowieka, który mnie przyjął bardzo serdecznie. Podpisał czek na znaczną sumę i nie czekając na podziękowanie, powiedział:

— Jestem bardzo wdzięczny, panie Washington, że dałeś mi sposobność do przysłużenia się dobrej sprawie. Jest to prawdziwe szczęście przyłożyć się do tego dzieła; jesteśmy pańskimi dłużnikami za to, że wyręczasz nas w pracy,

Utrzymuję z całym przekonaniem, opartem na doświadczeniu, że ludzie pierwszej kategorii są coraz rzadsi, a drugiej coraz liczniejsi, co dowodzi, że bogacze zaczynają coraz częściej uważać tych, którzy przychodzą prosić o składki na cele dobroczynne, za swoich wyręczycieli, nie za żebraków.

W Bostonie rzadko mi się zdarzało podczas

kwesty, żeby ten, do kogo się zwróciłem, nie podziękował mi za przyjście, zanim ja sam zdążyłem mu podziękować za ofiarę. W Bostonie wszyscy uważają sobie za zaszczyt, gdy się do nich zwrócić o składkę. Nigdzie nie spotkałem w równej mierze ducha chrześcijańskiego; nie idzie zatem, ażeby i w innych miastach nie miało być podobnych przykładów. Powtarzam tu raz jeszcze, że ludzie przyzwyczajają się coraz więcej do dawania.

W początkach zdarzało mi się chodzić całymi dniami po ulicach miast na północy lub po gościńcach miejskich i nie dostać ani dolara. Zdarzało mi się również po całym tygodniu zawodów i zniechęcenia otrzymać ze strony najmniej spodziewanej wspaniałą ofiarę, a nie dostawać nic od tych, do których zwracałem się z silną wiarą, że nie dadzą mi odejść z próżnemi rękoma.

Dowiedziałem się raz, że człowiek, mieszkający na wsi, o dwie mile od miasta Stafford (Connecticut), zainteresowałby się naszym zakładem, gdyby mu kto przedstawił jego położenie i potrzeby. Puściłem się w drogę podczas burzy i zimna, idąc dwie mile pieszo. Niełatwo przyszło mi zobaczyć się z panem domu. Wysłuchał mnie z uwagą, zajęło go moje opowiadanie, ale nic nie dal.

Odszedłem — przekonany, że zmarnowałem na próżno trzy drogocenne godziny, choć z drugiej strony nie żałowałem tego kroku, który uważałem za obowiązek.

Po dwóch latach otrzymałem od tegoż samego człowieka list.

„Przesyłam panu przy niniejszem czek na dziesięć tysięcy dolarów dla zakładu w Tuskegee. Miałem zamiar pozostawić dla was zapis w testamencie, ale uważam, że rozsądniej będzie dać wam to za życia. Bardzo miłe wspomnienie pozostawiły mi pańskie odwiedziny dwa lata temu“.

Żaden dar nie ucieszył mnie chyba więcej od tego. Był on najznacniejszym ze wszystkich, jakie

otrzymała dotąd nasza szkoła. Przybywał bardzo w porę, bo oddawna już nie dostawaliśmy nic, brak było zupełnie funduszków i bieda była wielka. Nie wyobrażam sobie przykrzejszego i bardziej denerwującego położenia, niż położenie dyrektora dużego zakładu z wielkimi ciężarami finansowymi, gdy brakuje pieniędzy i co miesiąc trzeba się oglądać, z której strony nadpłyną.

Inna jeszcze trudność zwiększała ciężar odpowiedzialności i wzmagala moje obawy. Gdyby nasz zakład był kierowany przez białych i upadł, uszkodzona byłaby tylko oświata murzynów i to tylko murzynów w tej okolicy, ale prowadzony przez nas zakład nie mógł szwankować bez podkopania ufności do rasy murzyńskiej, która tem samem byłaby uznana za niepodatną do przyjęcia cywilizacji. To też otrzymanie tego czeku usunęło gnębiący niepokój, który mnie od pewnego czasu nie opuszczał.

Od samego początku usiłowałem przekonać cały skład nauczycieli, że powodzenie szkoły zawisło w znacznej mierze od czystości, dobrej postawy i dobrego stanu higienicznego całego zakładu. Pierwszy raz spotkawszy się z nieboszczykiem Collisem P. Huntingtonem, bogatym właścicielem kolei żelaznych, otrzymałem od niego dwa dolary dla szkoły. Później, niedługo przed jego śmiercią, otrzymałem od niego pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które wzmocniły żelazny kapitał szkoły. Prócz tego co roku państwo Huntington obdarzali nas mniej lub więcej hojnie.

Możnaby przypuszczać, że to nasza szczęśliwa gwiazda sprowadziła nam tak hojny dar. Nie—to nie był szczęśliwy traf, lecz nasza wytrwała praca. Nic godnego posiadania nie przychodzi bez pracy. Nie myślałem ganić pana Huntingtona, gdy mi ofiarował dwa dolary, ale postanowiłem go przekonać, że zasługujemy na większe sumy.

Przez lat dwanaście wysilałem się, żeby go

przekonać o wartości naszego zakładu i miałem to zadowolenie, że śledził uważnie rozwój szkoły i stosownie do niego wymierzał swą ofiarność. Nikt żywiej nie interesował się naszym zakładem; nietylko dawał on nam pieniądze, ale i rady co do kierowania szkołą, jak ojciec synowi.

Niejednokrotnie bywałem w wielkim kłopotcie, objeżdżając za kwestą Stany Północne. Nie opowiadałem nigdy o tem, co tu opiszę, bo się obawiałem, że mi nie uwierzą. Było to rankiem w mieście Providence (Rhode Island), nie miałem na śniadanie ani centa. Idąc ulicą do jednej pani, od której miałem nadzieję dostać pieniędzy, zobaczyłem leżącą między szynami tramwaju nowiuteńką sztukę dwudziestopięciocentową. W pięć minut potem do tej sztuki przybyła znaczniejsza suma, otrzymana od damy, do której szedłem.

Na jedno zebranie przy rozdawaniu nagród, ośmieliłem się prosić o kazanie Wielebnego E. Winchestera Donalda, doktora teologii. Nie mając miejsca na pomieszczenie całego zgromadzenia, zbudowaliśmy obszerny namiot z desek przybranych zielonością. Zaledwie kazanie się rozpoczęło, spadł deszcz rzęsisty, który zmusił doktora do przerywania mowy i schowania się pod parasol.

Gdym ujrzał rektora kościoła Świętej Trójcy, stojącego przed słuchaczami pod starym parasolem i oczekującego końca ulewy, wtedy dopiero zrozumiałem całą lekkomyślność mojego żądania.

Deszcz ustał niedługo i dr. Donald mógł dokończyć kazania, które było świetne, mimo niepogody. Rozebrawszy się ze zmoczonych szat, nie mógł się powstrzymać od uwagi, że Tuskegee potrzebuje koniecznie obszernej kaplicy; nazajutrz otrzymałem od dwóch pań podróżujących po Włoszech list z obietnicą sumy potrzebnej na budowę kaplicy.

Niedawno temu dostaliśmy od pana Andrzeja Carnegie dwadzieścia tysięcy dolarów na budowę

nowej biblioteki. Dawna biblioteka z czytelnią mieściła się w małym domostwie, zajmując pięć stóp szerokości na dwanaście długości. Dziesięć lat potrzeba było na zainteresowanie pana Carnegie naszym dziełem.

Gdy go widziałem po raz pierwszy, okazał bardzo średnie zajęcie; ale postanowiłem przekonać i jego także, że zasługujemy na pomoc.

Po dziesięciu latach ciężkiej pracy napisałem do niego następujący list:

Do Pana Andrzeja Cornegie,  
*Nowy-York, 15 grudnia.*

„Szanowny Panie!

„Stosując się do życzenia wyrażonego przed kilkoma dniami, ośmielam się zwrócić dziś z prośbą piśmienną o bibliotekę.

„Szkoła nasza liczy tysiąc stu uczniów i uczennic, ośmdziesięciu sześciu nauczycieli i urzędników, mieszkających tu z rodzinami i około dwustu murzynów mieszkających w pobliżu, którzy wszyscy korzystaliby z biblioteki.

„Mamy przeszło dwanaście tysięcy książek i pism, ofiarowanych przez życzliwych; ale nie mamy odpowiedniego miejsca na ich pomieszczenie—ani na czytelnię.

„Uczniowie nasi, opuszczając szkołę, zajmują się różnemi rzemiosłami w Południowych Stanach i wiadomości, nabyte czytaniem książek, miałyby korzystny wpływ na całą rasę murzyńską.

„Biblioteka, której nam potrzeba, mogłaby być zbudowana za sumę dwudziestu tysięcy dolarów. Pracę przy budowie, wyrób dachówek, roboty mularskie, stolarskie i ślusarskie wykonają nasi wychowañcy.

„Pieniądze ofiarowane przez pana dadzą im sposobność wyćwiczenia się w rozmaitych rzemiosłach przy wznoszeniu gmachu, a przytem otrzymując zapłatę za swoją pracę, będą mogli z tym zarobkiem opłacić koszt utrzymania swego w szkole.



Sądzę, że nigdy jeszcze taka suma nie przyniosła równej korzyści dla podniesienia poziomu umysłowego całej rasy.

„Jeżeli pan życzy sobie bliższych objaśnień, jestem na pańskie usługi

„Z głębokim szacunkiem

*Broker T. Washington*, dyrektor szkoły.“

Następną pocztą otrzymałem odpowiedź.

„Będzie mi bardzo przyjemnie opłacić kosztą budowy biblioteki w sumie dwudziestu tysięcy dolarów i cieszę się z tej sposobności, która daje mi możność okazania sympatii jaką żywię dla pańskiego szlachetnego dzieła.“

Zawsze dobrze wychodziłem na systemie czysto handlowym; w stosunkach z dobroczyńcami szkoły i w moich czynnościach w Tuskegee zarządzałem sprawami finansowymi i innymi według zasad, których nie zaparłby się bank Nowyorski.

Wspomniałem o większych darach, otrzymanych przez nasz zakład, ale zadziwi się każdy z czytelników, gdy powiem, że największe korzyści osiągnął on dzięki drobnym ofiarom, na pozór nic nie znaczącym, które jednak świadczą o życzliwości setek osób, od czego zawisło powodzenie każdego dobroczynnego dzieła.

Nie zdołam nigdy wyrazić dostatecznie mego uwielbienia dla duchownych, których cierpliwość i głębokie współczucie mogłem wypróbować, pomimo, że są oni zawsze zarzucani najrozmaitszymi żądaniami.

Gdybym nawet nie miał innych powodów do uznania skutecznego wpływu chrześcijańskich pojęć, to zmiana, jaka od lat trzydziestu pięciu za pośrednictwem kościoła dokonała się w kierunku podniesienia rasy murzyńskiej, wystarczyłaby już, żeby ze mnie uczynić chrześcijanina. Te grosze i srebrne pieniądze, pochodzące ze szkół niedzielnych, ze zgromadzeń chrześcijańskich, z misji i kwesty kościelnej,

przyczyniły się w znacznej mierze do tak szybkiego podźwignięcia murzynów.

Przy tej sposobności muszę wspomnieć o zwyczaju naszych uczniów, którzy po opuszczeniu szkoły przysyłają nam coroczną daninę wynoszącą od dwudziestu pięciu centów do dziesięciu dolarów.

Rozpoczął się trzeci rok szkolny w Tuskegee, gdy otrzymaliśmy niespodziewanie znaczne zapomogi z trzech różnych stron, które nam są wypłacane corocznie do tej chwili. Pierwsza została przyznana przez izbę deputowanych stanu Alabama, która podwoiła ją z dwóch na trzy tysiące dolarów rocznie. Druga była sumą tysiąca dolarów, przeznaczoną z zapisu Johna F. Slatera <sup>1)</sup>.

Nasz zakład potrafił sobie zjednać sympatyę opiekunów tego zapisu, bo sumę przeznaczoną dla nas powiększali stopniowo tak, że obecnie wypłacają nam jedenaście tysięcy rocznie. Trzecia zapomoga pochodzi z zapisu Teabody, bogatego bankiera i filantropa. Wynosiła z początku pięćset dolarów, a teraz doszła do tysiąca pięciuset.

Starając się o te zapomogi, zapoznałem się z dwoma ludźmi rzadkiej wartości, którzy przyłożyli się niemało do dzieła oświaty murzynów. Mówię tu o panu L. M. Currym, z Waszyngtonu, zarządzającym obu zapisami—i o panu M. Morvis K. Jesupie z Nowego Yorku. Doktor Curny, rodem Południowiec, służył w armii skonfederowanej, a mimo to nikt chyba żywiej od niego nie interesuje się murzynami, oswobodziwszy się od wszelkich uprzedzeń rasowych. Nie zapomnę nigdy dnia, gdy go poraz pierwszy zobaczył. Rzecz rzadka na Południu, cieszy się on zaufaniem i białych i murzy-

---

<sup>1)</sup> John Slater, fabrykant i filantrop, ustanowił dobroczynną fundację miliona dolarów, przeznaczając ją na edukację murzynów w Południowych Stanach. Umarł w 1884 r. (p. 14.)

nów. Wybrałem się do niego do Richuwudu (Wirginis), gdzie wtedy mieszkał. Słyszałem o nim dużo. Zbliżyłem się ze drżeniem, bo byłem bardzo młody i niedoświadczony. Przyjął mnie bardzo serdecznie, wziął za rękę i mówił tak zachęcająco, dawał tak dobre rady, że uczynił na mnie wrażenie człowieka, którego jedynym celem w życiu jest praca dla dobra ludzkości.

Pana M. Morvisa K. Jesupa, skarbnika fundacji Slatera, przytaczam tu jako wyjątek, bo nie zdarzyło mi się mieć do czynienia z człowiekiem równie hojnie szafującym swoim czasem, pieniędzmi i umysłowymi zasobami dla kwestyi murzyńskiej, pomimo rozlicznych innych obowiązków. Jemu to w znacznej części zawdzięczamy, że przez ostatnie lata nauka rzemiosł mogła się rozwinąć na tak dużą skalę i że zajęła to miejsce, jakie obecnie jej dano.

---

## ROZDZIAŁ XIII.

### TRZY TYSIĄCE KILOMETRÓW I MOWA PIĘCIOMINUTOWA.

Wkrótce po otwarciu internatu zgłosiła się z prośbą o przyjęcie do zakładu znaczna liczba uczniów zdolnych, lecz tak ubogich, że nie byli w stanie opłacać kosztów nauki. Uczniowie byli obojętnej płci. Przykro było im odmawiać; dlatego w r. 1884 urządziliśmy dla znacznej ich części kursa wieczorowe.

Zostały one urządzone według planu podobnego do kursów w Hamptonie, które pomagałem urządzać. Na początek dostaliśmy dwunastu uczniów. Przyjmowaliśmy ich do szkoły wieczornej, jeżeli nie mieli pieniędzy na opłacenie wykładów dziennych. Za to wymagalismy od nich dziesięciogodzinnej pra-

cy w jakimkolwiek rzemiośle, i uczęszcza wieczorem na dwie godziny lekcyi. Takie były warunki przez pierwszy i drugi rok ich pobytu. Prócz tego, dopłacano im jeszcze niewielką sumę po za utrzymaniem dziennem; rozumie się, że wszystkie ich zarobki, z wyjątkiem tej drobnej sumki, składane były do kasy szkolnej i miały służyć na opłatę szkoły dziennej, gdy do niej z czasem wstąpią. Kursa wieczorne rozpoczęte w ten sposób, rozwinęły się tak dalece, że w chwili obecnej liczą czterystu pięćdziesięciu siedmiu uczniów.

Najlepszą probiernią wartości ucznia, jest właśnie ten oddział szkoły. Dlatego głównie, że daje nam on tak dobrą sposobność wypróbowania uczniów, przywiązując wielką wagę do kursów wieczornych. Kto chce pracować przez dziesięć godzin w cegielni lub w pralni przez rok albo dwa, żeby wzamian za to mieć dwie godziny lekcyi wieczorem, tem ma w sobię dosyć gruntu żeby się warto było zająć jego wykształceniem.

Uczeń po wyjściu ze szkoły wieczornej przechodzi do szkoły dziennej, gdzie słucha wykładów przez cztery dni w tygodniu, a we dwa pozostałe pracuje w swoim warsztacie. Oprócz tego pracuje zwykle w warsztatach przez trzy letnie miesiące. Zazwyczaj uczeń, który przetrwał zwycięzko próbę kursów wieczornych, kończy już całkowity kurs nauk i rzemiosła. Żaden uczeń, chociażby zamożny—nie może się uchylić od ręcznej pracy. Teraz nauka rzemiosł jest już równie popularna jak nauka książkowa. Kilku z najwybitniejszych wychowañców naszych, tak mężczyzn, jak kobiet, zaczęło od kursów wieczornych.

Obok silnego nacisku, jaki kładziemy na naukę rzemiosł, nie zaniedbujemy też strony religijnej i duchownej. Szkoła jest przejęta duchem czysto chrześcijańskim, i rozwój religijny uczniów: zebrań dla odprawiania wspólnych modłów — szkoła niedzielna, stowarzyszenie chrześcijańskich uczyn-

ków, związek młodzieży chrześcijańskiej i różne nasze misyjne stowarzyszenia, są tego najlepszym dowodem.

W 1885 r. miss Olivia Davidson, o której mówiłem jako o jednej z najczynniejszych naszych pracownic, której szkoła zawdzięcza w części swe powodzenie, została moją żoną. Przez cały czas naszego pożycia dzieliła swe siły między dom i prace szkolne. Nietylko nie przerwała zajęć w zakładzie w Tuskegee, ale jeździła na kwesty do miast Północy. Po czterech latach szczęśliwego życia w rodzinie, a ośmiu latach ciężkiej, lecz umiłowanej pracy dla szkoły, umarła w 1889 r. Zużyła się nadmierną pracą dla dzieła, które tak ukochała. Pozostawiła mi dwóch synów, ładnych i zdolnych: Bakera Faliaferro, który wyuczył się już strycharstwa w Tuskegee i Ernesta Davidsona.

Pytano mnie nieraz, jakim sposobem doszedłem do przemawiania publicznie. Odpowiem na to, że nie myślałem nigdy poświęcać dużo czasu mowom. Dążyłem zawsze do tego, żeby raczej działać, niż mówić o potrzebie działania. Podczas objazdu miast Północnych z generałem Armstrongiem Tomasz W. Bickuell, prezydujący w Stowarzyszeniu opiekującym się oświatą, usłyszał mnie mówiącego na jednym z zebrań. W kilka dni potem nadesłał mi zaproszenie do wygłoszenia mowy na najbliższym posiedzeniu Towarzystwa Oświaty. Miało się ono odbyć w Madison (Wisconsin). Przyjąłem zaproszenie. I to było początkiem mojej kariery, jako mówcy.

Tego wieczora, kiedy przemawiałem w Towarzystwie Oświaty, musiało być w sali ze cztery tysiące osób. Nie wiedziałem, że wśród słuchaczy było dużo z Alabamy i kilku z Tuskegee. Powiedzieli mi później szczerze, że przyszli na posiedzenie spodziewając się usłyszeć mój występ przeciwko Stanom Południowym; ale doświadczyli przyjemnego zawodu, bo w mojej mowie nie było ani jednego

zaczpnego słowa. Przeciwnie, oddałem sprawiedliwość Południowcom za wszystko dobre, które czynią. Jedna z białych kobiet, nauczycielka kolegium w Tuskegee, ogłosiła w dziennikach list, w którym wyrażała zadziwienie i zadowolenie z tego, że oddałem hold białym z Tuskegee za udział, jaki wzięli w założeniu i trudnych początkach naszej szkoły. Mowa w Madeson była pierwszą, w której poruszyłem kwestyę rasy. Słuchacze pochwalali moje słowa i stanowisko, jakie zająłem.

Po przybyciu do Tuskegee postanowiłem osiąść tam na stałe i brać udział w radościach i upokorzeniach za wszystko, co się tam działo dobrego lub złego, z tego samego tytułu, jaki mają biali go tego współudziału. Postanowiłem nie mówić nigdy na Północy tego, czego nie chciałbym powtórzyć na Południu. Zrozumiałem oddawna, że trudno jest nawrócić ludzi zniewagami i że łatwiej tego dokonać, chwalać ich za dobre czyny, niż wytykając błędy.

Postępując według tej zasady, nie omieszkałem jednak wykazać wyraźnie błędów, jakich się kiedykolwiek dopuścili Południowcy. Zauważyłem że wielu tamtejszych obywateli przyjmuje chętnie krytykę szczerą i uczciwą. Ale wogóle miejscem do krytyki Południa—jeśli zasługuje ono na krytykę—jest tylko Południe, a nie Boston. Obywatel Bostonu, któryby przyjechał do Alabamy, żeby wygłosić tam krytykę Bostonu, nie zrobiłby tyle dobrego, co ten, któryby tę samą krytykę wygłosił w Bostonie.

W mojej mowie w Madeson wyraziłem zdanie, że najlepszą polityką jest zbliżanie obu ras wszelkimi uczciwymi sposobami i zachęcanie do przyjaznych stosunków, zamiast rozżarzania niechęci. Twierdziłem również, że murzyni w głosowaniu nauczą się mieć więcej na względzie dobro gminy, w której mieszkają, niż chęć przypodobania się komuś,

przebywającemu o tysiąc mil od nich i ich interesów. <sup>1)</sup>

Dodałem, że przyszłość murzynów zależy od tego, czy potrafią swoją zręcznością, zdolnościami i charakterem, stać się tak pożytecznymi dla gminy, ażeby gmina nie mogła obejść się bez ich usług. Człowiek który potrafi daną pracę wykonać lepiej od innych, rozwiąże trudność bez względu na barwę swej skóry, i przytoczyłem jako przykład jednego z naszych uczniów, który wyprodukował dwieście siedmdziesiąt ćwiartek patatów na pół hektarze ziemi, gdy średnia produkcya wynosi czterdzieści dziewięć z pół hektara. Dokonał tego dzięki znajomości sztucznych nawozów i ulepszonych sposobów uprawiania ziemi. Wszyscy biali farmerzy w okolicy szanowali go i przychodzili radzić się o uprawę patatów. Szanowali go i cenili za jego wiedzę i umiejętność i za to, że powiększał zamożność swojej gminy.

Takie mniej więcej zasady wygłosiłem w pierwszej mowie, traktującej o stosunkach rasy białej z murzynską, i od tej pory nie zmieniłem moich zapatrywań. W młodości miałem zwyczaj wpadać w gniew na tych, którzy oskarżali murzynów, lub uważali za potrzebne ograniczać ich w prawach przysługujących każdemu człowiekowi. Teraz słysząc podobne zdania, czuję tylko politowanie dla próżnych dążeń, bo wiem, że ciągły postęp ludzkości zawstydy kiedys wsteczników. Stawiać przeszkody dążeniu ludzkości do światła, kultury, nauki, wolności i braterskiej miłości, jest toż samo co chcieć zatrzymać pociąg, kładąc się na relsach.

Mowa, wygłoszona przezemnie w Madeson, zaznajomiła mnie z publicznością Północy — ale pra-

---

<sup>1)</sup> Jest to aluzya do zwyczaju murzynów głosowania zawsze i wszędzie na korzyść stronnictwa republikańskiego, które przyłożyło się do zniesienia niewolnictwa.

gnąłem przemawiać też i do słuchaczyw Południowców. Sposobność trafiła mi się w 1893 r., na międzynarodowym mityngu pracowników chrześcijańskich w Atlancie (Georgia). Pochwyciłem ją skwapliwie. Byłem wtedy bardzo zajęty w Bostonie, gdzie zatrzymywały mnie ważne sprawy. Pomimo to, przejrzawszy spis miast, w których miałem przemawiać, obliczyłem, że mogę wyjechać z Bostonu do Atlanty, gdzie stanę na pół godziny przed rozpoczęciem mowy, a potem pozostanie mi blisko godzina do odejścia pociągu do Bostonu. Zaproszenie zastrzeżało wyraźnie ażeby mowa nie trwała dłużej niż pięć minut. Szło więc tylko o to, czy w tej mowie pięciominutowej zdołam powiedzieć tyle, ażeby warto było odbyć dla niej tak daleką podróż.

Wiedziałem, że moi słuchacze należą w znacznej części do klasy najbardziej wpływowej wśród białych, i że to jest jedyna sposobność poznamienia ich z naszą działalnością w Tuskegee i wyjaśnienia moich zapatrywań na stosunki białych z murzynami. Zdecydowałem się tedy na tę wycieczkę.

Mówiłem przez pięć minut w obecności dwóch tysięcy słuchaczyw białych z Północy i Południa. Mowa moja przyjęta została życzliwie i z zapalem; dzienniki wyraziły się przychylnie i mówiono o niej dużo w różnych stronach kraju. Czulem, że mi się udało to, co zamierzałem, że znalazłem drogę do klas wpływowych na Południu.

Od tej pory zaproszenia zaczęły napływać coraz częściej. Miewałem mowy, o ile mogłem znaleźć na to czas przy zajęciach w Tuskegee, a większość mów wygłaszanych na Północy, miała za cel zebrania funduszyw dla szkoły. Te zaś, które miałem do słuchaczyw murzynów, poświęcone były uświadamianiu ich o ważności nauczania rzemiosł dla uzupełnienia edukacji religijnej i umysłowej.

Wtedy to nastąpiło zdarzenie, które obudziło wielkie zainteresowanie i przyłączyło się najwięcej



do nadania rozgłosu mojemu nazwisku. Była to mowa wygłoszona przy otwarciu wystawy międzynarodowej stanów, uprawiających bawełnę—w Atlamie (Georgia) 18 września 1865 r.

Na wiosnę tegoż roku otrzymałem telegram od najbardziej wpływowych obywateli Atlanty, zapraszający mnie do komitetu jadącego do Waszyngtonu z prośbą o pomoc rządu dla wystawy.

Komitet składało dwudziestu obywateli Georgii wszystkich białych — oprócz biskupa Granta, biskupa Gainesa i mnie. Burmistrz Atlanty, i inni dygnitarze przemawiali przed komisją Kongresu w Waszyngtonie. Po nich myrzyńscy biskupi, a ja miałem mówić na ostatku. Byłem bardzo zakłopotany co mam powiedzieć i jakie zrobi to wrażenie. Nie przypominam sobie dokładnie, co mówiłem, ale starałem się przedstawić z prostotą i szczerością, że jeżeli Kongres chce uczynić cośkolwiek dla uwolnienia Południa od zatargów rasowych i zaprowadzenia zgody między białymi a murzynami, musi dopomagać wszelkimi sposobami postępowi moralnemu i materyalnemu obu ras.

Mówiłem przez kwadrans, czy dwadzieścia minut, i zadziwiłem się że po ukończeniu komitet i członkowie Kongresu obsypali mnie pełnemi zapamięłowaniami. Komisya Kongresu złożyła jedno umyślnie bardzo przychylne sprawozdanie i w kilka dni potrzebne fundusze zostały przyznane. Ta uchwała zapewniła powodzenie wystawy w Atlamie.

Po powrocie, dyrektorowie wystawy uchwalili — jako dowód uznania dla rasy murzyńskiej — wystawienie osobnego pawilonu, przeznaczonego na przedstawienie postępów nczynionych przez murzynów od chwili wyzwolenia. Plan i budowa pawilonu miały być wyłącznie dziełem murzynów. Projekt został wykonany i pawilon pod względem stylu i wykończenia nie ustępował innym pawilonom wystawy.

Pozostawało tylko do rozstrzygnięcia, kto ma być dyrektorem. Chciano mnie przeznaczyć do tego, ale wymówiłem się zajęciami w Tuskegee, które w tym właśnie czasie wymagały moich sił i czasu. Wezwano więc M. J. Garlanda Penna z Zynchbogu (Wirginia) przedstawionego przezemnie. Pomagałem mu o ile mogłem, i ostatecznie wystawa się udała i przyniosła nam chlubę. Największe zaciekawienie budziły wystawy wsteczne zakładów w Hamptonie i w Tuskegee. A najwięcej dziwili się biali Południowcy.

Przy otwarciu wystawy uznano za rzecz sprawiedliwą wezwać między innymi mówcami jednego murzyna, ponieważ dopuszczano murzynów do udziału w wystawie. Było to dobrą sposobnością dla wykazania przyjaznych stosunków między obu rasami. Byli i tacy, którzy sprzeciwiali się temu, ale komitet, składający się z najznakomitszych i najliberalniejszych Południowców, przeprowadził swoje zdanie i zagłosował zaproszenie murzyna do wygłoszenia mowy w dzień otwarcia. Postanowiono jednomyślnie zwrócić się do mnie — i otrzymałem wkrótce urzędowe zaproszenie.

Tym, którzy nie byli nigdy w podobnem położeniu, trudno będzie pojąć uczucia wielkiej odpowiedzialności, jakie mnie przytłaczało. Ja, który pamiętałem dobrze, że urodziłem się niewolnikiem, że przepędziłem pierwsze lata życia w ciemnocie i nędzy — czułem że nie jestem przygotowany do tak trudnego zadania. Kilka lat temu, którykolwiek z tych białych słuchaczy mógł upomnieć się o mnie, jak o swoją własność, a może dziś, między tymi, którzy mnie będą słuchali, znajdzie się który z moich dawnych panów?

Wiedziałem że pierwszy raz się zdarza, ażeby człowiek mojej rasy przemawiał z tej samej trybuny, co biali, i to w chwili tak uroczystej. Miałem przemawiać do ludzi bogatych i wykształconych — przedstawicieli dawnych mych panów. Wiedziałem,

że oprócz Południowców, będzie tam wielu ludzi z Północy i niemal murzynów.

Postanowiłem powiedzieć tylko to, co uważam za bezwzględnie prawdziwe i uczciwe. W zaproszeniu nie było żadnej wskazówki, co mam mówić, a czego unikać. Uważałem to za dowód zaufania komitetu, który musiał dobrze zrozumieć, że jednym niewłaściwym słowem mógłbym zaszkodzić w pewnej mierze powodzeniu Wystawy. Byłem i tem głęboko zaniepokojony, że mając obowiązek wierności względem swoich, mogłem popełnić jaką niezręczność, której skutkiem byłoby to, że przez długie lata żaden z murzynów nie zostałby zaproszony do wygłoszenia mowy. Chciałem też w tem, co powiem, oddać sprawiedliwość tak Północy, jak i lepszym żywiołom Południa.

Wezwanie otrzymałem, w chwili, kiedy sprawy szkockie pochłaniały mnie więcej niż zwykle, bo rok szkolny właśnie się rozpoczynał. Napisawszy mowę, odczytałem ją według zwyczaju żonie, a 16 września — w przeddzień wyjazdu, ponieważ cały skład nauczycieli pragnął ją usłyszeć — odczytałem ją powtórnie. Ich uwagi i wrażenia uspokoiły mnie trochę, bo widziałem że są zadowoleni.

Dn. 17 września rano pojechałem do Atlanty z żoną i trojgiem dzieci. Miałem uczucie skazańca, idącego na szafot. Idąc przez miasto, spotkałem białego fermiera z okolicy, który powiedział mi ze śmiechem:

— Washington! Dotąd przemawiałeś tylko do białych na Północy, do murzynów i do nas, farmerów z Południa; ale jutro w Atlancie będziesz ich miał przed sobą wszystkich razem. Boję się, żebyś się nie wplątał w kłopot!

Człowiek ten osądził doskonale moje położenie; ale jego słowa tak szczerze, nie bardzo mogły mnie uspokoić.

Podczas podróży z Tuskegee do Atlanty biali i murzyni zbierali się na dworcach, żeby mnie po-

witać i opowiadali o wszystkim, co ma być jutro. W Atlancie miała wyjść deputacya na nasze spotkanie. Gdym wysiadał z wagonu, usłyszałem jakiegoś starego murzyna, mówiącego:

— Oto nasz człowiek, który jutro będzie miał mowę na wystawie. Pójdę i ja posłuchać.

Miasto Atlanta było przepelnione ludnością z różnych stron kraju, a byli i przedstawiciele obcych państw, deputacye wojskowe i cywilne. Wszystko to powiększało moje wzruszenie — nie spałem wcale tej nocy. Nazajutrz rano przejrzałem jeszcze raz moją mowę i tak, jak czynię zwykle przed przemawianiem publicznie, ukląkłem i prosiłem o błogosławieństwo Boże.

O wczesnej godzinie przybyła deputacya, która miała mnie przeprowadzić do miejsca, naznaczonego dla mnie w pochodzie. Brali w nim udział wybitniejsi murzyni, jadący własnymi powozami, i delegacye wojskowe złożone z murzynów. Zauważyłem jak komisarze wystawy baczyli troskliwie na to, żeby się z nami obchodzono uprzejmie. Pochód szedł całe trzy godziny, a przez ten czas słońce paliło nas żarem. Po przybyciu na miejsce, skutkiem upału i nadmiernego podniecenia nerwowego, jakie mnie ogarnęło, sądziłem przez chwilę, że omdleję i pewny byłem, że mnie spotka zupełne niepowodzenie. Wchodząc do sali, ujrzałem, że jest zapełniona od góry do dołu, a na zewnątrz gmachu były jeszcze tysiące ludzi, którzy nie mogli wejść do środka.

Sala była ogromna i doskonale przystosowana do przemawiania do tłumów. Wejście moje powitane zostało gromkim oklaskiem murzynów i lekkim klaskaniem ze strony białych. Uprzedzono mnie już, że choć będzie tam wielu białych, przybyłych tylko przez ciekawość dla usłyszenia mnie, będzie i wielu takich, którzy mi sprzyjają, byli zaś i tacy, i wielu nawet, którzy przyszli w nadziei ujrzenia mojej porażki, żeby mózdz powiedzieć tym, co mnie wezwali: — Przecież mówiliśmy, że tak będzie!

Jeden z członków administracji szkoły w Tuskegee, a mój osobisty przyjaciel William H. Baldwin, będący wówczas dyrektorem kompanii kolei żelaznych na Południu, przybył tego dnia przypadkiem do Atlanty. Tak był niespokojny, jak zostaną przyjęty i jakie wrażenie wywoła moja mowa, że nie mógł się odważyć wejść do sali i przechadzał się przed gmachem cały czas do samego końca uroczystości.

## ROZDZIAŁ XIV.

### MOWA NA WYSTAWIE W ATLANCIE.

Pierwszy zabrał głos gubernator Bullock. Potem nastąpiły modlitwy biskupa Nelsona z Georgii— odczytanie ody Alberta Howella młodszego, mowa prezesa wystawy i pani J. Thompson, prezydującej w komitecie damskim, poczem gubernator Bullock przedstawił mnie w następujących słowach:

— Mamy tu wpośród siebie przedstawiciela działalności, mającej na celu cywilizację ludności murzyńskiej.

Gdym powstał, odezwały się oklaski, głównie między murzynami. Przypominam sobie tylko, że pragnąłem nadewszystko powiedzieć to, co mnie najżywiej zajmowało: pragnąłem powiedzieć cośkolwiek, coby mogło wzmocnić przyjazne stosunki obu ras i powołać je do serdecznego współdziałania na wspólnych polach pracy. Zresztą przypominam sobie tylko tyle, że powstając, widziałem tysiące oczu, skierowanych na mnie.

Gdym skończył, gubernator Bullock przeszedł całą długość estrady, by uścisnąć mi rękę, a inni poszli za jego przykładem. Ze wszystkich stron tłoczono się do mnie z powinszowaniami i z trudno-

ścią zaledwie zdołałem wydobyć się z sali. Pomimo to, nie zdawałem sobie jeszcze nawet w przybliżeniu sprawy z wrażenia, jakie wywarła moja mowa, aż do następnego rana, kiedy poszedłem do dzielnicy naukowej Atlanty. Gdy mnie puszczo, ludzie zaczęli pokazywać mi palcami i otoczył mnie tłum, pragnący uścisnąć moją rękę. Powtarzało się to na wszystkich ulicach, któremi szedłem, i byłem tem tak zakłopotany, że poszedłem copędzej do mieszkania, Nazajutrz rano powróciłem do Tushegee. Na dworcu kolei w Atlancie i na wszystkich stacyach, gdzie zatrzymywał się pociąg, zastawałem tłumy ludzi, którzy chcieli uścisnąć moją rękę.

Dzienniki wszelakich stronnictw wydrukowały mowę w całości i przez kilka miesięcy jeszcze wyrażały się o niej pochlebnie. Zaczęły nadchodzić z różnych stron zaproszenia do wygłaszania konferencji i pisania artykułów do dzienników. Jedna z agencji proponowała mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów, lub dwa tysiące dolarów za wieczór i koszta podróży, jeżeli zechcę zawrzeć z nią umowę na czas oznaczony. Ale na te wszystkie propozycję odpowiadałem, że poświęciłem życie dla szkoły w Tushegee i jeżeli będę przemawiał, to tylko na rzecz szkoły, a więc nie mógłbym przyjąć propozycji mających na widoku głównie interes pieniędzy.

Murzyni byli zawsze bardzo zadowoleni z mojej mowy w Atlancie i z wrażenia, jakie wywołała. Ale po przejściu pierwszego zachwytu i rozczytaniu się uważniejszem w mowie, wydało się niektórym, że moje uwagi o białych Południowcach były zbyt pochlebne i że niedość energicznie wyrażałem się o tem, co uważali za prawa murzynów. Przez pewien czas objawiała się reakcja między ludźmi mojej rasy, ale później nieprzyjazne te żywioły pogodziły się z moim sposobem widzenia i postępowania.

Ponieważ mówię o zmianach, jakie zaszły w uczuciach ogółu, muszę nadmienić o tem, co mi

się zdarzyło w dziesięć lat po otworzeniu szkoły w Tuskegee, a czego nigdy nie zapomnę. Doktor Lyman Abbott, pastor przy kościele w Plymouth i dyrektor Stowarzyszenia chrześcijańskiego, prosił mnie o napisanie listu do jego dziennika z wyrażeniem zdania, jakie mam o stanie umysłowym i moralnym pastorów z rasy murzyńskiej na Południu. Napisałem list, podając fakta dokładne, tak jak je sądziłem. Obraz nakreślony przezemnie miał barwy posępne, ale nie mogło być inaczej z ludźmi, którzy wyszli dopieroco z niewolnictwa, pochodzącymi z rasy, która nie miała czasu, ani sposobności do wytworzenia odpowiedniego duchowieństwa.

To, com napisał, doszło do wiadomości wszystkich murzynów duchownych w całym kraju i otrzymałem mnóstwo listów z wymówkami. Przez cały czas po ogłoszeniu mego artykułu, we wszystkich stowarzyszeniach, na wszystkich konferencyach i zebraniach religijnych, przed rozejściem się uchwalano wotum potępiające mnie i wzywające do cofnięcia lub złagodzenia tego, com napisał. Niektóre zebrania postanowiły nawet nie posyłać dzieci do Tuskegee. Jedno nawet wydelegowało „misyonarza“ ze specjalnym celem ostrzegania rodziców o szkodliwym wpływie szkoły w Tuskegee. „Misyonarz“ ten miał syna w naszej szkole, ale pomimo wszystkiego, co mówił i co zalecał czynić innym, ani pomyślał o odebraniu go ztamtąd. Niektóre dzienniki, wydawane przez murzynów, szczególnie te, które były organami stowarzyszeń religijnych, przyłączyły się do tego chóru potępiającego i żądającego cofnięcia zarzutów.

Przez cały czas trwania tych napaści nie wyrzekłem ani jednego słowa usprawiedliwienia lub odwołania. Wiedziałem, że mam słuszość — i że z czasem i po rozmyśle, ogół potwierdzi moje zdanie. Jakoż wkrótce biskupi i inni wyżsi duchowni rozpoczęli badanie stanu, w jakim się znajduje duchowieństwo, i przekonali się, że miałem słuszość; a nawet jeden z najstarszych i najwięcej wpływo-

wych biskupów kościoła metodystów odezwał się, że byłem jeszcze zbyt pobłażliwym. Wkrótce opinia publiczna zaczęła się domagać oczyszczenia duchowieństwa. Pomimo, że daleko jeszcze do dokonania tego dzieła, mogę powiedzieć bez próżności, że moje słowa nie były bez wpływu na zapoczątkowania tego ruchu, mającego na celu podniesienie poziomu moralnego i umysłowego naszego duchowieństwa. I doczekałem się tej pociechy, że otrzymałem podziękowania od tych samych, którzy mnie przedtem ganiłi za zbytnią szczerość i dziś w żadnej może klasie nie mam tylu przyjaciół, co między duchownymi. Doświadczenie nauczyło mnie w tym razie—jak i w wielu innych—że jeżeli się mówi prawdę, za którą nas potępiają, należy milczeć i czekać spokojnie. Jeżeli słusność była po naszej stronie, czas to wykaże.

Zapytywano mnie nieraz, dlaczego nie mówię wyraźnie, co myślę o położeniu politycznym i przyszłości mojej rasy na tem polu. Zdaniem mojem — którego dotąd nie wypowiedziałem otwarcie — przyjdzie czas, gdy murzyni na Południu otrzymają wszystkie prawa polityczne, na które zasługują przez swoją inteligencyę, charakter i zamożność. Ale pewny jestem, że nie nastąpi to pod naciskiem z zewnątrz i sztucznym, tylko, za sami Południowcy zgodzą się na to i będą czuwać nad swobodnem używaniem tych praw przez murzynów.

Uważam, że murzyni powinni być bardzo umiarkowani w swych żądaniach i polegać na skutecznym, choć powolnym wpływie swej zamożności, inteligencyi i charakteru, które im utorują drogę do uzyskania praw obywatelskich. Nastąpi to drogą powolnego i naturalnego postępu, ale nie w ciągu jednego dnia. Nie wydaje mi się właściwem, żeby murzyni przestali brać udział w głosowaniu, bo nikt się nie nauczy pływać jeżeli nie zechce wejść do wody. Ale sądzę, że w głosowaniu powinni ulegać wpływowi ludzi rozumnych i uczciwych, którzy ich otaczają.



Znam murzynów, którzy dzięki zachętom, pomocy i radom białych Południowców, doszli do własności wartujących tysiące dolarów. Ale ci sami murzyni nie pomyślą nigdy poradzić się tych białych o to, w jaki sposób mają głosować. To mi się wydaje nierozsądne i myślę, że należałoby zerwać z tego rodzaju systemem.

Nie uważam za słuszne tego, że prawo daje możność głosowania obywatelowi rasy białej, choćby był nieoświecony i nieuczciwy, a odmawia tego samego prawa murzynowi, będącemu w takich samych warunkach. Prawo takie jest nie tylko niesprawiedliwe, ale i niebezpieczne, jak każda niesprawiedliwość. Ma ono na celu zachęcać murzynów do nabywania własności, a jednocześnie zachęca białych do pozostania w ciemnocie i ubóstwie. Mam nadzieję, że nadejdzie czas, gdy Południe da wszystkim swoim obywatelom prawo głosowania. Z zasady jestem zwolennikiem prawa jednakiego dla wszystkich — ale uznaję, że w obecnej chwili na Południu miejscowe warunki usprawiedliwiają poniekąd te ograniczenia — do pewnego czasu — stosownie do posiadanej własności lub stopnia wykształcenia, ale jakiegobądź są powody tych ograniczeń, powinny one być stosowane zarówno do białych, jak do murzynów — bez żadnych wyjątków i wyróżnień.

---

## ROZDZIAŁ XV.

### PODRÓŻ DO EUROPY.

---

Zapytywano mnie nieraz, jakim sposobem przy tych zajęciach, mogę znaleźć czas na wypoczynek i rozrywkę. Wyznaję, że odpowiedź na to jest niełatwa. Uważam za obowiązek każdego człowieka staranie się o dobre zdrowie i silne nerwy, żeby

mógł stawić czoło trudnościom i zawodom. Co zaś tyczy się pracy, urządzam swój czas tak, ażeby w pierwszych godzinach dnia załatwić codzienne obowiązki i mieć wolny czas na to co może zdarzyć się w ciągu dnia. Każdego wieczora mam zwyczaj załatwiać korespondencye i rachunki, ażeby mieć swobodny dzień następny. W ten sposób jestem panem mego czasu i rządę godzinami pracy, zamiast być ich niewolnikiem. Poczucie, że się jest panem swego czasu, sprawia zadowolenie fizyczne, umysłowe i moralne, a doświadczenie nauczyło mnie, że ten sposób życia wpływa rozweselająco na umysł i wzmacniająco na ciało, co dopomaga do utrzymania dobrego zdrowia. A kto lubi swoje zajęcie, ten znajduje niewyczerpane siły do jego spełnienia.

Zasiadam rano do pracy w wesołym usposobieniu, pełen otuchy, że dzień będzie dobry; ale nie zapominam ani na chwilę, że może on przynieść i zdarzenia niemiłe.

Przed dwoma laty, po dziewiętnastu latach pracy, poraz pierwszy zrobiłem sobie wypoczynek, do którego zmusili mnie przyjaciele, wręczając mi sumę potrzebną na podróż do Europy dla mnie i dla żony. Jak już wspomniałem, uważam za obowiązek pielęgnowanie zdrowia i niezaniechanie drobnych cierpień, które mogą następnie przechodzić w chorobę. Gdy zaczynam cierpieć na bezsilność lub na złe funkcjonowanie której części organizmu, radzę się zaraz lekarza.

Nie odkładam nigdy na nazajutrz dzisiejszej roboty. Czynię ten wyjątek tylko w sprawach ważnych, gdzie wchodzi w grę nasze uczucia; w tych razach uważam, że przezorniej jest przespać noc i poradzić się żony i przyjaciół.

Na czytanie mam mało czasu; najwięcej czytuję w podróży. Dzienniki są dla mnie źródłem nieustannej przyjemności i rozrywki; to tylko jest złe, że czytuję ich za dużo. Nie mam żadnego zamiłowania do utworów czysto fantazyjnych i zmuszony je-

stem zadać sobie pewien przymus ażeby przeczytać powieść, o której wszyscy mówią. Najwięcej zajmują mnie życiorysy znakomitych ludzi; podoba mi się, że bohater, o którym czytam, jest rzeczywistą postacią i zdarzenia prawdziwe. Nie przesadzę, gdy powiem, że przeczytałem wszystko, co się odnosi Abrahama Lincolna. W literaturze jest to mój ulubiony święty.

Na dwanaście miesięcy w roku przepędzam sześć zdala od Tuskegee. Jeżeli jest pewną niedogodnością przebywanie zdala od szkoły, ma to jednak i pewne korzyści. Zmiana zajęcia jest swojego rodzaju wypoczynkiem. Cieszę się nawet dłuższą podróżą w wagonie, jeżeli mogę jechać wygodnie i bez natrętów, którzy zbliżają się mówiąc:

— Zapewne mam zaszczyt mówić z panem Bookerem Washingtonem? Ośmielam się przedstawić panu... i t. d.

Oddalenie sprawia to, że po powrocie ogarniam lepiej całość, niż gdybym był ciągle na miejscu. Podróżując, badam rozmaite systemy edukacyjne i poznaję najznakomitszych wychowawców w kraju.

Ale najszcześniejsze chwile są te, które przepędzam na łonie rodziny wieczorem po wieczerzy z żoną i trojgiem mych dzieci: Porcyą, Bakerem i Davidsonem. Czytamy wtedy i opowiadamy sobie kolejno różne rzeczy. Jedna tylko przechadzka po lesie ma jeszcze więcej uroku od tych słodkich godzin. Wybieramy się na nią niekiedy w niedzielne popołudnie, zdaleka od natrętnych ludzi, sami z przyrodą, oddychamy świeżem powietrzem wśród drzew, krzaków i kwiatów, słuchając ćwierkania polnych koników i śpiewu ptaków. Oto jest wypoczynek, prawdziwy wypoczynek!

Ogród jest też dla mnie źródłem przyjemności, pomimo, że mało czasu mogę mu poświęcać. Jeżeli mogę wyjść wcześniej z kancelaryi i zająć się pracą w ogrodzie przez jakiś pół godziny, czuję się po-

krzepiony na siłach i łatwiej znoszę troski i przykrości, których nie brak w mojem ruchliwym zyciu.

Oprócz drobiu i zwierząt domowych, należących do szkoły, posiadam na własność kilka świń i trochę drobiu rzadkich gatunków, które hoduję z zamiłowaniem. Świnia jest mojem ulubionem zwierzęciem i cenię nadewszystko odmiany Berkshire i Poland-China.

Gier żadnych nie znam i w kartach nie umiem nawet odróżnić jednej od drugiej. Być może, że byłbym polubił gry i zabawy, gdybym był nauczył się ich w dzieciństwie, ale o tem wtedy nie mogło być mowy.

W roku 1893 zaślubiłem miss Małgorzatę Janies Murray, rodem z Mississipi i posiadającą dyplom z uniwersytetu w Fisk (Nashville Tennessee) która przyjechała do Tuskegee na posadę dyrektorki internatu dziewcząt. Żona moja pomaga mi całą duszą w mojem trudnem zadaniu i nie ogranicza się wyłącznie do zajęcia w szkole. Prezyduje na zebraniach Stowarzyszenia Matek, zajmuje się szkółką dla murzynów na plantacyi oddalonej od Tuskegee o ośm do dziesięciu mil. Szkółki te mają cel dwójaki: przyjsie z pomocą biedakom i przyuczanie praktyczne naszych wychowañców do pełnienia obowiązków nauczycielskich, gdy z kolei będą powołani do ich objęcia.

ona moja również założyła klub kobiecy w Tuskegee, gdzie dwa razy na miesiąc zbierają się wszystkie kobiety ze szkoły i z okolicy dla roztrząsania kwestyi bieżących.

Najstarsza z moich dzieci, Porcy, nauczyła się szycia, prócz tego ma wielką zdolność do muzyki. Skończyła szkołę w Tuskegee i zaczęła już uczyć sama.

Baker Taliaferro, mój starszy syn, wyuczył się srtycharstwa, uczył się go od dziecka i nie porzucał rzemiosła przez cały czas nauki szkolnej, ma do tego duże zdolności i zamiłowanie. Marzy, żeby zostać

budowniczym i prowadzić cegielnię. Wielką przyjemność sprawił mi jego list pisany zeszłego roku. Wyjeżdżając na wakacje, powiedziałem mu, że pragnę aby poświęcał całe pół dnia strycharstwu, a drugą połowę jak mu się podoba. Po dwóch tygodniach otrzymałem od niego list:

*Mój drogi Ojcze!*

Wyjeżdżając zaleciłeś mi pracę w cegielni przez pół dnia, ale ja tak lubię tę robotę, że będę pracował przez cały dzień. A przytem chciałbym zarobić dużo pieniędzy, kiedy pójdę do innego kolegium, będę miał dosyć uzbieranych na opłacenie kosztów.

Twój syn

*Baker.*

Młodszy mój syn, Ernest Davidson Washington, chce zostać lekarzem. Chodzi do szkoły razem z innymi i oprócz rzemiosł, których się uczy razem z kolegami, przepędza wszystkie wolne chwile w laboratorium medycznym szkoły i umie już spełniać niektóre drobniejsze zabiegi lekarskie.

Co mi jest najprzykrejsze w tem życiu wędrownem zdala od szkoły, to konieczność rozłączania się na czas dłuższy z rodziną, przy której czuję się najszcześliwszy.

Zazdrościłem zawsze ludziom, których czas jest tak rozłożony, że mogą spędzać wieczory na łonie rodziny i myślę nieraz o tych, którzy mają ten nieoszacowany przywilej, a nie oceniają jego wartości. Nie potrafię wyrazić jaką ulgę sprawia usunięcie się od tłumy ludzkiego, od ciągłego podawania ręki, od ciągłych podróży i możność przebywania wśród swoich, choćby niedługo.

Przyjemną chwilą w Tuskegee jest zebranie półgodzinne w kaplicy o pół do dziewiątej wieczorem. na które przybywają uczniowie, nauczyciele i rodziny uczniów na nabożeństwo wieczorne przed udaniem się na spoczynek. Jest to widok zdolny rozradować serce takie zgromadzenie tysiąca dwu-

stu młodzieży obojej płci, modlącej się z przejęciem i skupieniem ducha i trzeba przyznać, że jest wielkiem szczęściem możność pomagania tej młodzieży do prowadzenia życia pożytecznego i szlachetnego.

Na wiosnę 1899 roku spotkała mnie największa niespodzianka w życiu. Panie w Bostonie urządziły na korzyść szkoły w Tuskegee zebranie w teatrze na Hollis-street. Zebrało się liczne doborowe towarzystwo Bostonu, biali i murzyni. Prezydował biskup Laurence, a ja miałem mowę. Paweł Wawrzyniec Daubar <sup>1)</sup> przeczytał kilka poetycznych utworów, a dr. W. E. B. du Bois <sup>1)</sup> odczytał również swoją pracę.

Wszyscy zauważyli, że jestem zmęczony i po skończonem zebraniu jedna z pań, które je urządzały, zapytała mnie mimochodem, czy byłem w Europie? Na moją przeczącą odpowiedź zapytała jeszcze, czy nie mam zamiaru odbyć tej wycieczki? Odrzekłem na to, że moje środki nie pozwalają nawet marzyć o czemś podobnem. Tylko tyle. Zapomniałem już o tej rozmowie, kiedy w kilka dni później otrzymałem wiadomość, że moi przyjaciele w Bostonie, a między innymi Francis J. Garrison, zebrali sumę potrzebną na trzy lub czteromiesięczną wycieczkę do Europy. Myśl do tej wycieczki nasuwał mi już w poprzednim roku p. Garrison, ale w takiej chwili, gdy nie mogło być o tem mowy. Lecz teraz p. Garrison połączył swe zabiegi z zabiegami pań z Bostonu i kiedy powiedział mi o tem, wszystko było już obmyślane, plan podróży zrobiony i zamówione miejsca na statku odpływającym do Europy.

Było to tak niespodziewane i nagłe, że byłem

---

<sup>1)</sup> Młody murzyn, urodzony w 1872, zdobył już sobie rozgłos poezjami i powieściami (p. *tt.*).

<sup>1)</sup> Pan du Bois, także murzyn, wykłada historję i ekonomję polityczną w uniwersytecie w Atlancie. (p. *tt.*).

zupełnie oszołomiony. Od lat ośmnastu pracowałem w Tuskegee i nie myślałem o niczem innym na przyszłość. Przytem, utrzymanie szkoły i jej codzienne wydatki coraz więcej zależały odemnie, więc dziękując moim życzliwym za ich wspaniałomyślność, zmuszonym byłem powiedzieć, że podróż do Europy, jest dla mnie niepodobieństwem, gdyż w czasie mojej nieobecności szkoła nie miałaby czem opędzić swych wydatków. Dowiedziałem się wtedy, że Henryk L. Higginson, z kilku przyjaciółmi, których nazwisk nie wymieniam, wiedząc, że wzięliby mi to za złe, krząta się gorliwie około zebrania sumy potrzebnej na zabezpieczenie bytu szkoły przez czas mojej nieobecności. Wobec tego musiałem ustąpić, nie miałem już żadnej wymówki. Przygotowałem się zatem do wyjazdu.

Zdawało mi się, że to wszystko sen, nie mogłem uwierzyć w rzeczywistość tego projektu, nie mogłem uwierzyć, że naprawdę jadę do Europy. Urodziłem się niewolnikiem, wychowałem się w ciemnocie i ubóstwie. W dzieciństwie cierpiałem głód i zimno, nie miałem dachu nad głową. Byłem już dość duży, gdy po raz pierwszy usiadłem do nakrytego słołu. Dobrobyt i zbytek wydawały mi się zawsze jako wyłączny przywilej rasy białej. Co się zaś tyczy Europy, Londyn i Paryż przedstawiały mi się jako raj ziemski; i to ja — ja sam, miałem dostąpić niezrównanego szczęścia ujrzenia Europy! Ta myśl nie opuszczała mnie ani na chwilę.

Prócz tego miałem jeszcze inne powody do niepokoju. Obawiałem się, że gdy rozejdzie się wieść o naszej podróży, ludzie, nie wiedząc, w jaki sposób zostaliśmy do tego skłonieni, posądzą nas o dumę i chęć imponowania. Zbyt często, za młodzieńczych moich czasów, słyszałem także zdania o ludziach mojej rasy, którym się w życiu powiodło: zarzucano im, że pną się w górę, że przewróciło się im w głowie i że chcą małpować bogaczy. Obawiałem się, żeby tego samego nie powiedziano i o mnie. Mia-

łem też pewien wyrzut sumienia, porzucając moją pracę. Było tam tyle do zrobienia na każdym kroku, że wydawało mi się nędznym samolubstwem używać wywczasu, gdy inni będą pracowali bez przerwy. Przywykłem pracować bez wytchnienia, jak daleko sięgam pamięcią, pracowałem zawsze, nie mogłem sobie wyobrazić dwóch lub trzech miesięcy spędzonych w bezczynności, poprostu mówiąc, nie umiałem używać wakacyi.

Żona moja doświadczała tego samego uczucia, ale zdecydowała się łatwiej, pragnąc dla mnie wypoczynku. Było nam tem trudniej zdecydować się na wyjazd, że w tym właśnie czasie poruszono dużo spraw żywotnych, odnoszących się do rasy murzyńskiej. Ale wreszcie zawiadomiliśmy przyjaciół z Bostonu, że zgadzamy się na wyjazd, a oni nastawiali na nas o oznaczenie dnia bez dalszej zwłoki. Naznaczyliśmy 10 maja. Pan Garrison zajął się wszystkimi przygotowaniami do podróży, zaopatrzone nas w listy polecające do różnych osób we Francyi i w Anglii, a wszystkie szczegóły naszego pobytu w Europie zostały tak obmyślane, żeby nam zapewnić wygodę wszędzie, gdzie będziemy. Pożegnawszy się z Tuskegee, wyjechaliśmy do Nowego-Jorku 9 maja, gotowi wsiąść na statek. Nasza córka, Percy, będąca wtedy na studiach w South Franningham (Massachusetts), przybyła do Nowego-Jorku, żeby się z nami pożegnać. Pan Scott, mój sekretarz, odprowadził nas także i tym sposobem mogłem do ostatniej chwili zarządzać najdrobniejszymi szczegółami spraw, pozostawionych w zawieszeniu. Na kilka chwil przed udaniem się na pokład statku spotkała mnie miła niespodzianka w postaci listu od dwóch wspaniałomyślnych pań, które ofiarowały nam fundusze potrzebne na budowę domu dla pomieszczenia warsztatów dla dziewcząt w Tuskegee.

Mieliśmy wypłynąć na statku „Triessland“, z Red-Star-Line, statku istotnie wspaniałym. Udał się na pokład przed dwunastą. Nie byłem ni-



gdy przedtem na statku należącym do linii transatlantyckiej i doznawałem uczucia nie dającego się opisać — trwogi połączonej z przyjemnością. Miłą dla mnie niespodzianką było i to, że kapitan i oficerowie statku nie tylko byli uprzedzeni o naszym przybyciu, ale czekali na nas i powitali bardzo uprzejmie. Na pokładzie zastaliśmy kilka osób znajomych—między innymi senatora Sewelba z New-Jersey i Edwarda Marshalla, dziennikarza. Lękałem się niegrzeczności ze strony podróżnych. Obawa moja pochodziła z opowiadań murzynów, którzy uskarżali się na złe obejście podczas podróży na statkach amerykańskich. Ale zaczawszy od kapitana do ostatniego posługacza, wszyscy byli dla nas uprzedzająco grzeczni. Również i podróżni bez żadnego wyjątku, nawet Południowcy, jadący tym statkiem, nie różnili się w tem od reszty podróżnych.

W chwili, gdy statek ruszył, doznałem uczucia niewymownej ulgi, zdawało mi się, że spada ze mnie z każdą chwilą ciężar trosk, niepokojów i poczucia odpowiedzialności, dźwiganej od lat ośmnastu. Poraz pierwszy od tylu lat odetchnąłem swobodni i nie potrafię opisać miłego uczucia, jakiego doznawałem, rozradowany przytem myślą, że jadę do Europy. Żyłem jakby w śnie rozkosznym.

Dzięki panu Garrisonowi, mieliśmy najwygodniejsze na całym statku kajuty. Drugiego dnia powyjeździe ogarnęła mnie gwałtowna senność, sypiałem po piętnaście godzin na dobę przez czas podróży i wtedy dopiero poznałem, do jakiego stopnia wyczerpania doszedłem; taki sam tryb życia prowadziłem w Europie. Było to zupełną nowością dla mnie budzić się rano bez żadnych obowiązkowych zajęć i nie jechać na pociąg o oznaczonej godzinie — nie mieć żadnego umówionego spotkania, ani żadnej mowy do wygłoszenia. Było to gwałtowną zmianą w życiu człowieka, który czasami, w ciągu jednej nocy, spał kolejno na trzech łóżkach.

W niedzielę kapitan poprosił mnie o odpra-

wienie nabożeństwa—ale odmówilem, ponieważ nie jestem duchownym. Lecz podróżni nalegali, żebym miał przemowę w sali jadalnej. Senator Sewell odprawił nabożeństwo. Po dziesięciu dniach podróży i wspaniałej pogody, podczas której nie cierpiałem ani razu na morską chorobę, wyładowaliśmy w ciekawem mieście Antwerpii, w Belgii.

Nazajutrz było jedno z licznych świąt, obchodzonych w tym kraju. Dzień był prześliczny, słoneczny. Okna naszego pokoju wychodziły na wielki plac i widok ten miał dla mnie niewymowny urok nowości. Wieśniacy, obładowani kwiatami na sprzedaż, kobiety z małemi wózkami zaprzężonemi w wielkie psy, ciągnące na wózkach naczynia z mlekiem, tłum tłoczący się do katedry—wszystko to było widokiem nowym dla mnie.

Po kilku dniach pobytu w Antwerpii wybraliśmy się do Holandyi w towarzystwie kilku Amerykanów, między innymi Edwarda Marshalla, i paru artystów, którzy jechali z nami. Krótka ta wycieczka była prześliczna. Dodawało jej uroku to, że, staroświeckim obyczajem, płyniemy kanałem i na starym statku, mogliśmy w ten sposób łatwiej studyować zwyczaje miejscowej ludności. Zwiedziliśmy w ten sposób Rotterdam i Hagę, gdzie odbywał się wtedy kongres pokoju i gdzie zostaliśmy uprzejmie przyjęci przez przedstawicieli Ameryki.

Holandya zrobiła na mnie wrażenie swoją znakomitą uprawą roli i wspaniałemi stadami bydła. Zachwyciło mnie zużytkowanie najmniejszego skrawka ziemi—o czem my w Ameryce nie mamy pojęcia, zdawało mi się, że tu nie zmarnują nawet centymetra gruntu. Warto było odbyć tę podróż choćby dla zobaczenia tych stad, trzystu lub czterystu sztuk bydła, paszącego się na ciemno-zielonych pastwiskach.

Wróciliśmy przez Belgię, zatrzymując się tylko w Brukselli dla zwiedzenia pola bitwy pod Waterloo. Ztamąd pośpieszny pociąg dowiózł nas do

Paryża, gdzie, bez naszej wiedzy, pan Teodor Stanton <sup>1)</sup>, syn Elżbiety Cody Stanton, zajął się przygotowaniem dla nas wygodnego mieszkania. Otrzymaliśmy, zaraz po przybyciu zaproszenie do klubu Uniwersyteckiego, gdzie zastaliśmy Beniamina Harrisona i biskupa Irelanda, bawiących chwilowo w Paryżu. Poseł amerykański, generał Iloracy Porter, przydawał przy obiedzie. Moja przemowa zrobiła dobre wrażenie. Generał Harrison poświęcił swe przemówienie mojej osobie, rozwodząc się nad wpływem, jaki może mieć szkoła w Tuskegee na stosunki rasy murzyńskiej z białą. Moja pierwsza mowa wywołała zaprzeczenia, które zmuszony byłem odierać, nie chcąc, ażeby podróż moja chybiła celu. Uczyniłem tylko wyjątek dla kaplicy amerykańskiej, w której przemawiałem następnej niedzieli przed gronem doborowych słuchaczy.

Posel amerykański złożył nam później wizytę i zaprosił na przyjęcie w gmachu poselstwa. Był tam tłum Amerykanów, wśród których zauważyłem wysokich dojsjowników, np. sędziów najwyższego sądu w Stanach Zjednoczonych, Fullera i Ilurlana. Przez cały miesiąc naszego pobytu w Paryżu poseł amerykański, jego żona i inni Amerykanie obsypywali nas grzecznościami.

W Paryżu widywaliśmy często słynnego malarza murzyna, znajomego nam z Ameryki, Henryka O. Tannera. Cieszyliśmy się, że zdobył sobie taki rozgłos i uznanie we wszystkich sferach społeczeństwa. Znajomi, którym zaproponowaliśmy obejrzenie w muzeum Luksemburskiem obrazu wymalowanego przez murzyna, nie chcieli wierzyć, że podobny zaszczyt mógł go spotkać. Musieli zobaczyć na

<sup>1)</sup> Teodor Stanton jeden z najwybitniejszych i najsympatyczniejszych przedstawicieli prasy amerykańskiej w Paryżu, jest synem Elżbiety C. Stanton, stojącej na czele ruchu feministycznego w Ameryce (P/W).

własne oczy, zanim uwierzyli. Przykład Tannera umocnił mnie w przekonaniu, które wpajam bezustannie w naszych uczniów w Tuskegee i we wszystkich murzynów, dokąd głos mój dochodzi, że każdy człowiek — murzyn, czy biały — prędzej, czy później otrzyma nagrodę, na jaką zasłużył, wyróżniając się pracą, choćby w najskromniejszym zakresie. Powiedziałem to już i powtarzam, że wierzę niezachwianie w przyszłość mojej rasy o tyle, o ile nauczy się ona wykonywać lepiej to, co wszyscy robią—i oddawać usługi, bez których inni nie będą mogli się obchodzić. To właśnie poczucie natchnęło mnie w chwili, gdy zabrałem się w Hamptonie do zamiatania sali, które mi utorowało drogę do szkoły.

Czułem w owej chwili dobrze, że przyszłość moja zależy od dobrego wykonania roboty, i wykonałem ją tak, że nikt nie mógł mi nic zarzucić. W muzeum Luksemburskiem nikt nie pyta, czy Tanner jest Murzynem, Francuzem, czy Niemcem. Wiedzą tylko, że zrobił rzecz znakomitą, której publiczność potrzebuje: dobry obraz. Dziewczyna murzynka, która potrafi gotować, zmywać, szyc i pisać lepiej od innych, młody murzyn, który będzie umiał obchodzić się z końmi, uprawiać pataty, robić masło, zbudować dom, leczyć ludzi lepiej od innych—zostaną ocenieni bez względu na kolor swej skóry. Ludzie będą wymagać coraz dokładniejszego wykonywania roboty i ci, co ją potrafią najlepiej wykonać, będą mieli pierwszeństwo, z jakiegokolwiek pochodzą rasy, jakiegokolwiek wyznają religię i jakabądź będzie ich przeszłość. Przyszłość murzynów zależy od tego warunku, czy potrafią się oni stać niezbędni w kraju i okolicy, którą zamieszkują.

Zwróciło moją uwagę zamiłowanie w zabawie i wrażliwość, stanowiące wybitną cechę francuskiego narodu. Sądzę, że różni się on pod tym względem zupełnie od ludzi mojej rasy. Nie zdaje mi się, żeby Francuzi moralnością i pojęciami moralnymi stali wyżej od murzynów amerykańskich. Warunki życia-

we i wielkie współzawodnictwo na polu przemysłu nauczyły ich robić wszystko wykwiśtniej i oszczędniej. Ale z czasem i my nauczymy się tego. Pod względem prawdomówności i poczucia honoru przeciętny Francuz nie góruje nad murzynem; w łagodności zaś i litości względem zwierząt ustępuje mu z pewnością. Wyjeżdżałem z Francyi z większą otuchą co do przyszłości murzynów, niż miałem ją dotąd.

Z Paryża pojechaliśmy do Londynu; było to w lipcu, w całej pełni sezonu londyńskiego. Parlament odbywał posiedzenia i odbywało się mnóstwo zabaw. Zaopatrzeni byliśmy w listy polecające i od pierwszych dni byliśmy zmuszeni zaproszeniami i propozycjami przemawiania na rozmaitych zgromadzeniach. Większą część zaproszeń zmuszeni byliśmy odrzucić, gdyż potrzebowałem bardzo wypoczynku. Wielebny dr. Brooke Herford i jego żona, których poznaliśmy w Bostonie, uradzili razem z posłem Stanów Zjednoczonych, J. Choatem, zebranie w Esse Hall. Było na niem dużo osób, członkowie parlamentu i t. p. Przemowę posła i streszczenie mojej mowy powtórzyły wszystkie dzienniki amerykańskie i angielskie. U państwa Herford na wieczorze poznaliśmy najlepsze towarzystwo angielskie, a przez cały czas pobytu w Londynie doznawaliśmy nieustannej uprzejmości ze strony posła amerykańskiego. W jego domu poznaliśmy Marka Twaina.

W Birminghamie przyjmował nas u siebie pan Józef Sturge, którego ojciec był jednym z najznakomitszych abolicjonistów \*), przyjacielem Whittiera i Garrisona. Abolucyoniści angielscy, których poznaliśmy, nie mieli dość słów na pochwałę tych dwóch mężów amerykańskich. Do tej pory nie rozumiałem, do jakiego stopnia abolicyoniści angielscy zajmo-

\*) Przeciwników niewolnictwa.

wali się sprawą wolności i jakiej pomocy nam udzielali.

Dzięki Lady Aberdeen mogliśmy uczestniczyć w kongresie międzynarodowym kobiet, który odbywał się w tej chwili w Londynie i przy tej samej sposobności pojechaliśmy do Windsoru dla przedstawienia się królowej Wiktorii, i mieliśmy zaszczyt pić herbatę u Jej Królewskiej Mości.

W izbie gmin poznałem poznałem się z H. M. Stanleyem, z którym rozmawiałem o Afryce i o korzyściach, jakoby przedstawiało przesiedlenie się tam murzynów z Ameryki. Ale rozmowy te przekonały mnie, że nie mieliby oni żadnych widoków polepszenia swej doli, przenosząc się do Afryki.

Mieliśmy wielokrotnie przyjemność być zapraszani przez Anglików do rezydencji wiejskich, gdzie ich charakter przedstawia się w najlepszym świetle, Anglicy mają tę wyższość nad Amerykanami, że umieją wyciągnąć więcej dobrych stron z życia. Życie rodzinne jest wzorowe. Wszystkó odbywa się systematycznie i regularnie. Uszanowanie służby dla swych „panów“ zadziwiło mnie tem więcej, że w Ameryce niktby nie zniósł samej tej nazwy „panów“. Służący angielski nie myśli o zmianie zajęcia i dlatego może się wydoskonalić w pełnieniu obowiązków służbowych, co się nigdy nie zdarza ze służącym amerykańskim, którzy dążą do tego, żeby z kolei stać się „panami“. Co z dwójga jest lepsze? Nie podejmuję się na to odpowiedzieć.

Bytność moja w Anglii zaznajomiła mnie lepiej ze szlachtą angielską, którą nauczyłem się oceniać. Nie przypuszczałem, żeby była równie kochana i szanowana przez masy ludowe; nie wiedziałem, ile poświęca ona czasu, pieniędzy i zapалу dla prac filantropijnych. Przedtem sądziłem, że szlachta angielska wyrzuca tylko pieniądze przez okna i prowadzi życie na wielką skalę.

Publiczność angielska nie jest zachęcająca dla amerykańskiego mówcy: trudno mi było przyzwy-

czaić się do niej. Anglicy są rozpaczliwie poważni i biorą wszystko naseryo. Kiedy im opowiadałem historię, która w Ameryce wzbudziłaby śmiech szalony, publiczność angielska przysłuchiwała się bez cienia uśmiechu.

Jeżeli Anglik poweźmie przyjaźń dla ciebie i otworzy ci swe serce, przywiąże cię do siebie nierozzerwalnym węzłem i pewien jestem, że niema nigdzie na świecie przyjaźni szczerzych i trwalszych. Przytoczę tu, co nam się zdarzyło. Zostaliśmy oboje z żoną zaproszeni na wieczór, dany przez księcia i księżnę Sutherland w Stafford House, uchodzącym za najwspanialszy z pałaców londyńskich, tak jak księżna jest uważana za najpiękniejszą z kobiet w Anglii. Na wieczorze było około trzystu osób. Księżna parę razy przychodziła rozmawiać z nami i prosiła, ażebym po powrocie do Ameryki przysłał jej szczegółowy opis zakładu w Tuskegee to też uczyniłem. Tego samego roku na Boże Narodzenie przysłała nam swą fotografię z własnoręcznym podpisem. Korespondujemy z nią od tej pory i jest ona naszą najżyczliwszą przyjaciółką.

Po trzech miesiącach pobytu w Europie wsiedliśmy w Southampton na statek „Saint-Louis“. Była na statku zasobna biblioteka, ofiarowana przez mieszkańców miasta Saint-Louis (Missonoi). Znalazłem między książkami biografię Fryderyka Douglassa i zacząłem czytać. Zajął mnie nadewszystko sposób, w jaki obchodzono się z nim na statku podczas podróży do Anglii. Nie wolno mu było wejść do salonu i cały dzień zmuszony był przepędzać na pokładzie. Zaledwie skończyłem to czytanie, przybyła deputacya podróżnych z prośbą, abym zechciał przemawiać na koncercie, który miał się odbyć nazajutrz. Pomimo tak uderzających przykładów, są jeszcze ludzie, którzy nie przestają twierdzić, że niechęć rasowa nie zmniejsza się w Ameryce.

Podczas koncertu urządzona została kwesta na

rzecz zakładu w Tuskegee, a rezultatem jej były stypendya dla kilku uczniów.

W Paryżu dostałem list, który mnie zadziwił i wzruszył. Obywatele Wirginii Zachodniej i miasta, w którym spędziłem dziecinne lata, pisali domnie.

Charleston (Wirginia Zachodnia).

16-go maja 1899-go rokn.

*Drogi Panie!*

Obywatele Wirginii Zachodniej wyrazili jednomyślnie uwielbienie dla pana i pańskiego dzieła, oraz życzenie, ażebyś zechciał po powrocie z Europy zaszczyścić ich swemi odwiedzinami i swemi wymownemi słowy. Z radością donosimy panu o tem i w imieniu obywateli miasta Charlestonu prosimy o przybycie, ażebyśmy mogli złożyć hołd za to, czego dokonałeś w swoim życiu i za twoją działalność w Tuskegee.

Oddani całem sercem.

Za radą Miejską miasta Charlestonu

Burmistrz *W. Herman Smith*.

Oprócz tego zaproszenia, nadeszło i drugie z wielu podpisami. Naturalnie wezwanie to ze strony Rady Miejskiej, urzędników i ważniejszych obywateli obu ras z miasta, w którym przepędziłem dziecinne lata, z którego wyruszyłem tak niedawno ubogi, nieoświecony i nieznany—poszukując nauki, wezwanie to, powtarzam, przejęło mnie radością i wzruszeniem.

Naznaczyłem dzień przyjazdu i zastałem na dworcu kolei deputacyę z gubernatorem V. A. Mac Corkle na czele, złożoną z białych i murzynów w równej liczbie. Sala opery oddana została na tę uroczystość, w której urządzeniu rasa murzyńska wzięła czynny udział. W sali, pośród białych, było wielu takich, u których pracowałem, będąc dzieckiem. Następnego dnia gubernator urządził na moją cześć wielkie przyjęcie wieczorne, na którym zebrali się ludzie z różnych sfer społecznych.

Wkrótce potem murzyni z Atlanty (Georgia)



urządzili dla mnie przyjęcie—prezydował gubernator tego stanu. Toż samo odbyło się w Nowym Orleanie, gdzie mnie przyjmował burmistrz. Była to istna nawałnica zaproszeń, ale nie byłem w stanie przyjmować wszystkich bez wyjątku.

---

## ROZDZIAŁ XV.

### ZAKOŃCZENIE.

---

Przed wyjazdem do Europy w życiu mojem zaszło kilka zdarzeń zupełnie niespodziewanych. Co prawda, całe moje życie złożone było z niespodzianek. Wierzę silnie, że tego rodzaju zachęty spotykają zawsze tych, którzy postanowili każdy dzień swego życia poświęcić pracy bezinteresownej i pożytecznej dla drugih. Żałuję każdego człowieka — czy będzie on biały, czy murzyn — który nigdy nie zaznał zadowolenia i radości jakie sprawia nam trud podjęty dla dobra uszczęśliwienia innych ludzi.

Na pół roku przed śmiercią, a w rok po ataku paraliżu, generał Armstorng objawił życzenie odwiedzenia Tuskegee jeszcze raz przed śmiercią. Pomimo, że był pozbawiony zupełnie władzy w członkach i trzeba go było nosić w fotelu, uczyniliśmy zadość jego życzeniu i został przewieziony do Tuskegee. Właściciele kolejki podjazdowej do Tuskegee, obywatele okoliczni białej rasy zaofiarowali się wyprawić dla niego umyślny pociąg do głównej stacji Chekaw, o pięć mil położonej. Generał przybył na terytorium szkoły około dziewiątej wieczorem. Ktoś podsunął myśl urządzenia pochodu z pochodniami. Gdy powóz generała wjechał w granice posiadłości szkolnej, znalazł się między dwoma rzędami płonących smolnych pochodni. Widok był uroczy i piękny, a generał nie posiadał się z radości.

Przepędził u mnie dwa miesiące, a choć trudno mu było mówić i poruszać się, cały ten czas spędził na układaniu planów pomocy dla Południa. Powtarzał mi wielokrotnie, że obowiązkiem kraju jest nietylko poprawa położenia murzynów na Południu, ale i poprawa bytu ubogich ludzi białej rasy. Pod koniec jego odwiedzin, ślubowałem sobie poświęcić się jeszcze gorliwiej sprawie, która obchodziła go tak żywo. Zrozumiałem, że jeżeli człowiek tak chory mógł myśleć, pracować i działać — powinienem i ja być równie energicznym i spełnić wszystkie jego pragnienia.

Śmierć generała Armstronga w kilka tygodni później dała mi sposobność zaznajomienia się z człowiekiem jednym z najszlachetniejszych, najbezinteresowniejszych i najsympatyczniejszych, jakich mi się zdarzyło spotkać w życiu. Mam tu na myśli Wielkiego d-ra Holtisa B. Frissella, obecnego dyrektora zakładu w Hamptonie, następcę generała Armstronga. Pod jego kierunkiem energicznym i doskonałym szkoła w Hamptonie rozwija się pomyślnie i pożytecznie, według życzeń generała Armstronga. Dr. Frissell usiłuje zawsze usuwać na dalszy plan swoją osobę i pozostawać w cieniu wielkiej postaci generała — a żyje tylko dla dobra zakładu.

Wielokrotnie zadawano mi pytanie, jaka była największa niespodzianka w mojej życiu? Mogę na to odpowiedzieć bez wahania. Oto następujący list, otrzymany pewnego niedzielnego poranku, gdy siedział na werandzie z żoną i dziećmi:

„Uniwersytet w Harvardzie-Cambride

28 maju 1890 r.

„Dyrektor Booker T. Washington.

„Drogi Panie.

„Uniwersytet w Harvardzie pragnie przy uroczystości tegorocznego rozdania nagród udzielić panu dyplom honorowy, ale zwyczajem u nas przyjętym, udzielamy go tylko obecnym. Uroczystość rozdania nagród odbędzie się w d. 24 czerwca r. b. i obe-

ność pańska potrzebna jest od południa do godziny piątej tegoż dnia. Czy jest dla pana możliwym przybycie w dniu oznaczonym?”

„Proszę przyjąć zapewnienie i t. d.

„*Karol W. Eliot.*”

Było to wyróżnienie, o którym nie myślałem nigdy — i trudno mi było uwierzyć, że zostaną zaszczycony dyplomem jednego z najstarszych i naj-słynniejszych uniwersytetów Ameryki. Siedząc z listem w rękę, poczułem, że łzy napelniają mi oczy. Całe moje minione życie niewolnika na plantacji — moja praca w kopalniach — czasy głodu i nędzy, kiedy nie mając grosza w kieszeni, sypiałem w jamie pod chodnikiem, dni utrapień w Tuskegee, kiedy nie wiedziałem, dokąd się zwrócić po pieniądze, umożliwiające podtrzymanie szkoły; ostracyzm i ucisk cierpiany przez moją żonę — wszystko to przesunęło się przed memi oczyma, potęgując wzruszenie.

D. 24 czerwca, o dziewiątej rano, przybyłem do Harvardu — i zastałem prezydującego Eliota, komitet inspektorów uniwersytetu i gości zebranych w naznaczonym miejscu, z kąd pochód wyruszył do teatru Saundersa, gdzie się miała odbyć ceremonia rozdania dyplomów.

Ustawiono nas sznurem i wkrótce nadjechał gubernator stanu Massachusetts, otoczony ułanami, i zajął swoje miejsce w pochodzie obok prezesa Eliota. Ruszyliśmy tak do teatru Saundersa, gdzie po rozdaniu patentów odbyło się przyznanie dyplomów honorowych. Jest to chwila najciekawsza. Nikt nie wie — dopóki nie ukażą się kandydaci, komu mają być przyznane dyplomy honorowe i wybrańców oklaskują studenci i publiczność, stosownie do stopnia ich popularności. Zapach i ożywienie są podczas tego niezmierne.

Kiedy wywołano moje nazwisko, powstałem, a prezydujący miał do mnie piękną i silną przemowę, poczem wręczył mi dyplom *master of arst.*

Po skończonym obrzędzie wszyscy zostali zaproszeni przez niego na śniadanie, po którym poszliśmy w takim samym porządku, prowadzeni przez biskupa Williama Laurence i witani po drodze okrzykami. Pochód zakończył się w *Memorial Hall*, gdzie podano śniadanie dla „alumnów“ (byłych studentów). Widok był niezwykle tysiąca ludzi stanowiących sam wybór najznakomitszych przedstawicieli rządu, duchowieństwa, przemysłu i stanu nauczycielskiego, pełnych zapału i dumy, co jest zwykłem u wychowawców uniwersytetów, zwłaszcza w Harvardzie.

Wkrótce po rozpoczęciu pracy w Tuskegee zrobiłem w głębi duszy postanowienie, że szkoła moja odda takie usługi krajowi, iż prezydent Stanów Zjednoczonych przybędzie do niej w odwiedziny. Wyznaje, że było to trochę lekkomyślne—dlatego długi czas tałem się z mojem pragnieniem, nie mówiąc o niem nikomu.

W listopadzie 1898 r. uczyniłem pierwszy krok do urzeczywistnienia moich życzeń, przyjmując u siebie sekretarza prezydenta, Jakóba Wilsona. Przybył on wypowiedzieć mowę przy poświęceniu pawilonu rolniczego, noszącego miano Slater-Armstrong.

W jesieni 1898 r. dowiedziałem się, że prezydent Mac-Kinley ma przybyć do Atlanty (Georgia) dla wzięcia udziału w uroczystościach pokojowych, z powodu ukończenia wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Postanowiłem wtedy uczynić energiczne starania o odwiedziny prezydenta w naszej szkole. Pojechałem do Waszyngtonu, a zastawszy w Białym Domu tłumy czekających, zwróciłem się do sekretarza M. J. Addisona Portera, który posłał mój list prezydentowi. Po kilku minutach zawiadomiono mnie, że mogę wejść.

Jakim cudem człowiek, przyjmujący taką masę ludzi z rozlicznymi żądaniami i mający tyle pracy, może być równie spokojnym, cierpliwym i wypożyczym—jak był prezydent Mac-Kinley?—tego nie po-

trafię pojąć. Ujrawszy mnie, podziękował za wszystko, co czynimy dla kraju w samym zakładzie w Tuskegee. Wyluszczyłem mu w krótkich słowach powód mego przybycia i dałem do zrozumienia, że odwiedziny naczelnika rządu nie tylko dodadzą zachęty uczniom i nauczycielom—ale przyniosą korzyść całej razie murzyńskiej. Zdawało się, że moja propozycja zajęła go, ale nie dał stanowczego przyrzeczenia, ponieważ plan podróży do Atlanty nie był jeszcze stanowczo ułożony — lecz prosił o przypomnienie się za kilka tygodni.

Okolo połowy następnego miesiąca podróż prezydenta do Atlanty została postanowiona, a ja pojechałem powtórnie do Waszyngtonu z prośbą o przybycie do Tuskegee. W tej wycieczce towarzyszył mi pan Karol W. Hare, obywatel białej rasy, który z własnego popędu pragnął poprzeć moją prośbę zaproszeniem ze strony białych mieszkańców Tuskegee.

Na kilka dni przed drugą moją bytnością w Waszyngtonie zdarzyły się rozruchy i bójki między białymi a murzynami w niższych miejscowościach Południa. Ujrawszy prezydenta, zauważyłem że jest tem mocno przejęty. Pomimo, że było wielu czekających, zatrzymał mnie nieco dłużej, rozpytując o warunki bytu murzynów i widoki ich na przyszłość i zapewniał kilkakrotnie, że pragnie nam okazać swoje zajęcie i wiarę w nas nie tylko słowami ale i czynem. Gdy mu przedstawiłem, że w tej właśnie chwili najlepsze wrażenie na murzynach może wywrzeć, że prezydent zboczył z drogi sto czterdzieści mil poto tylko, ażeby przepędzić z nimi jeden dzień, widoczne było, że moje słowa zrobiły na nim silne wrażenie.

W tej właśnie chwili wszedł biały obywatel z Atlanty, demokrata i były właściciel niewolników; na zapytanie prezydenta, czy uważa za rzecz odpowiednią wycieczkę do Tuskegee, poparł bez wa-

hania moją prośbę, uważając, że chwila jest właśnie odpowiednia.

Prezydent zapowiedział swe odwiedziny na d. 16 grudnia.

Gdy się rozeszła ta wiadomość, biali mieszkańcy miasta Tuskegee, leżącego o milę od szkoły—okazali radość nie mniejszą od naszych uczniów i nauczycieli. Zabrali się wszyscy—mężczyźni i kobiety—przyozdabiali miasta i utworzyli komitety dla wspólnego działania z naszą szkołą, w celu godnego przyjęcia dostojnego gościa. Wtedy dopiero przekonałem się, jak wielką wagę biali z miasta i okolicy przywiązywali do naszej szkoły. W czasie tych przygotowań zgłaszało się do mnie mnóstwo osób, które nie życząc sobie wy-uwać się na pierwszy plan, objawiały gotowość uczynienia wszystkiego, coby mogło ułatwić mi zadanie. Wzruszyła mnie niemniej od wizyty prezydenta дума, jaką nasz zakład przejmował wszystkich mieszkańców Alabamy.

Ranek 16 grudnia sprowadził do Tuskegee takie tłumy, jakich nigdy jeszcze nie widziało to miasto. Z prezydentem przybyła jego małżonka i członkowie gabinetu, których większość z żonami. Było i wielu jenerałów, a między innymi jenerałowie Shafter i Józef Wheeler, powracający z wojny hiszpańsko-amerykańskiej.

Było mnóstwo korespondentów rozmaitych dzienników. Izba deputowanych Alabamy odbywała właśnie posiedzenia w Montgomery i przerwawszy je na dzień jeden, przybyła również do Tuskegee razem z gubernatorem i innymi urzędnikami Stanu.

Mieszkańcy Tuskegee przyozdobili miasto od stacyi kolei do szkoły. Dla oszczędzenia czasu postanowiliśmy, że szkoła przedefiluje przed prezydentem. Każdy uczeń niósł w ręku lodygę trzciny cukrowej, a na jej wierzchołku uczepione były kulki bawełny napół otwarte. Za uczniami przeciągnęły wszystkie oddziały, na wozach zaprzężonych w ko-

nie, muły i woły. Na tych wozach były przedstawione nie tylko obecne prace szkoły, ale i różnica między dawnymi a nowymi metodami pracy. Na przykład przedstawiony był dawny system mleczarstwa, w zestawieniu z nowym — dawne sposoby uprawiania roli z nowymi — dawne metody gotowania i gospodarstwa domowego, poprównane z dzisiejszemi. Defilada znowu trwała półtorej godziny.

Potem prezydent przemawiał w nowej kaplicy, zbudowanej przez uczniów, a po powrocie do Waszyngtonu sekretarz jego nadesłał list z uprzejmem podziękowaniem i pochwałą za tak udane przyjęcie, oraz z życzeniami dalszego rozwoju i powodzenia szkoły.

\* \* \*

Dwadzieścia lat skończyło się od chwili, gdy rozpocząłem pracę w Tuskegee, w napół zrujnowanym domostwie i kurniku, nie mając ani jednego dolara w kieszeni, z jednym nauczycielem, a trzydziestu uczniami. Dziś zakład nasz posiada dwa tysiące trzysta akrów ziemi, z których siedmset uprawiają sami uczniowie. Na gruntach szkoły jest czterdzieści większych i mniejszych budynków. Gdy uczniowie pracują na polu lub przy budowie, nauczyciele wykładają im najnowsze sposoby uprawiania roli i rzemiosł, mających związek z budownictwem.

Oprócz wykładu przedmiotów naukowych, religijnych i t. p., jest przy szkole dwadzieścia ośm klas nauki rzemiosł, czynnych bez przerwy. Uczą w nich rzemiosł, które naszym uczniom obojej płci dają możność zarobku zaraz po opuszczeniu szkoły. Jedyną trudność przedstawia to, że same dyplomy są tak poszukiwane przez ludność białą i murzyńską na Południu, że nie jesteśmy w stanie zaspokoić nawet połowy napływających żądań. Z drugiej strony nie mamy zabudowań, ani dostatecznych tam do-

mów, żeby móżdż przyjąć więcej niż połowę młodzieży obojej płci, zgłaszającej się o przyjęcie do szkoły.

W nauczaniu mamy na celu trzy rzeczy. Nasamprzód to—ażeby uczniów przysposobić do warunków takich, jakie obecnie są w Południowych Stanach, w których mają oni mieszkać, to jest, ażeby byli zdolni do pracy takiej, jaka będzie od nich wymagana. Powtóre — ażeby każdy uczeń opuszczający szkołę z patentem, miał dość umiejętności i rozwinięcia umysłowego i moralnego, by mógł zapracować na byt swój i rodziny. A po trzecie, wymagamy od naszych wychowawców zrozumienia i oceny godności i piękności pracy, którą należy pokochać, zamiast się od niej uchylać. Oprócz nauki rolnictwa, udzielanej chłopcom, i nauki gospodarstwa domowego dla dziewcząt, zaczęliśmy uczyć niektóre dziewczęta ogrodnictwa, hodowania kwiatów wyrobu masła, pszczelnictwa i hodowli drobiu.

Mamy też oddział zwany „szkołą biblijną“ w Pelps Hall, gdzie pewna liczba wychowawców przygotowuje się do stanu duchownego i innych prac chrześcijańskich, specjalnie w wiejskich okręgach. Każdy z nich umie przez pół dnia pracować w warsztatach, ażeby nabyć wprawy i zamiłowania w rzemiosłach, których po skończeniu szkoły będzie mógł uczyć tam, gdzie zamieszka.

Wartość naszej posiadłości wynosi teraz przeszło trzy kroć sto tysięcy dolarów. Doliczywszy do tego kapitały, dochodzące do dwóchkroć piętnastu tysięcy, całość majątku naszego dosięga do pół miliona dolarów. Ale odliczywszy wartość budowli i pieniądze na bieżące wydatki, kapitał zapasowy powinienby liczyć conajmniej pięćkroć sto tysięcy. Wydatki roczne wynoszą osmdziesiąt tysięcy dolarów. Zbieram większą część tej sumy, kwestując po domach i na zgromadzeniach. Własność nasza jest zapisana, jako należąca do komitetu zarządzającego bezimiennego, który rozciąga kontrolę nad zakładem.



Od liczby trzydziestu uczniów szkoła nasza doszła do tysiąca stu, pochodzących z różnych stron Stanów Zjednoczonych, z Afryki, z Kuby, z Porto Rico, Jamaiki i innych krajów. Nauczycieli i urzędników jest osmdziesięciu sześciu; dodawszy do tego ich rodziny, można liczyć, że na naszej posiadłości przebywa około tysiąca czterysta osób.

Zapytywano mnie często, jakim sposobem przy takiej liczbie ludzi możemy utrzymać porządek, moralność i dobre obyczaje. Są na to dwa sposoby: po pierwsze—tak kobiety, jak mężczyźni, przybywający do nas na naukę, są usposobieni poważnie, a po drugie—wszyscy są ciągle zajęci pracą.

Dowód najlepszy stanowi rozkład zajęć:

5 rano — dzwonek budzący ze snu: 5 m. 50 — pierwszy dzwonek na śniadanie; 6 — drugi dzwonek na śniadanie; 6 m. 20 — koniec śniadania; od 6 m. 20 do 6 m. 50 — sprzątanie pokoiów; 6 m. 50 dzwonek na rozpoczęcie pracy; 7 m. 30 — nauka poranna; 8 m. 20 dzwonek na rozpoczęcie lekcji; 8 m. 25 — przegląd odzieży uczniów; 8 m. 40 — nabożeństwo w kaplicy; 8 m. 55 — pauza pięciominutowa na rozmowę; 9 — początek lekcji; 12 — koniec lekcji; 12 m. 15 — obiad; 1 — dzwonek na rozpoczęcie pracy; 1 m. 30 — rozpoczęcie lekcji; 3 m. 30 — koniec lekcji; 5 m. 30 — dzwonek rozpoczynający koniec pracy; 6 — wieczerza; 7 m. 10 — modlitwa wieczorna; 7 m. 30 — nauka wieczorna; 8 m. 45 — koniec nauki; 9 m. 20 — pierwszy dzwonek na spoczynek; 9 m. 30 — drugi dzwonek.

Nie zapominamy ani na chwilę, że wartość szkoły będzie sądzona według wartości uczniów, którzy otrzymali w niej dyplomy. Policzywszy tych, którzy ukończyli całkowity kurs nauk i tych, którzy nauczyli się tyle, że są zdolni wykonać dobrze każdą robotę, możemy śmiało twierdzić, że w tej chwili co najmniej trzy tysiące obojej płci wychowanków szkoły w Tuskegee pracuje w rozmaitych stro-  
nach Południa i własnym przykładem naucza masy

murzyńskie, jakim sposobem można poprawić swój byt pod względem materyalnym, moralnym i religijnym.

Uczniowie nasi mają dużo zdrowego rozsądku i panowania nad sobą, co skłania białych do uznania korzystnego wpływu wychowania murzynów w Tuskegee. Prócz tego, szkoła wpływa na nich za pomocą mityngów, matek rodziny i zakładów na plantacyach, które kieruje moja żona.

Gdziekolwiek osiedlą się nasi wychowañcy, dają się wkrótce zauważyć zmiany; zakupywanie gruntów, ulepszanie domostw, oszczędność i wyższy poziom moralności. Całe gminy zmieniają się pod wpływem tych ludzi, przez nas wychowanych.

Dziesięć lat temu urządziłem w Tuskegee pierwszą „konferencyę dla murzynów“. Jest to doroczne zgromadzenie, które sprowadza do szkoły ośmiuset do dziewięciuset mężczyzn i kobiet najwyborowszych, którzy przepędzają cały dzień nad badaniem stanu przemysłu, moralności, umysłowości ludu i obmyślają środki ku jego poprawie. Z takich „konferencyi“ w Tuskegee powstały konferencye w innych miejscowościach, dążące do tego samego celu. Jako rezultat przedstawił nam na ostatniem zebraniu jeden z delegatów fakt, że w jego gminie dziesięć rodzin nabyło domy i spłaciło całą należność. Po konferencyi dla murzynów następuje narada pracowników. Należą do niej nauczyciele, zajmujący się nauczaniem w wielkich zakładach naukowych na Południu.

Zebranie to dostarcza doskonałego materyalu do zbadania rzeczywistego położenia naszego ludu.

W lecie 1900 r. z pomocą wybitnych obywateli murzynów, zorganizowałem „Związek Narodowy Kupców“, który zebrał się po raz pierwszy w Bostonie, gromadząc wielu ludzi rasy murzyńskiej, zajmujących się przemysłem i handlem w różnych stronach Stanów Zjednoczonych. Trzydzieści stanów miało tam swych przedstawicieli, następstwem tego zebra-

nia było założenie „Związków miejscowych“ w różnych stanach.

Piszę te ostatnie słowa historii mego życia w Richmondzie, w Wirginii—w tem samem mieście, w którym przed trzydziestu pięciu laty nocowałem w jamie pod chodnikiem.

Teraz jestem w Richmondzie jako gość murzyńskiej ludności; przybyłem tu na jej wezwanie, dla wygłoszenia mowy wobec obywateli obu ras, w Akademii muzycznej, w najpiękniejszej i największej sali w mieście. Po raz pierwszy murzyni otrzymali pozwolenie korzystania z tej sali. W przeddzień mego przyjazdu Rada miejska postanowiła przybyć gremialnie na moją mowę. Izba deputowanych jednomyślnie powzięła takie samo postanowienie przybycia w pełnym komplecie.

W obecności paruset obywateli murzynów i dostojników rasy białej; w obecności Rady Stanu i urzędników wygłosiłem mowę, wyrażając radość i najlepsze nadzieje na przyszłość. Z głębi serca dziękowałem białym i murzynom za przyjęcie, zgotowane mi w tym samym stanie, w którym ujrzałem światło dzienne.

K O N I E C.

# Spis rzeczy.

---

	<i>Str.</i>
ROZDZIAŁ I. Niewolnik wśród niewolników . . . .	3
ROZDZIAŁ II. Moje lata dziecinne . . . . .	17
ROZDZIAŁ III. Walka o wykształcenie . . . . .	29
ROZDZIAŁ IV. Przychodzę z pomocą drugim . . . .	42
ROZDZIAŁ V. Epoka dzwigania się. . . . .	52
ROZDZIAŁ VI. Rasa murzyńska i rasa czerwono- skóra . . . . .	59
ROZDZIAŁ VII. Początek mojej działalności w Tu- skegee . . . . .	67
ROZDZIAŁ VIII. Lekcje w stajni i kurniku . . . . .	74
ROZDZIAŁ IX. Dni niepokoju i bezsenne noce . . . .	83
ROZDZIAŁ X. Zadanie trudniejsze od wyrabiania cegieł . . . . .	91
ROZDZIAŁ XI. Nasi uczniowie budują łóżka, na których mają sypiać . . . . .	100
ROZDZIAŁ XII. Poszukujemy kapitałów . . . . .	108
ROZDZIAŁ XIII. Trzy tysiące kilometrów i mowa pięciominutowa. . . . .	119
ROZDZIAŁ XIV. Mowa na wystawie w Atlancie. . . .	129
ROZDZIAŁ XV. Podróż do Europy . . . . .	133
ROZDZIAŁ XV. Zakończenie . . . . .	149





3



384